

3 LISTOPADA 1771 OSTATNI KRÓL POLSKI STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI ZOSTAJE  
PORWANY. WRACA NA DWÓR JUŻ DZIEŃ PÓŹNIEJ, ZUPEŁNE ODMIENIONY.

ADAM PODLEWSKI

MARYMONCKIE

MŁYNY



**ADAM PODLEWSKI**

**MARYMONCKIE  
MŁYNY**



# Spis treści

Karta redakcyjna

Od Autora

I. Teraz, Petersburg

Teraz, Rzym

Wtedy, Warszawa

Wtedy, karczma na trakcie marymonckim

II. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

Wtedy, Warszawa

Wtedy, Warszawa

Wtedy, Warszawa

III. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

IV. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

Wtedy, lasy pod Warszawą

V. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

Wtedy, lasy pod Warszawą

VI. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

Wtedy, lasy (jak się jeszcze Janowi zdawało) pod Warszawą

VII. Teraz, Petersburg

Wtedy, Warszawa

Wtedy, przedpola piekła pod Warszawą

VIII. Teraz, Petersburg

Wtedy, roгатki Warszawy

Wtedy, marymoncki młyn

IX. Teraz, Petersburg

Wtedy, przy rzece Rudawce

Wtedy, we młynie i w okolicach

Wtedy, podziemia Arsenалу

Teraz, Petersburg

Nieco później, Rzym

Przypisy

Redakcja i korekta  
*Anna Mieczkowska*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
©hydebrink/Shutterstock

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022  
© Copyright by Adam Podlewski, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-67093-35-4



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81  
[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Czy zdarzenia nocy z 3 na 4 listopada 1771 roku rozegrały się w ten sposób? Nie wiem, choć mam nadzieję, że owszem. Gdyby tak było, historia Stasia i Jasia byłaby bardzo pouczająca; pozwoliłaby dostrzec w słabym królu ludzką twarz polskiego oświecenia, a w porywczym Janie przyszłość Rzeczypospolitej, której nie pozwolono się narodzić.

# I

## Teraz, Petersburg

Krzyki króla niosły się po długich korytarzach pałacu Marmurowego. Był to dźwięk napelniający trwogą każdego usłużnego, gwardzistę i oficjała królewskiego. Niczym wrzask harpii głos starego monarchy paraliżował wolę i zmyślność służby. Gdyby nie głośnie wycie, można by było pewnie usłyszeć ciche modlitwy wzywające Bogarodnicę i wszystkich świętych, by ochronili ordynansów i czeladź przed smutnym losem odpowiedzi na wezwanie. Król umierał, a ten, kto doniósłby o tym pierwszy, mógł umrzeć razem z nim.

Pałac Marmurowy był okazałą, ale przecież nie wykwinną budowlą. Jego prosta bryła, szerokie korytarze i jasne schody nie mieściły żadnych kryjówek, tajnych przejść czy sekretnych pokoi, w których można było przeczekać monarszy zew. Niemal pięć tuzinów służby pałacowej było zdanych na łaskę niebios i zdrowie byłego króla Rzeczypospolitej. Niektórzy liczyli też na ziemską pomoc. Zwłaszcza praczki, zbiegłe do rogu starej bawialni, patrzyły na Artema Piotrowicza z niemą prośbą w płonących oczach. Cóż, było to oczywiste; Artem jako kawaler i człowiek zadłużony nie powinien mieć oporów przed rozstaniem się z tym łożem padole. Poza tym był Polakiem, przynajmniej w połowie.

– No, szto... – popędziła go Ksenia, najstarsza z praczek. – Idź do niego, to twój rodak.

– Ja nie Polak, tylko Ruski, jak i wy – sprzeciwił się Artem.

– Matkę, świeć, Panie, nad duszą dobrej Bożeny, miałeś Polkę, to i król twój krajan – naciskała stara służąca. – Ratuj nas, Artemku, bo ciebie jaśnie pan nie skaze...

W każdej innej sytuacji młody pokojowiec splunąłby na natrętnych petentów i skoczył przez okno na tyły pałacu. Ale tak rejterować przed kobietami nie wypadało, tym bardziej że Ksenia właśnie nazwała go krajanem polskiego króla, czyli prawie bojarem, ale takim od Lachów. Poza tym za plecami Kseni kulila się

gdzieś Zośka, piękna, płowowłosa Zośka, która chyba pierwszy raz w życiu patrzyła na Artema z pasją. Ona czekała, aż ruszy na ratunek, aż się zgodzi wziąć na siebie winę za śmierć starego króla.

*Ale póki ci na nic nie byłem potrzebny, patrzyłaś na mnie, jak na kłak kurzu, gza dokuczliwego...* – pomyślał pokojowiec i wtedy ciężko zrobiło mu się na duszy. Chciał powiedzieć coś ważnego, szczerego, spojrzeć Zośce w oczy i wyrzucić z siebie ten cały ciężar biednej sieroty, która w służbie na królewskim zamku widziała ratunek dla siebie i rodziny, a zamiast zaszczytów znalazła tylko upokorzenia i łzy. Ale nie powiedział nic. Ruszył ku wyjściu na korytarz i rozsunął ciężkie drzwi, wpuszczając do starej bawialni światło zimowego poranka. Wpuścił też kolejne krzyki obolałego króla, przerywające martwą ciszę pałacu. Ruszył przed siebie.

Żegnał go płacz kobiet (ale chyba nie Zośki!) i ponure spojrzenia, z rodzaju tych ofiarowywanych idącemu na szafot skazańcowi. Nie zamknął za sobą drzwi; chciał, aby chociaż pałacowe praczki żegnały go z honorami wartymi idącego na wojnę bohatera. *A gdzie Sasza? Kuchciki? Wartownicy? Uciekli, zostawiając niewiasty na pastwę pułkownika. Czy tylko ja nie schowałem się w stajniach?* Poczucie, że należy do najodważniejszych mężczyzn w pałacu, nieco zelżyło mu ciężar na piersi. Ale tylko nieco. Szedł oto szerokim korytarzem ku komnacie sypialnej Stanisława Augusta, byłego króla Polski i wielkiego księcia litewskiego.

Choć okna były pozamykane, chłód zimowego poranka zdawał się przenikać przez szyby i ściany pałacu. Jasne światło nie oświetlało drogi, ale oślepiało. Przez chwilę Artemowi wydawało się, że brodzi w śniegu zamiast w głębokim białym dywanie. Nie czuł też nóg, które już same pchały go do przodu, ku królewskiej sypialni. Niestety, zablądzić nie mógł: wycie króla nie cichło.

Gdy zbliżał się do monarchy, potrafił już rozróżnić poszczególne wyrazy. Nie żeby je rozumiał, po prostu pojął, że wydawane przez zdetronizowanego monarchę dźwięki nie były przypadkowym wyciem, ale jakimś komunikatem, rozpaczliwą próbą oznajmienia światu czegoś ważnego. Artem tak zasłuchał się w tę litanie bólu, że tylko cudem uniknął biegnącego z ciężką torbą doktora Weissa.

– *Donnerwetter!* – warknął medyk. – A ty to co... – Zatrzymał się, spojrzął na młodego pokojowca, po czym uderzył go po ramieniu, w dziwnej mieszance kary i poufałości. – No, jesteś wreszcie! A gdzie reszta? Gdzie służba, *Gott im Himmel!*?



– Jestem tylko ja. Ale jak panu doktorowi się nie podoba, to mogę się schować z innymi – odparł Artem, i zaraz poczuł kolejne bolesne szturchnięcie w ramię, tym razem jednak pełne sympatii.

– Anton, Anton...

– Artem, Artem – odruchowo poprawił go Artem.

– Anton, bracie, tyś jeden porządny w tym kłębie żmij. Ale potem się zastanowimy, jak tych tchórzy pokarać. Teraz: najjaśniejszy pan. Gotowy?

– Na co? – chciał zapytać Artem, ale nie zdążył.

Lekarz otworzył drzwi komnaty i wkroczył zwawo w półmrok pomieszczenia. Z powodu zasuniętych zasłon widać było tylko, że Weiss szedł prosto i równym, niemal wojskowym tempem. Jedynie Artem dostrzegał, że nogi medyka trzęsą się niczym trzcina na Newie. Król był dalej w łożu, ale poza tym w komnacie panował bezruch.

Nagle obaj przybysze zauważyli, że nie są sami: prócz zboląłego monarchy tuż przy progu stali dwaj żołnierze w dziwacznych mundurach, będących zapewne ubiorem polskiego lub litewskiego wojska. Jednak strażnicy na pewno nie przybyli z zachodu, gdyż jednego z nich Artem znał dobrze: był to Pawko, zwany Lipaczem, który przybył do Petersburga ledwie dwa lata wcześniej, gdzieś z południowych guberni. W owej chwili domniemany litewski gwardzista miał twarz bladą, a oczy zaciśnięte. Oddychał płytko i szybko.

– Co z wami, ludzie! Najjaśniejszy pan zaniemógł! Wy dwaj, odsłońcie okna!

Ale strażnicy nie poruszyli się, tylko Pawko zaczął łkać, nieporównywalnie ciszej, niż był zaniemogły król. Artem poczuł mieszaninę złości, dumy i zrozumienia. Wartownicy nie śmieli się ruszyć na pomoc królowi, chyba wiedząc, że uratować go nie zdołają, a przy tym nie unikną kary.

Artem sam podszedł do okien i odsunął zasłony. Białe światło wypełniło sypialnię, zmieniając jej szary grobowy półmrok w nierzeczywistą biel. *To wciąż kolor śmierci* – pomyślał sługa. *Tyle, że śmierci trochę lepszej.*

– Anton... Artem! Pomóż mi! – polecił Weiss.

Zrzucili z króla Stanisława ciężką kołdrę, po czym lekarz kazał pomocnikowi rozewrzeć skurczone ręce monarchy. Stanisław przyciskał coś do piersi, a dopiero po chwili zapasów Artem odkrył, że jest to niewielka kawowa filiżanka. Resztką czarnego płynu brudziła prześcieradło oraz poduszkę.

– Jezu, trucizna! – szepnął pokojowiec.

– Trzymaj go! Niech kurcze przejdą... – syknął lekarz, przyciskając prawą rękę byłego władcy do krawędzi łóżka. Chcąc nie chcąc, Artem odciągnął lewą rękę i tak siłowali się ze słabnącym kurczem chorego. – Nie wiemy, czy trucizna. Może mu serce od kawy zaczęło migotać. Potem go zbadamy, teraz trzymaj!

A król przestał wrzeszczeć, potem nawet przestał krzyczeć, ale wciąż szeptał coś w kółko. Artem trzymał słabą rękę Polaka już bez trudności. Mógł się więc skupić na zrozumieniu owych słów.

– Marymonckie... marymonckie młyny... – powtarzał zdetronizowany monarcha. – Ja tam zostawiłem... tam się wszystko zepsuło...

– Co on mówi? Że mąki chce? – zapytał zdumiony Artem.

– Co? Jakiej mąki?

– Car najjaśniejszy kazał królowi najjaśniejszemu sprowadzać mąkę z Polski, ponoć ze wsi pod Warszawą, Marymontem zwaną, aby mu się nie cniło z dala od ojczyzny – powiedział Artem. – Tak mówili gwardziści i sam pułkownik powtarzał.

– Chyba po pijaku... – zauważył Weiss.

– In wino wernisaż – filozoficznie odparł Artem. – Prawda w winie siedzi, tak mawia ten rzymski klecha, co w łacinie uczony. Pułkownik wiedział i powiedział. Bo to był zamach, panie doktorze.

– Co? Jaki zamach? – Weiss puścił rękę króla. Odruchowo sprawdził mu tętno na nadgarstku, ale czując, że najgorsze minęło, znów spojrzał na młodego pokojowca. – Mówże, człowiecze, co to za bzdury ten stary pijak wam wmówił... – A wtedy odwrócił się ku drzwiom i huknął na wartowników: – A wy, nicponie, sprowadzić mi tu oficera i poślijcie kogoś do akademii po więcej lekarzy. Niech dziewczki grzeją gorącą wodę i znajdą jakiś rosół. No już, zwawo!

Pawko, nie przestając szlochać, wybiegł z sypialni. Natomiast jego towarzysz padł, jak długi, dokładnie w miejscu, w którym stał na warcie. Weiss machnął tylko ręką i spojrzał znów na Artema.

– No mówże, człecze. Ja badam najjaśniejszego pana, a ty mów, co to za zamach miałby być.

– Konfederaci! – szepnął Artem z przekonaniem. – Matka mi opowiadała...

– Konfederaci? Jak ci, co suplikę do naszej imperatorowej cztery wiosny temu wystosowali?

– Nie, inni, ci barscy! – odparł Artem. – Ci, co w roku siedemdziesiątym pierwszym na życie króla Stanisława nastawali i z naszym wojskiem się bili. Matka mi opowiadała, że ten ich generał Pułaski to poprzysiągł zemstę królowi i szuka sposobności, aby go zabić...

– Kazimir Pułaski? – zapytał Weiss zdumiony. Jednak niemiecka dokładność medyczna nie przeszkodziła mu badać jednocześnie królewskiego pacjenta. – Toż to on uciekł z Polski i zginął w wojnie amerykańskiej. Zza grobu najjaśniejszego pana straszy?

– Patrz pan! – krzyknął Artem, wskazując coś na posłaniu władcy. – Marymont!

– Co...

– Bułka z marymonckiej mąki! Zatruta! Konfederaci podrzucili!

Faktycznie, w zaplamionym kawą posłaniu leżała biała, nadgryziona bułka. Zaciekawiony Weiss zaniechał na chwilę oględzin pacjenta i sięgnął po pieczywo. W ostatniej chwili powstrzymał ruch ręki. Wyciągnął z torby szczypce chirurgiczne i podniósł bułkę ku światłu.

– Nie wiem, co ty mi dziwnego mówisz. Ale może masz rację. Jak tylko się upewnię, że najjaśniejszemu panu nic nie dolega, zbadam ten wypiek. Może i naprawdę trucizna...

A jakby na potwierdzenie tego sądu Stanisław August, z Bożej łaski i woli narodu były król Polski, były wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki, smoleński, siewierski i czernihowski et cetera, wyszeptał do ucha lekarzowi:

– To kara za grzechy. Zabiją mnie, tak jak ja zabiłem ich wszystkich.

## Teraz, Rzym

Widok z czwartego piętra kamiennicy nad Tybrem wynagradzał Janowi niemal wszystkie trudy życia, w tym nieliczący ze świętością i starożytnością miejsca zapach nawiewany znad rzeki. Ostatnie piętro kamienicy (strych właściwie) bywało nieprzyjemne w zimie, gdy z niedokończonego dachu spływała do izby Jana woda z topniejącego śniegu. Ale on nie narzekał. Mieszkał jak wielcy filozofowie dawnych wieków, zwłaszcza stoicy i cynicy, którzy w przeciwnościach losu i natury upatrywali nie cierpienie, ale doświadczenie hartujące ducha oraz ćwiczące życiową mądrość. Poza tym był pokutnikiem, grzesznikiem czekającym na zdjęcie z ramion brzemienia grzechu i nie zamierzał dokładać sobie kar czyścowych, unikając umartwienia. Pieniądzy by mu starczyło: przekazy przychodziły regularnie, najpierw z Warszawy, potem z Petersburga, ale zamieszkanie w lepszej części Wiecznego Miasta byłoby zbędnym luksusem. Janowi starczało, że mieszka tak blisko serca Kościoła, wśród pamiątek wielkiego imperium i w mieście przodującym w sztukach oraz naukach. Dla prostego chłopca z Kuźmina było to coś wielkiego.

Rozpalił w piecyku, nalał do garnka wody na poranną toaletę, po czym narzucił na ramiona szlafrok. Lutowe chłody dawały mu się we znaki, ale przecie nie było to nic wielkiego, w porównaniu z mrozem w Polsce czy na wołyńskich polach.

Jan ruszył na poranną wycieczkę w dół. Zszedł po drabinie na piętro trzecie, potem skierował się schodami na parter. Tam czekał na niego stały łup: torba z pieczywem, kostką masła i sera, a także zwinięta w rulon gazeta codzienna, wydawana przez ojców z Zatybrza. Pozdrowił swoich sąsiadów, porozmawiał chwilę z prowadzącym dom panem Zatronnim, a potem ruszył w górę. W akompaniamencie trzeszczących schodów oraz trzeszczących stawów zastanawiał się, czy nie warto by było przenieść się nieco niżej, gdyż zdrowie poza ojczyzną mu nie dopisywało, ale odrzucił tę myśl, niegodną prawdziwego stoika.

Gdy dotarł z powrotem do swojej izby, woda była już dość ciepła, aby przemyć nią spocone ciało. Potem Jan siadł przy oknie, pokroił pieczywo i nałożył nań masło. Już po pierwszym kęsie, uznał, że bułki rzymskie nie zachowały nic z glorii

miasta papieży i cesarów, a mąka italska ma się nijak do tej polskiej. Ale cóż, pokutujący wygnaniec był przecież stoikiem.

Otworzył gazetę i ominął krzykliwy nagłówek o bezbożności Napoleona i bezprawiu, którym kieruje się francuska armia. Od razu wyszukał na czwartej stronie doniesienia z zagranicy. Rzeczpospolita nie miała własnej rubryki, i to już w żadnej gazecie na świecie, ale Jan znalazł doniesienia z imperium ruskiego. A tam... Serce Jana zabiło żywiej, kącik oka zrosiła łza. Tam było o Jego Wysokości, byłym królu Polski i Wielkim Księciu Litwy, jego dobrodzieju i zdrajcy Ojczyzny.

Czy imperator Paweł Romanow to nieślubny syn Stanisława Augusta Poniatowskiego? – pytał anonimowy autor artykułu. Potem przywoływał krążące po Piotrogradzie plotki, wedle których car Paweł traktuje zdetronizowanego króla Polski niczym rodzica, okazuje mu należny ojcowi szacunek i nakazuje wszystkim szanować go, jak panującego monarchę. Potem jednak autor przyznaje, że taka możliwość jest bardzo mało prawdopodobna, gdyż imperatorowa Katarzyna, choć swego czasu skłonna Poniatowskiemu, poznała go już po urodzeniu syna. Autor złośliwie zauważał, że problemy rodzinne u wschodnich schizmatyków już nieraz narażały państwo na cierpienie, a legendy o prowadzeniu się zarówno Katarzyny, jak i Stanisława Augusta podsycają podobne plotki. Pod koniec artykułu Jan znalazł coś bliższego jego sercu niż frywolne domysły. Ponoć petersburski korespondent gazety donosił, że stan zdrowia króla się pogorszył.

Były monarcha schnie na wygnaniu. Poddaje się chorobom, traci wagę i jeść nie chce, nawet gdy służba carska sprowadza mu przysmaki z ziem dawnego Królestwa Polskiego. Jan spojrzał na nadgryzioną bułkę i poczuł w gardle nieprzyjemne pieczenie. Choć król traktowany jest niczym najmilszy gość rosyjskiego cara, nasz korespondent donosi, że ten dawny hulaka i rozpustnik porzucił uciechy ciała i zwraca się bardziej ku sprawom duchowym. Cóż, rychło w czas! Jan bardzo szanował ojców redaktorów, ale uważał, że czasem mogli odpuścić nieprzyjemne zaczepki wobec Rosjan i zdetronizowanego króla. Ci pierwsi cierpieli przecież i tak jako schizmatycy i poddani samodzierżawnej władzy, a Stanisław August ponosił właśnie karę za porzucenie swojego państwa. Lekarze obawiają się o życie najświetniejszego gościa na petersburskim zamku. I my życzymy JKM zdrowia i sił, ale warto tu przypomnieć, że jeśli król zostawiłby po sobie dobre wspomnienie w kraju, jego poddani zanosiliby modły za jego pomyślność. Tym smutnym wnioskiem zakończył artykuł anonimowy autor.

A Jan przymknął powieki i oparł się na siedzeniu fotela. Z jego oczu popłynęły dwie łzy, na żal losowi dwóch wygnańców, żyjących resztę swych dni z dala od domu, na dwóch odległych skrajach Europy.

## Wtedy, Warszawa

Odgłosów dobiegających z małżeńskiej alkowy Jerzego i Barbary Butzauów nie dało się pomylić z niczym innym. Jerzy z trudem powstrzymywał głośny szloch, gdy zbliżał się do sypialni. Osiem lat zgodnego i, jak mu się wydawało, szczęśliwego małżeństwa właśnie przechodziło do historii. Czarna jak węgiel noc listopadowa naigrywała się z rogakza, świszcząc wschodnim wiatrem i płacząc ze śmiechu zimnym deszczem. Jerzy Henryk Butzau, dumny hajduk na dworze królewskim, zrozumiał, że jego życie się skończyło. Choć usta szeptały modlitwy i po niemiecku, i po polsku, w sercu nie było ani krzty pobożności. Wręcz przeciwnie, krzepło w żalu i gniewie.

Jerzy chwycił stojący na korytarzu ozdobny czekanik, prezent od najjaśniejszego pana z okazji trzech odsłużonych w Warszawie lat. Chwycił podarek (ale i broń!) w dłoń i podniósł ją drżącą ręką. Potem otworzył drzwi do sypialni i wślizgnął się w mrok pomieszczenia.

Nie mogło być mowy o pomyłce: w łóżku, w jego łóżku, leżała Barbara oraz obcy mężczyzna. Przyciskał panią Butzau do posłania, ale w odgłosach, które wydawała pani domu, nic nie sugerowało, aby do porubstwa doszło w wyniku groźby lub gwałtu. Ba! Barbara wydawała się bardzo kontenta działaniu intruza. Sam zboreźnik zaś chyba się zupełnie nie wstydził grzechu, głośno sapiąc i parskając niczym ogier z targu na Królewskiej.

To nie powinno było się zdarzyć! Jerzy zostawił żonę na kilka dni, aby wraz z kilkoma umyślnymi pojechać do kampinoskich pawilonów myśliwskich króla i przygotować wyprawę władcy. Załamanie pogody zniweczyło te plany. Deszcze, ziąb i smutne wieści o chorobie księcia Czartoryskiego spowodowały, że król zmienił zdanie. Posłaniec od marszałka Lubomirskiego przyjechał do leśnej stancy i przekazał wieści Jerzemu. Ten, jak niepyszny, zabrał swoich ludzi i ruszył z powrotem do Warszawy... dzień wcześniej niż zapowiedział. *Och, Barbaro! Czemuś nie dochowała wiary!?* – pomyślał Jerzy, wznosząc w górę czekan.

To, co stało się potem, było koszmarem śnionym podczas innego koszmaru. To Barbara pierwsza zauważyła męża. Krzyknęła, co jednak nie zwróciło uwagi

sprośnego gościa, który kontynuował swoje grzeszne zajęcia. Nim jednak ostrze czekana spadło na okryty peruką czerep intruza, kobieta w rozpaczliwej próbie obrony kochanka podniosła nogi, jednocześnie osłaniając go ciężką kołdrą. Tylko dlatego obuszek, zamiast rozłupać czaszkę gacha, zaplątał się w pościel i ześlizgnął w bok. Dotarł jednak do skóry sprośnika.

– *Sacré bleu!* – krzyknął nocny gość. – Straż!

Odwrócił się ku napastnikowi, po czym zastygł przerażony. Jednak na pewno nie był tak zdumiony i wstrząśnięty jak Jerzy Henryk Butzau, który rozpoznał intruza. Hajduk patrzył w wykrzywione i zakrwawione oblicze Stanisława Augusta, z Bożej łaski i woli narodu króla Polski, wielkiego księcia litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowieckiego, żmudzkiego, kijowskiego, wołyńskiego, podolskiego, podlaskiego, inflanckiego, smoleńskiego, siewierskiego i czernihowskiego. A ten wbił zaskoczone spojrzenie gdzieś w przestrzeń ponad Jerzym. Ze stuporu obu wyrwał krzyk Barbary.

– Jezu, uciekaj! – zawołała cudzołożnica.

Mimo że nie sprecyzowała, kto miał uciekać, to król uznał, że powaga sytuacji zmusza go do działania. Zaklął jeszcze raz, po czym sturlał się z łoża i wybiegł z sypialni. Za nim ciągnęła się czerwona smuga krwi.

– Ja... ja... – szeptała Barbara.

Jerzy wypuścił z dłoni czekan, który upadł na zmierzwioną i ubrudzoną pościel. Mąż i żona zastygli na kilka zdrowasiek, intensywnie myśląc, co teraz czynić należy. Coś podpowiadało i Jerzemu, i Barbarze, że zdradzonemu mężowi wypadało teraz rozłupać głowę niewiernej żony. Byłby to śmiertelny grzech, ale i czyn dla gospodarza właściwy. Ale po pierwsze Jerzy nie chciał zabijać żony, a Barbara nie chciała zostać zabita przez męża, po drugie tożsamość kochanka niezwykle komplikowała wszelkie dalsze posunięcia rodziny Butzauów.

– Czy to był... czy... – szeptał Jerzy.

– Tak, to najjaśniejszy pan – odparła Barbara. – Chyba go zabiłeś.

Jerzy rozejrzał się po sypialni. Na chwilę skupił wzrok na podłodze. W mroku ślad krwi wydawał się ogromny, ale hajduk wiedział, że zmysły mogą mu płatać figle. Chciał uklęknąć i sprawdzić, jak wiele monarszej juchy zabrudziło mu podłogę, ale kiedy wyciągnął rękę ku klepkom, natrafił na czekan.

– Zabijesz nas? – zapytała Barbara.



W tym pytaniu uderzyły Jerzego dwie rzeczy. Po pierwsze względną trzeźwość przyłapanej cudzołożnicy i świadka zamachu na władcę. Po wtóre z tonu głosu żony Jerzy wnosił, że wolałaby rychły kres życia z ręki męża niż wszystko, co miało nastąpić, gdyby w jej domu wyzionął ducha król.

– Ciszej... słyszę... on żyje! – szepnął Jerzy.

Z czasów służby w gwardii pamiętał, że rany głowy bywają zwykle śmiertelne... ale czasem mylą lekarzy i cyrulików. Krwi zawsze było dużo, ale jeśli czaszka nie pękła, mogło to oznaczać życie dla rannego. Jednak czy oznaczało to coś dobrego, czy wręcz przeciwnie. Król był jednocześnie żywy i martwy: odgłosy z korytarza świadczyły, że się poruszał, ale póki nie opuścił domu swojego sługi, bardzo nie wypadało mu wzywać pomocy.

Jerzy wstał, ścisnął czekan i ruszył ku drzwiom. Widok przed sypialnią go przeraził, ale nie zaskoczył. Król żył i pełził ku drzwiom wejściowym. Częściowo na kolanach, częściowo podpierając się o ścianę, poruszał się i krwawił. Jerzy stanął w progu, nie wiedząc, czy powinien oprzeć się na czekanie, czy podnieść go do ciosu.

*Zabiję króla?* – szepnął w duchu. *Czy puszcze go, a on powie marszałkowi, aby mnie wlekli końmi po Miodowej? A może nic nie powie? Przecież to on się do mnie włamał...* A Stanisław August zdawał się słyszeć myśli gospodarza. Wciąż podążał ku zbawiennym drzwiom, na przemian jęcząc i szepcząc klątwy, ale też wyraźnie dając do zrozumienia Jerzemu, że istnieje szczęśliwe zakończenie tej nieszczęśliwej historii.

– Jam jest twoim królem, przysięgałeś mnie chronić, oddać za mnie życie. Przysięgałeś przed Najświętszą Panią...

Butzau powstrzymał się od kąśliwej uwagi, że on do zakonu papistowskiego nie należy i Maryi niczego nie przysięgał.

– ...przysięgałeś, prawda? O, *sacré bleu!* Umieram... Ale nikt niczego nie widział, słyszysz? Nie widział!

*Ja widziałem. I Barbara. I król widział* – pomyślał Jerzy. *Bóg widział i Najświętsza Panią. Wasz grzech i moją hańbę. Wszyscy, którzy się liczą, widzieli. A on dba tylko, aby nie było skandalu większego niż zwykle, aby ambasador von Saldern nie miał z króla zbytnej pociechy... Zły to człowiek.*

Ale hajduk nie wymierzył ciosu, szedł powoli za uciekającym królem, wznosząc nad głową obuszek, niczym egzorcysta wznosi krzyż nad opętanym. Wyganiał królewskiego intruza z domu i gdyby wołał „Apage! Vade retro Satana!”<sup>[1]</sup>, nie wyglądałby ani trochę śmieszniej. W dodatku czuł na plecach wzrok żony, która musiała stać w drzwiach, nie wiedząc, jak się jej grzeszna przygoda skończy.

*Powinienem... coś zrobić!* – myślał Jerzy, ale w tej samej chwili król dotarł do drzwi, rozpaczliwym pchnięciem otworzył je na oścież i wyczołgał się na ulicę. Gdy Butzau i jego nadziak dotarli na próg, królewski intruz zniknął już w mroku Świętojańskiej. Poczawszy nagły przyływ odwagi, hajduk potrząsnął bronią, jakby groził wszystkim monarchom świata. Jego chwilę triumfu przerwał głos Barbary.

– Jezu, zabije cię!

– Szybko znajdziesz pociechę! – warknął Jerzy i już bez słowa skierował się ku drugiej sypialni. Przechodząc obok pokoju dziecięcego, jeszcze przez chwilę myślał, czy jego hańba była wiadoma córkom, a jeśli tak, to czy cokolwiek z tej sceny zrozumiały.

– Juruś, ty musisz uchodzić z Warszawy! – zawołała za nim żona.

– Trzeba go było zarąbać – odpowiedział sługa. – I ciebie...

– I mnie... – zgodziła się Barbara Butzau.

A Jerzy zamknął drzwi, tylko udając złość na małżonkę. Chciał wyć, chciał umrzeć, a jeśli nie mógł inaczej ukoić żalu, chciałby się znaleźć faktycznie jak najdalej od stolicy. Czuł, że w głowie kołuje mu się wiele pytań, ale nie miał siły na nie odpowiadać. Tylko ciekawskie duchy w jego świadomości szeptały niemo: „A co, jeśli ją zmusił? Król jej groził, że jeśli nie ulegnie, ucierpisz ty i dzieci...”. Ale Jerzy z każdą chwilą coraz bardziej żałował, że nie ubił władcy. Zdał sobie sprawę, że to nie troska o nieśmiertelną duszę ani tym bardziej wierność przysiędze uratowały życie Stanisława Augusta. Ocaliła go tchórzliwość zdradzonego męża. *Jakże mam się Basi dziwić, że takiego stąbulca jak ja nie chce!* – pomyślał hajduk i w tej samej chwili uznał, że już nigdy się nie zawaha. Jeśli los dozwoli mu jeszcze raz zmienić historię, zrobi to.

A niecałe dwie staje dalej oddział żołnierzy otaczał swojego najdroższego podopiecznego. Żołnierze regimentu gwardii pieszej koronnej stali wokół trzech męzczyzn: monarchy oraz dwóch rosyjskich oficerów, jednego w mundurze

pułkownika, drugiego – kapitana. Kapitan wyciągał przez siebie ciepły płaszcz, co Stanisław August powitał z wyraźną ulgą. Noc była chłodna.

– Najjaśniejszy panie, kogo trzeba... – zaczął pytanie pułkownik Cocceji, ale monarcha mu przerwał.

– Niczego nie trzeba, Cocceji. Na spacerze byłem i wpadłem w kałużę.

– Panie... – szepnął gwardzista, patrząc na wysoce niekompletną garderobę króla.

– Cichaj! Wszyscy słyszą!

Wtedy kapitan gwardii otulił Poniatowskiego płaszczem i podniósł na nogi, niczym ojciec podnosi upadłe dziecko. Szeptał też coś do ucha władcy, ale ten zareagował ze złością.

– Nie! Co ty sobie myślisz... jak cię zwać?

– Żubrowski, najjaśniejszy panie. Kapitan Sebastian Żubrowski. – A widząc, że nie przemówił do rozsądku monarsze, dodał: – A może chociaż przesłucham... tego znad kałuży?

– Wracamy do zamku! – zakomenderował Poniatowski. – I ani słowa. Cocceji, prowadź.

Po chwili wszyscy trzej weszli boczną bramą do królewskiej rezydencji, a pozostawieni na ulicy gwardziści udawali, że nie pojęli wagi, jaką miał nocny spacer najjaśniejszego pana.

## Wtedy, karczma na trakcie marymonckim

Dawid Szerbaum, agent na służbie wielmożnego Tadeusza Zaleskiego, stał za szynkiem i patrzył to na swoich gości, to na nabity pistolet pod ladą. Od razu powiedzmy, że rozważał, nie czy go wyciągnąć i wypalić w głowę przywódcy tajemniczych obieżyświatów, ale co najwyżej czy sobie w łeb nie palnąć. Przybycie trzydziestu ponurych podróżników wieszczyło nieliczne kłopoty. Nieznajomi płacili dobrą monetą, i to z góry, co zakrawało na rzecz tak niewiarygodną, że doświadczony karczmarz rozumiał grozę sytuacji. Żaden szlachcic nie płacił Żydowi z góry, no chyba że chciał go zabić lub pożyczyć odeń jeszcze więcej pieniędzy.

– Gospodarzu... – zagadnął jeden z przybyszów, chyba wódz wyprawy – ...powiedzcie nam, prosimy: czy puszczą przez roгатki o takiej porze?

Dawid chciał zapytać: „a po cóż wchodzić do stolicy w tak czarnej godzinie, długo przed świtem?”, ale powstrzymał swój język. Odparł tylko:

– Tego nie wiem, panie. Ja się o takich porach do miasta nie zapuszczam.

– Ale strażę są po nocy? – Karczmarz skinął głową. – A po tych okopach to wejść nie sposób, tak, aby nie widzieli?

– Ja nie wiem, panie. Ja uczciwie... to znaczy wchodzę za dnia i opłatę uiszczam, bo w prawie stoi, że do miasta Żydzi po opłacie tylko wchodzą.

– I nigdyś się nie przekradał obok straży? – zapytał wędrowiec. Podeszedł do szynkwasy i spojrzał karczmarzowi w oczy. – Tylko mi tu nie kłam, bo wyczuję wiarołomcę!

– Panie, a po co ja do Warszawy miałbym jeździć? Spokojnie tu siedzę, panu Zaleskiemu posesji pilnuję...

– A... nic właściwie – powiedział przybysz znacznie łagodniejszym głosem. – Głupie pytanie. Jutro wejdziemy do miasta, jak wszyscy.

Potem ruszył do ławy, przy której tłoczyli się jego towarzysze. Usiadł na zydlu, niewygodnym, ale od ciżby oddalonym, i spojrzał na swoich druhów. Dodajmy, że spojrzenie to było surowe i płonęło pod czarnymi jak marymoncka noc brwiami.

Siedząc na niewielkim stolku, mężczyzna wydawał się olbrzymem, wyższym od niemal wszystkich kamratów.

– Trudna rada, panowie – odezwał się po chwili. – Dziś nie wejdziemy, to ryzyko. W dodatku karczmarz się domyśla.

– Boże, czego, Stanisławie? – zapytał siedzący na ławie obok wąsaty i równie wysoki chudzielec.

– Chyba wszystko przejrzeni. Nie da rady, trzeba go będzie uciszyć.

Przez kilkanaście uderzeń serca grupa podróżników patrzyła po sobie posępnie, ale nikt nie odważył się odezwać. Dopiero gdy Stanisław otwierał usta, aby potwierdzić rozkaz, odezwał się drugi z olbrzymów siedzących przy stole, blondwłosy i ubrany z startą kurtę posiadacz najdłuższych wąsów i najwyższej podgolonej głowy w towarzystwie.

– Panowie bracia, tak się nie godzi! – Na te słowa zamarł nawet Stanisław, zaskoczony słowami współnika. – Nie, nie zabijemy tego nieszczęśnika!

– Ale przecież tajemnica... plan się wyda! – jęknął siedzący po jego prawicy spiskowiec. – A ojcowie na Jasnej Górze dyspensę dali, aby *in extremis* uśmiercić świadków sprawie grożących...

– Ale chrześcijan! A to Żyd! – niemal krzyknął wąsacz. Pozostali wbili w niego ciekawe spojrzenia. – No przecie gdybyśmy dobrego chrześcijanina dla sprawy ubili, tobyśmy jego duszę ku niebiosom wysłali, jak list pocztynionem. Ale tego pohańca to ku ogniom piekielnym pchamy. Nie, po trzykroć nie, mówię! Tego grzechu na sumienie nie wezmę.

– No to, Janie, może za potrzebą pójdziesz? – zaproponował chudy towarzysz.

– Nie, nie skrzywdzimy Żyda! – krzyknął Jan, a słyszący to Dawid jęknął ze zmieszania i ulgi.

– Cichaj, słyszy! – warknął Stanisław.

– No co, że słyszy. Kuźma nie chce go zabijać... – cierpko zauważył chudzielec. – I tak sprawa święta przepadnie.

– A nu, przepaść to nie przepadnie. Tylko jego dusza nie spłonie – odparł Jan. – Możemy go ochrzcić tu i teraz, a potem tak łaskawie w czoło chlasnąć, to nieborak nic nie poczuje. A dusza zbawiona.

Towarzysze jego zaczęli szeptać gorączkowo, omawiając ów ze wszech miar logiczny plan, ale gdy karczmarz spojrział na nich podejrzliwie, zamilkli. W tym

momencie niepokój Dawida zmienił się w lodowate poczucie zguby. Wąsaci panowie powbijali wzrok w stół i podłogę, nerwowo drapali się za uszami i boleśnie krzywili oblicza. Tylko Jan Kuźma wydawał się zachowywać zimną krew.

– Dobry człowieku... – zaczął głosem nieco ochrypłym i niepewnym. – Czas to takie nadeszły ekstraordynaryjne, że zwykłych sposobów procedowania imać się nie sposób... – W tym momencie zapas elokwencji skończył się spiskowcowi, gdyż szepnął tylko do towarzysza: – Stanisławie, od lewej!

I tak dwaj szlachcice skoczyli ku karczmarzowi. Dodajmy: tylko w połowie udanie, bo choć Kuźma zręcznie wstał i ruszył na Żyda, jego towarzysz zwany Stanisławem poślizgnął się na wilgotnej podłodze, zachwiał i upadł na wciąż siedzących kompanów, nie dość, że grzebiąc szansę na własny sukces, to jeszcze trzymając innych przy stole. A Kuźma zdołał zręcznie stanąć na drodze Dawida do drzwi, ale karczmarz w ciemną bitą nie był: pchany falą rozpaczliwej siły, ruszył ku oknu, osłonił twarz rękawem i skoczył ku wolności.

Prawie. Okno okazało się zamknięte, więc gdy spiskowcy z trudem wstawali od stołu, a Kuźma wolnym, a strategicznym krokiem podchodził do Żyda (bacząc, by nie zostawić mu dość miejsca na ucieczkę po drugiej stronie stołu), Dawid siłował się z zasuwą okiennicy. Ostatecznie odblokował ją, otworzył okno i wpuścił do przytulnego wnętrza karczmy falę lodowatego deszczu. Nie baczył jednak na niewygodę – wyskoczył w noc, dwa lub trzy uderzenia serca zanim złapał go Kuźma.

– Gonić go! – polecił spiskowiec.

Sam ruszył ku wejściu, zostawiwszy towarzyszy zdumionych, a nade wszystko niechętnych wychodzeniu w noc. W konfrontacji ze słotą zaczęły do ich umysłów dochodzić zarówno te bardziej racjonalne, jak i miłosierne pomysły.

– Nie... panowie, nie będziemy tego biedaka z szablami gonić... – ostrożnie powiedział Stanisław.

– No i tak ciemność... nie znajdziemy go – poparł towarzysza wódz podróżników. – Zresztą co on nam szkodzi? Kogo ostrzeże?

– Niczego nie słyszał! – wziął stronę naczelnika chudy młodzieniec. – Kto uwierzy pijanemu Żydowi po nocy?

– A był pijany?

– No nie, ale może być, prawda?

– Dobrze, to zawołajcie Jana... Niech go ostawi – zdecydował Stanisław. Ale łatwiej było ten zamiar zaordynować, niż wykonać.

Kuźma wypadł z karczmy i powiódł spojrzeniem wokół. Nie było to łatwe – ciemność panowała egipska, gdyż nawet księżyc i gwiazdy szczelnie były przykryte kocem chmur. Oślepiony blaskiem kaganków z wnętrza, Jan widział przed sobą zwodnicze plamy powidoku, więc z trudem odróżniał nawet nieco jaśniejszą smugę traktu od czarnej ściany lasu. Co jednak ratowało tropiciela – jego ofiara znajdowała się w stanie niemal identycznej konfuzji.

Pierwszy powrócił zmysł słuchu. W pewnej chwili Kuźma w szumie deszczu usłyszał ciężki oddech kogoś przed sobą. Ruszył niepewnym korkiem ku źródłu dźwięku, ignorując wszystko inne...

– Janie, wracaj! – zakrzyknął ktoś od progu karczmy, ale spiskowiec już nie zważał na głosy rozsądku.

Niczym chart ruszył za swoją zwierzyną. Chart, dodajmy, świeżości i siły nie pierwszej: pól ślepy, zdyszany już na wstępie gonitwy, zupełnie nieobeznany z okolicą łowów. Gdyby nie to, że ścigał zupełnie niesprawnego uciekiniera, odpadłby w tych biegach od razu. Miał jednak szczęście – gdy z karczmy odezwały się pierwsze głosy wołające Jana z powrotem, karczmarz krzyknął niespodziewanie:

– Panie wielmożny, pomiłuj! Towarzyszy posłuchaj!

– Tuś mi, bratku! – sapnął Kuźma i ruszył biegiem ku Dawidowi.

Pościg nabrał tempa. Żyd uchodził do gęstego lasu na wschodzie, ale Kuźma odzyskał już zupełnie władzę zmysłową w uszach i podążał za chrzęstem łamanych gałęzi. Ten wyścig nie powinien trwać tak długo, niczym gepardy i antylopy opisywane przez portugalskich podróżników, ścigający i uchodzący zwykle rozstrzygali swój agon błyskawicznie: albo myśliwiec szybko docierał do ofiary, albo uchodzący, korzystając ze znajomości terenu, krył się przed pościgiem. W tym przypadku obie strony tych morderczych zawodów były równie źle przygotowane do udziału. Ubrany w cienką koszulę Dawid szczekał zębami z zimna, a jego zmałowany strachem umysł wybierał fatalną drogę ucieczki przed spiskowcem. Ten zaś nie miał pojęcia, dokąd biegnie, nie posiadał żadnego ognia, a w dodatku myślał intensywnie, co zwykle nie szło u niego w parze z uwagą skierowaną na otoczenie.

W ten sposób gdy Dawid wiódł swego prześladowcę w głąb lasu, Kuźma zdał się zapaść w dziwne odrętwienie, w którym ciało ruszało się samo jak młyńskie koło na rzece, a umysł przebywał gdzieś zupełnie indziej. *Jezu, ja chcę zabić tego nieszczęśnika. Dla sprawy, aby się nasz plan nie wydał... ale dlaczego? To nie jego wina, że nas widział, niczym nie zawinił Bogu i ludziom, no prócz podtrzymywania żydowskich zabobonów, rzecz jasna...*

I Jan, który był człowiekiem porywczym, ale do długiego gniewu nienawykłym, studził duszę wraz z każdą kroplą spadającą na jego ciało. Po kilkunastu zdrowaśkach pościgu, wiedział już, że przegrał. Oto miał nadzieję, że Żyd ucieknie, że zgubi go w ciemności. I nawet jeśli z tego miały nadejść jakieś tragiczne terminy, lepiej by było, aby ktoś szalony gniew Jana powstrzymał. Ta modlitwa została wysłuchana niemal natychmiast.

Kuźma wypadł na polanę i zobaczył duchy. Był tym widokiem tak zaskoczony, że nie zdążył się przestraszyć. Stał jak wryty i dopiero gdy do jego uszu dotarł wrzask przerażenia karczmarza, uwierzył, że widziany przez niego tuzin zjaw nie jest złudą.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego... – szepnął spiskowiec.

– Amen! – odpowiedział chór duchów. A jeden z nich dodał cichym, ale jakoś przenikającym szum deszczu głosem:

– Dobry człowieku, czego gonisz tego biedaka?

– Wyście nie duchy potępione? – zapytał Kuźma.

– Broń słodki Jezu i Matko Jego Najświętsza – zaprzeczył naczelnik zjaw. – Odpowiedz, proszę, na pytanie.

– Ochrzcić Żyda chciałem – powiedział Jan, właściwie nie kłamiąc.

– I dlatego biedak tak uciekał?

– A potem... nie mogę powiedzieć, com potem zamierzał.

– Czy nie chcesz czekać, aż światło Bożej mądrości spłynie na tego grzesznika samo?

– A wiecie, dobrzy ludzie, dusze czy insze stwory... To już wasze zmartwienie. Ja próbowałem! – zapewnił Jan i bez słowa obrócił się na pięcie.

Tuzin zjaw na polanie zastygł w tym, co u ludzi mogło się zdać stanem bezbrzeżnego zdumienia, ale u duchów chyba było naturalnym stanem rzeczy. Tylko Dawid jęknął raz jeszcze i zemdłał z wrażenia.



A Kuźma szedł przed siebie, nie wiedząc w pełni, dokąd zmierza. Ponieważ skierował się w stronę mniej więcej przeciwną wcześniejszemu pościgowi, nie zablądził, ale po chwili dotarł do drogi zakroczymskiej, a tam usiadł na przydrożnym kamieniu, aby trochę pomyśleć. Deszcz wciąż padał, ale albo lżej, albo spiskowiec nie czuł już nieprzyjemnej wilgoci na ciele. Jednak natury oszukać się nie dało i po chwili Kuźma poczuł przejmujący chłód płynący i od kamienia, i z mokrego ubrania.

– Nie zabiłem go... – szepnęła w noc. – Co te duchy z nim uczynią, to już nie moja sprawa.

Wstał i powlókł się na północ. Tylko przypadkiem zgadł swoje położenie dobrze – po chwili zauważył światło w oknach karczmy i usłyszał nawoływania towarzyszy. Ci się martwili losem Jana, choć nie na tyle, aby wyjść w mrok i ziąb.

Wpuścili go bez słowa, a młody chudzielec zwany Markiem przejął obowiązki karczmarza i nalał Janowi grzanego piwa. Ktoś inny przyniósł wełnianą derkę i okrył nocnego łowcę. W milczeniu patrzyli, jak ten pije i uspokaja rozedrgane ciało.

Towarzysze popatrzyli na Kuźmę ciężkimi spojrzeniami, w których potępienie mieszało się z ulgą. Nikt nie ważył się odezwać pierwszy, ale kilka spojrzeń spoczęło na Stanisławie. Ten obserwował Jana i myślał, jak zapytać o ślady krwi na rękach.

– No co? – zapytał w końcu Kuźma.

– Co z Żydem?

– Ostawiłem go z duchami – odparł spiskowiec. – Biada naszym duszom!

– Janie... – rzekł Stanisław – ...nie trap się. Zrobiłeś, co musiałeś, a i dyspensę miałeś na powalenie naszych wrogów.

– Nie ochrzciłem go – powiedział posepnie Kuźma. – Zostawiłem go na pastwę demonów... Źle się ta nasza wyprawa zaczyna, skoro od krwi na rękach!

Aby podkreślić wagę swoich słów, podniósł prawą dłoń do światła lampki. Juchy nie było wiele i pochodziła w całości z podrapanych przez krzaki rąk Kuźmy, jednak nawet ta odrobina czerwieni zrobiła wrażenie na zebranych. Jeden ze spiskowców przyniósł z szynkwasu czystą chustę i delikatnie wytarł nią prawicę towarzysza. Stanisław zaś podszedł i poklepał Jana po ramieniu. Reszta grupy poszła w ślady wodza.

Chwilę później akt przejęcia karczmy przez wędrowców został dopełniony – przybysze wymościли się na ławach i dokonali rekwizycji znalezionych koców i pierzyn. Nie było jednak w tej własnościowej swobodzie nic ze złośliwości ani pijackiej beztroski, którą wielu ze spiskowców w podobnych sytuacjach wyrażało. Goście dbali o obejście należące do pana Zaleskiego oraz zarządzane przez (jak się im wydawało) świętej pamięci żydowskiego ajenta.

Niedługo później zasnęli snem sprawiedliwych. Tylko Jan siedział przy ławie, pił resztę zimnego już piwa i próbował zgadnąć, czy jest już mordercą, czy jeszcze nie. Żałował, że nie może zapytać o to ojca Konrada z Jasnej Góry. Ten z pewnością wytłumaczyłby mu wszystko, co trzeba.

Deszcz nadal uderzał w okiennice karczmy, a w końcu nawet ciężkie sumienie Kuźmy okazało się lżejsze od powiek. Pierwszy dzień warszawskiej wyprawy tajemniczych wędrowców dobiegł końca.

\* \* \*

Wstali dość wcześnie i sprawnie zjedli posiłek. Posprząтали, ile mogli, a nawet zostawili na znalezionej pod szynkwasem karcie krótką notatkę do właściciela, przepraszając go za zniszczony dobytek (ale nie za ubytek karczmarza). Potem odśpiewali pieśń nabożną i narzucili płaszcze.

Spiskowcy opuścili karczmę przed świtem. I dobrze, bo gdyby zostali jeszcze kilka zdrowasiek, mogliby zauważyć przemokniętego Dawida Szerbauma, ajenta na służbie wielmożnego Tadeusza Zaleskiego. Karczmarz siedział w gęstwie młodej dębiny, kuląc się w ciepłe uwitego z gałęzi namiotu. Nie do końca rozumiał, jak się z powrotem przy austerii znalazł, ale wiedział, że żyje, białe zjawy nie uczyniły mu niczego złego, a straszni goście nad ranem zniknęli bez śladu.

Za to wzniósł do Adonai bezgłośną modlitwę dziękczynną, po czym wszedł do oberży. Nie licząc zbitej szyby i zasłoniętego tylko drewnianymi okiennicami okna, przybytek ostał się w niezłym stanie. Prócz brudnych mis i kufla goście zostawili na szynkwasie kilka monet, których wartość mniej więcej odpowiadała cenie posiłku i noclegu. Za szybę nie zapłacili, ale przecie to nie oni ją zbili.

Dawid się zafrasował. Co prawda nie powstrzymało go to od nasycenia głodu resztką chleba i piwa z dnia poprzedniego, ale jedząc swoje śniadanie, myślał, co

począć dalej. Wąsaty morderca darował mu życie, tak samo jak tuzin leśnych duchów. Ale czy pan Zaleski byłby tak samo dobrotliwy? Dawid uznał, że lepiej nie mówić nic, samemu zapłacić za szybę, a w razie pytań twierdzić, że to grupa bezczelnego chłopstwa z Wawrzyszewa rozbijała się w karczmie. Gdy zauważył napisany przez intruzów list, zmiął go zamasyście, po czym wrzucił do pieca. Papier zajął się od wciąż gorącego popiołu, Dawid zaś wrócił do stołu i skupił się na zaplanowaniu nadchodzącego dnia. Choć nie spodziewał się w niedzielę żadnych gości, myślał, czy mógłby sobie pozwolić na powrót do domu. Wezwałby za szynk Maćka i Krystynę, chłopów z okolicy, co już wiele razy mu przy karczmie pomagali, i ostawił ich na noc, a sam wróciłby do domu. Zobaczyć rodzinę i w spokojności napić się śliwowicy. Cóż mogło się w ten zimny i mokry, ale skądinąd piękny dzień złego stać?

Co prawda gdzieś w głowie ajenta tkwiły słowa dziwnej modlitwy gości, ale nie przywiązywał do nich wielkiej wagi. Ot, panowie szlachta pośpiewali sobie chrześcijańską modlitwę. Jeśli Dawid dobrze pamiętał, brzmiała ona:

*Stawam na placu z Boga ordynansu,*

*Rangę porzucam dla nieba wakansu,*

*Dla wolności ginę,*

*Wiary swej nie minę:*

*Ten jest mój azard.*

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Ja, Jean-Baptiste Lefebvre, kupiec korzenny, zostałem niedawno poproszony przez Akademię, aby opisać moje doświadczenia z pobytu w Warszawie, stolicy Królestwa Polskiego, gdzie przebywałem jesienią 1771 roku. Prośba ta wiąże się z dyskusją, jaką rozpętały artykuły pana Woltera i doktora Gallupe'a w paryskiej prasie, opisujące wojnę domową w Rzeczpospolitej i interwencję rosyjską, zakończoną smutnymi zdarzeniami, nazwanymi Rozbiorami Polskimi. Nie wchodząc w szczegóły tej debaty, niektórzy moi Koledzy z Akademii uznali za słuszne bronić zaboru ziem Republiki Polsko-Litewskiej i winę za upadek niegdyś potężnego kraju zrzucić na grupę buntowników, zgromadzonych w konfederacji barskiej. Nie jestem uczonym, tylko prostym kupcem. O politykę i moralność w sprawach państwowych spierać się z uczonymi mężami nie ośmielę, ale muszę naprostować tych kilka nieścisłości, które pan Wolter i doktor Gallupe zawarli w swoich tekstach, jak mocno wierzę, bez złej woli, a wyprowadzeni w pole przez plotkarzy i oszczerców.

Jak już wspominałem, moja podróż przez ziemie polskie, litewskie i ruskie przypadła na okres wielkiego wzmożenia ludów i głów rządzących. Choć u nas nie pamięta się o domowej wojnie Polaków, w latach 1768–72 szlachta zgromadzona w tak zwanej konfederacji barskiej wypowiedziała posłuszeństwo królowi Poniatowskiemu, nazywając go kukłą Rosji i zbyt słabym władcą. Król nasz, luby wspierać wszelkie starania o wolność, dozwolił wesprzeć ów rokosz (podjęty jednak ze szlachetnych pobudek) pomocą finansową i radami naszych oficerów. Jednak gdy konfederacja okazała się zbyt zawzięta i nieskora do negocjacji, Ludwik zdecydował się zawiesić wsparcie dla ludzi być może szlachetnych, ale opanowanych swoimi ideami aż do punktu wrzenia głów. Jak się okazało, uczynił to w ostatnim momencie, gdyż rokoszanie w roku 1771 przystąpili do aktu ze wszech miar dziwaczego, jak i godnego potępienia.

Kiedy wróciłem do Paryża, pytano mnie, czym widział próbę uprowadzenia króla Poniatowskiego. Odpowiadałem, że nie, bo i taka była prawda. Gdyby taką kwestię

zadać niemal każdemu mieszkańcowi stolicy polskiej, Warszawy, musiałby odpowiedzieć jednakże, gdyż to dziwne zdarzenie odbyło się w nocy, w deszczu i nic o nim pewnego rzecz nie sposób. Zamachowcy wniknęli do stolicy potajemnie i porwali monarchę z jednej z głównych ulic miasta. Można rzecz, że wszyscy na to patrzyli, a nikt nie widział, a ów paradoks okazał się pierwszym z długiej listy dziwnych zdarzeń, które wstrząsnęły Rzeczpospolitą na początku listopada 1771 roku. Opowiem o nich tak, jak potrafię, ale czego nie widziałem na własne oczy ani od wiarygodnych świadków nie słyszałem, muszę uzupełnić moimi domysłami. A o domysły bardzo w tej historii łatwo, gdyż jej finał rozegrał się w podwarszawskich lasach, znanych z opowieści o duchach i zbrojnych, jakby puszcza ta pradawna nie graniczyła ze stolicą wielkiego kraju, ale była zapomnianym przez Boga skrajem cywilizowanego świata.

Nic więc dziwnego, że w owej puszczy, w rozlewisku rzeki i wodzie czerwonej jak rdza lub krew, rozegrał się dramat, który mógł odmienić losy dumnego kraju i jego władcy. Jak zwykle w takich przypadkach, opowieść ta będzie obfitować w wypadki krwawe i nieprzystojne do czytania mojej relacji płochej młodzieży. Proszę więc Szanownych Czytelników, aby nie traktowali tej opowieści jak sprośnego romansu, ale szukali w historii porwania króla Stanisława lekcji dla naszej i młodzieży naszej moralności.

## II

### Teraz, Petersburg

Król na przemian spał, budził się, krzyczał i uspokajał, ale nie można było powiedzieć, że wrócił mu rozum, choćby na chwilę. Przybyło za to ludzi, gdyż dla pułkownika i znacznej części służby stało się jasne, że Stanisław August nie umrze, a przynajmniej nie tak od razu, więc próba przeczekania pierwszego lokatora pałacu Marmurowego mijala się z celem, a może nawet zmniejszała szansę na ocalenie stanowiska i głowy.

Z rozmów doktora Weissa z innymi lekarzami Artem wniósł, że stan zdrowia pacjenta się poprawił, to znaczy jest tylko krytyczny. Jednak, przynajmniej przez chwilę, zdecydowano się szukać medykamentów, a nie gotować egzekwie. Odtąd sypialnią zarządzali lekarze, nie rzymscy kapłani.

Sam Artem awansował na karbowego doktora Weissa i była to rola dość bezpieczna, przynajmniej do czasu, aż o śmierć króla nie obwinia właśnie tego lekarza.

– Oczywiście, że umrze – powiedział Weiss, zapytany na stronie przez Artema.  
– Najważniejszym zadaniem jest to, aby król nie wyzionął ducha na naszej służbie.

Potem zaś mieszały dziwne maści i syropy, o których Artem wiedział tylko tyle, że śmierdzą jak piekło i pewnie smakują nie najlepiej. Stanisław August nie mógł jednak protestować, gdyż trwał w półśnie przerywanym tylko okazjonalnymi dawkami medykamentów. Łykać jedzenia nie mógł, więc Weiss i jego koledzy wlewali w królewskie gardło płynne środki. Lekarze orzekli zgodnie, że mają do czynienia z apopleksją spowodowaną bodźcem doustnym. Czy jednak było to zwykłe jedzenie, które zaszkodziło pacjentowi o wyjątkowo kruchym zdrowiu, czy faktycznie ktoś najjaśniejszego pana otruł, nie wiadano.

Kiedy Weiss uznał, że niczego więcej nie zrobi, rozkazał przynieść sobie do sypialni fotel i rozłożył się nań wygodnie. Na straży zdrowia króla zostawił Artema. Dał mu klepsydrę i lusterko, po czym rozkazał zapisywać częstość

oddechów pacjenta. Sługa bardzo się owym zadaniem przejął. Po pierwsze to on pilnował, czy królowi się nie pogorszy. Po drugie, choć cyfr kiedyś się uczył, a nawet używał ich często, rachując swoje wynagrodzenie i zakłady przy ruletce, to powyżej dwudziestu arytmetyka wkraczała dla niego na niebezpieczny poziom, zdaniem młodzieńca zdatny dla umysłów tylko szlachetnie urodzonych. Ostatecznie podzielił swoje obliczenia na okresy równe przesypującej się porcji piasku, i zapisywał oddzielnie każdy cykl. To było łatwiejsze, gdyż w tym czasie król dychał od szesnastu do dziewiętnastu razy.

W ten sposób Artem nachylał się nad byłym królem byłej Rzeczypospolitej i liczył tworzące się na szkle mgiełki. Dzięki temu dość intymnie zapoznał się z zapachem królewskiego oddechu (znacznie mniej wykwintnym, niż sługa się spodziewał) i rzeżeniem, dobywającym się z ust władcy. Po pewnym czasie Artem zrozumiał, że to, co oni biorą za zupełnie pozbawione sensu odgłosy, jest w istocie próbą mowy.

Król szeptał coś, ale z powodu skrętu kiszek i słabości w piersi na zewnątrz wydobywały się tylko niekształtne jęki i chrapoty. Artem postanowił jednak czekać i wychwytywać te momenty, w których mowa Poniatowskiego stawała się choćby na chwilę zrozumiała. Po kilkunastu pacierzach zdołał zapisać kilka urywków zdań.

*Marymont? Marymoncki?*

*Zabili*

*Zabiłem*

*Jesteśmy winni*

*Młyny*

*Duchy lasu*

Ponieważ jednak znajomość lackiej mowy Artema znacznie zbladła od czasu śmierci matki, nie był pewien, czy czegoś nie pokręcił. Kiedy doktor Weiss wstał, sługa bał się pokazać mu notatki. Nie miał jednak wyboru – spisywał je w tym samym zeszycie co liczone oddechy króla.

– Co to za dziwy? – zapytał zaspany Niemiec.

– Dyszenie najjaśniejszego pana. To znaczy po lewej stronie. A tam to, co król szeptał.

– No, oddech niemal uspokojony, choć szybki – ocenił lekarz. – A te majaki... Synu, czy ty wierzysz w te plotki, że go konfederaci barscy chcą ukatrupić?

Młodziak chwilę się zastanowił, nie będąc pewnym, jaka odpowiedź usatysfakcjonuje doktora. Ostatecznie uznał jednak, że żyjąc na dworze, musi kłamać praktycznie każdemu, więc odrobina szczerości raz na jakiś czas nie zaszkodzi.

– Ja tam nie wiem, panie doktorze. Ale jeśli jakakolwiek szansa na to jest...

– Racja, pokazać komuś warto. Chłopcze, odpocznij, a przy tym sprowadź pułkownika...

– Zabiłem ich! – jęknął chory, otwierając naraz oczy i usta. – Ja... miał mnie w garści...

– Znasz polski, chłopcze? – zapytał Weiss.

– To może ja już pobiegnę po pułkownika... – odparł Artem i nim lekarz skinął głową, sługa się wyprostował.

Ale wtedy królewski pacjent złapał Artema za nadgarstek i z siłą zupełnie nieprzystającą do opłakanej kondycji fizycznej przyciągnął go do siebie. Zaczął szeptać nerwowo, tym razem mieszając wszystkie znane sobie języki. Zdania wypowiadał po polsku, ale okraszał je rosyjskimi i francuskimi przekleństwami, a kilka razy Artem usłyszał słowa, które musiały pochodzić z łaciny i angielskiego. W ten sposób, gdyby lekarz i sługa połączyli swoje umysły w jedną całość, rozumieliby niemal wszystkie skargi chorego. Niestety, nie było to możliwe, więc domyślali się tylko sensu. Artem zrozumiał całkiem sporo:

– Prawie mnie zabili, ale ja wybaczyłem... Bo tam, na Marymoncie, Jan pokazał mi... Boże, jak boli. Duchy! Białe zjawy porwały Żyda do piekła. A mnie zostawiły przy życiu. Piecze... Boże, gardło piecze...

Artem wyrwał się z uścisku króla i ruszył biegiem szukać dowódcy gwardii.



## Wtedy, Warszawa

Do ranka Jerzy nie zmrużył oka. Zasnąć nie mógł i z powodu nerwów, i niewygodnego łoża w gościnnym pokoju. Wstał, umył się i ubrał bez słowa, nie zaglądając ani do izdebki córek, ani sypialni żony. Nie miał odwagi rozmawiać z dziećmi, ani siły nawet patrzeć na małżonkę. Ich niewielkie, ale podzielone na zaskakującą liczbę przylegających do długiego korytarza pokoi mieszkanie wydawało się zupełnie martwe.

Idąc ku wyjściu, Jerzy czuł na sobie wzrok zza uchylonych drzwi. Ale po przekroczeniu progu, wejściu w chłód jesiennego poranka odetchnął z ulgą. Tak czy inaczej, wszystko miało się tego dnia skończyć. Jerzy chciał spojrzeć królowi w twarz i przekonać się, czy znajdzie spokój czy śmierć.

Wszedł boczną furtą do zamku, bez zbędnych słów przebrał się w hajduczy mundur. Potem zaś dołączył do straży podczas śniadania najjaśniejszego pana. Ujrzawszy króla, niemal nie zemdlał. Zupełnie się tego nie spodziewał.

Stanisław August nie zauważył Butzaua. Nie dlatego, że się nie rozglądał, ale ponieważ nie widział niemal niczego. Królewska peruka była zsunięta na czoło, niby w geście niedbałości, ale z pewnością miała maskować opatrunek. Rana, którą zadał władcy zazdrosny mąż, musiała być znacznie poważniejsza, niż się Jerzemu wydawało. Oto biała peruka podsiąkała krwią, czoło monarchy było opuchnięte. Sam Stanisław August udawał jednak, że dopisują mu zdrowie i humor. Śmiał się niezwykle głośno, tak że Jerzy zawyrokował, iż cios w głowę uszkodził królewskie ucho. Lewa ręka władcy trzęsła się zauważalnie, kiedy podnosił do ust łyżkę z zupą. Zjadł też posiłek bardzo szybko i równie szybko odprawił reprezentacyjną służbę.

Butzau i trzech inni hajducy zostali skierowani przez porucznika gwardii na stróżówkę na parterze. Tam czekali niemal do południa. Znudzeni towarzysze Jerzego nie podejrzewali żadnych kłopotów, ale Butzau wiedział, że niedyspozycja króla została zauważona. Nie był jednak pewien, ile osób znało przebieg nocnej eskapady Stanisława Augusta.

W końcu przyszedł do nich pułkownik Cocceji w towarzystwie nieznanego kapitana gwardii. Coś w wyglądzie tego oficera przypominało Jerzemu o przesłuchaniach, przypalaniu żywcem i wleczeniu końmi po Miodowej.

– Wy trzej, idźcie na obiad – polecił Cocceji. – A ty, Butzau, zostaniesz i porozmawiamy.

W Jerzym zaczynał budzić się ten rodzaj odwagi, który cechuje skazańców tuż przed wejściem na szafot. Było już mu wszystko jedno, tym bardziej że nie zamierzał owej nocy wracać do Barbary. Chciałby jeszcze przytulić córki przed tym... czymkolwiek, co się miało stać, ale nie żałował swojej powściągliwości tak bardzo. *Lepiej, aby mnie nienawidziły, niż za mną płakały* – pomyślał.

Kiedy trzej kompani Jerzego wyszli, pułkownik i kapitan usiedli na ławie pod ścianą, a dowódca wskazał nieznoszącym sprzeciwu gestem, aby hajduk usiadł na obitym welurem fotelu. Mimo że to Butzau zajął znacznie elegantsze miejsce, czuł się niczym przestępca usadzony na ławie oskarżonych.

– Jeśli którekolwiek z naszych słów opuści to pomieszczenie, będziesz wisiał – na wstępie zaznaczył Cocceji. Potem spojrzał na drugiego z oficerów. – Żubrowski?

– Kto zadał tę ranę królowi? – zapytał wprost kapitan.

– Ja – odparł Butzau pchany mieszanką rezygnacji oraz dumy. Poza tym zaczynał rozumieć, że szafot nie jest mu pisany, a w każdym razie nie od razu.

– Naszedł cię w domu? – kontynuował pytania kapitan, a Jerzy był już pewien, że najjaśniejszy pan nie opowiedział swoim gwardzistom o szczegółach nocnej wyprawy. – Czego chciał?

– Ode mnie niczego, ale... – słowa płynęły nie przez jego gardło, ale obok, jakby wypowiadała je jakaś inna osoba – ...od mojej żony... To panowie sami zapytajcie.

– Żonę? – zdziwił się Cocceji.

– Króla – poprawił go Jerzy, nagle zaniepokojony, że jego niewierna i zdradziecka, ale jednak ślubna małżonka mogłaby być ciągnana po śledczych gabinetach.

– Czy ty chcesz pieniędzy, Butzau? – zapytał szorstkim głosem kapitan zwany Żubrowskim.

– Chciałbym, aby obcy mężowie nie wchodzili mi w nocy do domu – odparł hajduk.

Cocceji zaklął, wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. Za to Żubrowski patrzył w oczy przesłuchiwanemu, a po kilku zdrowskach uśmiechnął się, chyba współczująco.

– Spokojnie, panie pułkowniku. Damy sobie z nim radę – zapewnił, po czym znów spojrzał na Jerzego. – Butzau, spotkała cię wielka krzywda. I choć mogę ci współczuć jako człowiek, to jako gwardzista królewski powiem tyle: powiesz komukolwiek o tej nocy, a nie zdążysz pożałować.

– Wy, waszmościowie, nawet nie wiecie, co on mojej żonie zrobił?

– Żyje? – zapytał Żubrowski. Jerzy skinął głową. – Poturbowana? Nie, to Bogu dzięki. Źle się stało, ale pieniędzy nie dostaniesz.

– Co, ja? – zachnął się Jerzy i zerwał na równe nogi. Do głowy uderzyła mu fala gorąca, dłonie same zacisnęły w pięści. Sapał kilkanaście oddechów, rozluźnił mięśnie dopiero pod surowym spojrzeniem kapitana.

– Przepraszam cię, Butzau – powiedział Żubrowski. – Źle cię oceniłem. Ty nie jesteś intrygant, nie podsunąłeś żony naszemu królowi, tylko padłeś ofiarą łajdactwa. Ale niestety, taki nasz los, że my musimy podobne łajdactwa kryć i sprawdzać, czy najjaśniejszemu panu grozi jakaś infamia z jego przygód płynąca. Czy zmuszał do czegoś twoją żonę?

– Nie wiem... – odparł Jerzy, ledwo powstrzymując płacz. Sam już nie wiedział, czy chciałby żonę wyrzucić z domu, czy błagać ją na kolanach o wybaczenie.

– Nie zbadamy tej sprawy – przyznał szczerze Żubrowski. – Za krótkie nasze nogi na królewskie progi. Ale wierzę, że najjaśniejszy pan nie będzie się mścił. Jeśli jest tak, jakieś powiedział, wstyd go powstrzyma przed szykanami na tobie. Tylko błagam, dobry człowieku, nie rób niczego głupiego! Nie rozgłaszaj o tym nikomu. My nie powiemy i król nie powie.

– Co, jeśli znów...

– Sam zdecydujesz – odparł kapitan. – Może trzeba go było trzasnąć w czoło tym czekaniem, choć wtedy byś był ćwiartowany na Piekiełku.

– Umowa jest prosta, Butzau – wtrącił milcząco dotychczas pułkownik. – Ty nic nie mówisz, my pilnujemy króla. Przecie mu się twoja żona znudzi zaraz. Wróci do tej pułkownikowej Grabowskiej czy inszej...

– To co ja mam robić, panowie oficerowie?

– Nic, dobry człowieku – odparł Żubrowski. – Jeśli ci sumienie i honor pozwalają, służ dalej. Jeśli nie, to pan pułkownik wypisze zwolnienie ze służby, ale nie od razu, a od nowego roku, żeby ludzie nie gadali.

– Ja przysięgałem bronić króla...

– A on w *pacta conventa* przysięgał przestrzegać praw. Jak na razie twoja obietnica mocniejsza niż jego... – zaczął Żubrowski, ale zobaczywszy karcący wzrok Coccejego, zamilkł.

– Idź już, zjedz coś – powiedział w końcu pułkownik. – Tak na zapas, bo wieczorem jedziecie z orszakiem na jakieś wizytacje. A jeśli by ludzie coś o twojej żonie gadali, przyjdź do nas od razu.

– Tak, panie pułkowniku. Dziękuję.

Skłonił głowę i wyszedł na korytarz. Coś dziwnego płonęło w piersi Jerzego Henryka Butzaua. Oto ten prosty sługa, bez herbu i z niemieckim rodowodem, czuł, że jego honor wyższy jest niż ten królewski. Rzucone w złości kilka słów Żubrowskiego okazało się balsamem na serce hajduka. Oto ten odkrył, że jest winny tylko swoich grzechów, a i zasługi własne winien sam świętować. W owej chwili zdecydował nawet wybaczyć żonie, nawet gdyby to ona po dobroci króla do łoża przyjęła.

*To nie moja wina, że z niej taka latawica. Ja ślubów dotrzymałem. Tom lepszy nie tylko od króla, ale i od niej.* I w owej chwili pomyślał, że równy jest herosom starożytności, których dumne oblicza na ścianach zamku widział. Był równy ostatnim legionistom, broniącym Rzymu przed hordami barbarzyńców, był jak... Tu chciał wyciągnąć z pamięci jakiś triumf honoru swojej nowej ojczyzny, ale uznał, że przez ostatnie pokolenia Rzeczpospolita nie może się pochwalić zbyt wieloma tragicznymi porażkami, gdyż jej porażki były niezwykle banalne. Tak czy inaczej, stwierdził, że będzie lepszym sługą, niż król jest królem.

Na obiad zjadł zwykłą kaszę z omastą i słodkie, ale nieco już twarde (gdyż z dnia poprzedniego) bułki śmietankowe. Potem zaś poprawił mundur i ruszył do służby różnym krokiem, nie mogąc już się doczekać, aż wróci do domu i opowie o swoim niezwykłym honorze żonie.

## Wtedy, Warszawa

Jak się okazało, przejście przez roгатki miejskie nie nastręczyło trudności spiskowcom. Sądząc po zachowaniu strażników, ci przepuściliby nie tylko towarzyszy Jana Kuźmy, lecz także samego generała Pułaskiego, o ile uściłby odpowiednie myto.

Wał ziemny, hucznie nazwany okopami marszałkowskimi, miał otaczać całą stolicę i chronić jej mieszkańców przed zarazą ciała i ducha, to jest dżumą i konfederacją antykrólewską. Prawda była jednak dość prozaiczna: jako fortyfikacja wały stanowiły przeszkodę tylko w czasie deszczu, gdyż niechlujnie podstawione zwały w połączeniu z wodą zatrzymywały intruzów. Jan jednak nie potrafił sobie wyobrazić ochronnego ich działania przy lepszej pogodzie.

Kuźma pierwszy raz był w stolicy. Miasto króla nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia, ot, po pokonaniu okopów granicznych trzeba było jechać jeszcze kilkanaście staj, aby zabudowa okrzepla, a domy zaczęły wyglądać okazale. Co bardziej obcy w świecie towarzysze tłumaczyli mu, że mijają obok piękne rezydencje możnych panów, ale w deszczu i błocie owe świetne ogrody nie wydawały się Janowi ani trochę zachęcające.

Gdy dotarli zaś do kraju Nowego Miasta, grupa podzieliła się na pięć oddziałów, z których każdy miał doczekać do zmroku na wyznaczonej kwaterze. Janowi wypadł los gościć u Walentego Łukawskiego, co ten przyjął z nieukrywaną ulgą. Walenty wydawał się szczerym towarzyszem, Warszawę znał dobrze, posiadał tu własny dom. W dodatku żona jego Marianna była niebrzydką kobietą, i choć żadne grzeszne myśli nie chodziły po Janowej głowie, cieszył się na myśl o dniu w towarzystwie urodziwej i obytej niewiasty. Oczywiście, nic z tego nie wyszło.

Jeszcze przed rozejściem się na stancje spiskowcy zdążyli zacząć spór. Strawiński i kilku innych, raczej mądrych, acz duchowo oziębłych towarzyszy proponowali wyznaczenie ataku na moment wyjścia króla z kolegiaty Świętego Jana. Pochwycenie króla w dzień świąty tuż przed kościołem mogło być łatwiejsze ze względu na ogólny zamęt i słabsze warty na ulicach. Kuźma obstawał przy

planie pierwotnym, zatwierdzonym przez generała, tym bardziej że sojusznicy na dworze potwierdzali, że król wieczorem wyjedzie na miasto.

W teorii to wyznaczony przez Pułaskiego Kuźma dowodził oddziałem szturmowym. Jednak z racji starości herbu i zasług wojennych przodków Stanisław Strawiński miał pieczę nad całą akcją. Gdyby nie dość świętokradcza propozycja towarzyszy, Janowi nie przyszłoby do głowy spierać się ze Strawińskim. Jednak musiał – dla bezpieczeństwa duszy własnej, towarzyszy oraz powodzenia akcji.

– Za przeproszeniem, Stanisławie, dziś dzień święty święć! Porwiemy po mroku!

Ta deklaracja spiskowca ucięła dalsze spory. Wściekły Strawiński wyznaczył więc zbiórkę na czas niesporów u braci kapucynów, tak że wszystkie trzy dziesiątki spiskowców miały wartować wzdłuż ulicy Miodowej. Praktycznie cały dzień minął im na nerwowym czekaniu do zmierzchu. Ten czas wykorzystano w domu Łukawskich bardzo praktycznie: spiskowcy rozebrali się do rosołu, a ich podmokłe na szlaku ubrania wypełniły pokoje gospodarzy, tak że idąc przez mieszkanie miało się wrażenie, że to jakiś dziwaczny las. Walenty polecił służbie, aby rozstawiła grzewcze kozy między płaszczami towarzyszy, a sam siadł w salonie i częstował gości winem (dodajmy: dość rozcieńczonym, acz nie z powodu skąpstwa gospodarza, tylko przestróg Kuźmy, który nie chciał brać pijanych ludzi na akcję).

Chwilę po zmierzchu Łukawski zarządził wielkie ubieranie. Rozleniwieni ciepłem i przytulnością domu spiskowcy z trudem wciskali się w podróżne stroje i narzekali głośno na swoją dolę, co doprowadzało Jana do pasji. Kuźma do ostatniej chwili pielęgnował swoje pistolety, patrząc na powierzonych jego pieczy towarzyszy. Miał wrażenie, że w tym domu tylko on naprawdę chciał pochwycić fałszywego króla. Co się zmieniło? Kiedy rok wcześniej jego kompani wiwatowali, słysząc, jak konfederacka Generalność ogłasza detronizację Ciołka, każdy z nich przechwalał się, że może w każdej chwili ruszyć do Warszawy i ukarać oszusta. A kiedy nadchodziła chwila próby, cała ta buńczuczność zniknęła.

Trudno powiedzieć, że deszcz rozpadał się znowu, gdyż lecące z nieba strugi właściwie nie zatrzymały się nawet na chwilę. Gdyby nie podsuszone buty i płaszczy, Kuźma sam czułby pokusę, aby porzucić misję i wracać do Częstochowy, z dala od tego miejskiego brudu, Moskali i pokus wielkiej metropolii. W drodze

ku klasztorowi kapucynów szeptał różańce, dziwiąc się, że jest jednym (no, może prócz młodego Marka), który w godzinie próby poleca duszę Bogu. Gdy zza kapucyńskich murów dobiegły pierwsze głosy modlitwy wieczornej, zamiast dołączyć do pobożnych mnichów, spiskowcy potraktowali pieśń tylko jak hejnał na wymarsz.

– No, to co robimy? – zapytał Łukawski.

– Czekamy... – odparł Kuźma.

– Ale wszyscy? Tam przed pałacem Krasińskich kawiarnia jest, w której można posiedzieć w cieple...

Jan chwilę się zastanawiał, ale jego namysł przerwał głos Strawińskiego.

– Bracia, zostawmy warty na Miodowej i chodźmy do środka. – A nim Kuźma zdołał zaprotestować, jego towarzysze ruszyli spełnić ten zamiar.

## Wtedy, Warszawa

Odwiedziny u wuja Michała król bardzo szybko uznał za pomysł niezwykle chybiony. Gdyby jeszcze zaproszono go do budowanej właśnie rezydencji na Powązkach, pobyt u szacownego protektora z lat młodości i wiernego sojusznika czasów królewskich można by uznać za ciekawy. Ale Michał Fryderyk Czartoryski cierpiał na najzwyklejszy atak podagry i chciał się tylko wyzalić królewskiemu krewniakowi. Nie potrzebował pomocy innej niż duchowa, a odkąd nie przyjmował w domu księży, zamiast się wyspowiadać, spraszał wszelkich znajomych na rozmowę. Owej niedzieli padło na najjaśniejszego pana.

Król starał się zakończyć wizytę od momentu przekroczenia progów pałacu Błękitnego. Specjalnie nie zabrał eskorty ułańskiej, tylko czterech uzbrojonych hajduków i kilku poręcznych, aby uczynić z tego ważki argument za rychłym powrotem. *Muszę wracać, wuju drogi – mówił w myśli monarcha. Pewnie się moja gwardia na śmierć zamartwia, co się ze mną stało i pułkownik Cocceji gotowy jest posłać w miasto konnych.*

To akurat była prawda, choć pewnie sam Cocceji do szukania króla się nie garnał, ale jego nowy adiutant, sprytny jak szatan szlachetka z Wołynia Żubrowskim zwany, zamęczał go pewnie wizjami porywaczy, wysłanych przez samego Kazimierza Pułaskiego. Tak czy inaczej, gadaniny kanclerza Czartoryskiego przerwać było nie sposób. Króla uratował pęcherz magnata, który w pewnym momencie wezwał Czartoryskiego na stronę. Stanisław August skorzystał z sytuacji i opuścił salon wuja szybkim krokiem, polecając zostawić bilet wizytowy z przeprosinami.

A musiał już wyjść. Głowa bolała go niemiłosiernie i choć lekarze zapewniali, że rana na głowie to niegroźne draśnięcie, Stanisław myślał o śmierci w męczarniach spowodowanej wstrząśnieniem i obrzękiem mózgu. Chciałby jak najszybciej zapomnieć o przygodzie z poprzedniego wieczora, niestety ogień pałacy jego czaszkę czynił to zadanie niezwykle trudnym. Choć krew nie podsiąkała już bandaży, w królewskich uszach wciąż huczało, i to nie tylko od uderzenia płazem



czekana. Przede wszystkim grzmiały tam haniebne słowa, które sam Stanisław wypowiedział.

Prawdziwy król nie błaga poddanego o litość. Ale prawdziwy król nie wślizguje się w obce domy jak złodziej. Jeśli już grzeszy rozwiązłością, robi to jawnie, w świetle dnia. Wysyła rogatego męża na wojnę, przy setkach świadków i plotkarzy. Ale Stanisław August Poniatowski herbu Ciołek nie był prawdziwym królem.

Kto klęknie raz, będzie klęczał do śmierci – tę prostą prawdę monarcha przyswoił już dawno. Umizgi wobec Katarzyny, błagania wobec Repnina, nawet zimne, acz rozpaczliwe prośby wobec ambasadora von Salderna tak weszły mu w krew, że nie miał skrupułów kajać się przed własnym hajdukiem.

W dodatku wziął go na wieczorne odwiedziny. Zrobił to zupełnie przypadkowo: nie pamiętał, którego ze swych ludzi przyprawił o rogi, więc nie prosił o zmianę asysty na owo popołudnie. Zresztą czy to coś zmieniało? Hajduk był takim samym tchórzem jak on i jeśli nie zatłukł go w małżeńskim łóżu, raczej nie był zdolny zrobić tego w królewskiej karecie.

Noc czerniała już na dobre, a mimo to na uliczkach Warszawy panował zaskakujący ścisk. Królewski woźnica musiał wymijać grupki ludzi, najwidoczniej spędzających niedzielny wieczór na moknięciu wzdłuż Senatorskiej. Chwilę później karetą dotarła do rogu Miodowej i tam stanęła. Wyrwany z ponurych myśli Stanisław August chwycił laskę i zastukał nią w burtę pojazdu.

– Dlaczego stoimy?

– Panie, ulica zalana, przez plac nie przejeździem.

– To co, stać będziemy?

– Nie, ale naokoło trzeba – odparł woźnica.

Król nie skomentował tego utrudnienia, padł tylko głębiej na siedzenie i westchnął teatralnie. Siedzący naprzeciw niego Jerzy Butzau wbijał wzrok we wzory na burcie karocy i nie odpowiadał na zachowania władcy nawet najdrobniejszym ruchem, mimo że czuł na sobie pytające spojrzenie.

– I co, Butzau, będziesz tak milczał? – zapytał wreszcie Poniatowski. – Powiedz coś albo zaśpiewaj. Kiedy jest cicho, piszczy mi w uchu.

– Nie umiem śpiewać, najjaśniejszy panie – odparł Hajduk. – Poza tym to nie mój obowiązek.

– Obowiązek? A kiedy się z ciebie taki filozof zrobił?

– Wczoraj w nocy, najjaśniejszy panie – odpowiedział sługa, licząc chyba, że to zatka usta królowi. Pomylił się.

– Czyli twoim obowiązkiem jest tylko biegać za mną ubrany w ten paradny mundur?

– Też bronić najjaśniejszego pana do ostatniej kropli krwi, jeśli zajdzie taka potrzeba.

– A zajdzie? Butzau, jesteśmy w Warszawie, w środku kraju, co może się stać? – zapytał król Staś, trzy uderzenia serca przed tym, nim padł pierwszy strzał.

Kula uderzyła w szybę i bok karety, ale drzazgi z uszkodzonej burty posypały się do środka. Kilka z nich wbiło się w policzek Szymona Mikulskiego, drugiego z hajduków siedzących w karocy, nie czyniąc śludze poważnej szkody, ale wzbudzając atak paniki u siedzącego naprzeciw króla. Stanisław August krzyknął, kiedy powóz przyśpieszył. Pojazd pędził Miodową, a przez stłuczone okno i furkocząca firankę widać było mijany pałac Branickich. Niestety, woźnica pchnął konie nie ku płacowi, ale na północ.

Król kulił się na siedzeniu, całkiem rozsądnie chcąc stanowić jak najmniejszy cel. Butzau i Mikulski byli zbyt zaskoczeni, aby stracić głowy. Obaj sięgnęli pod siedziska po pistolety. Ten Jerzego był dokładnie i niedawno nabity, za to z broni Mikulskiego poleciał stary proch. Sługa sięgnął jednak pod nogi, aby wyciągnąć stamtąd czekan – obuszek podobny do tego, jaki król sprezentował Jerzemu.

– Nie pał, póki się nie zatrzymamy – syknął Mikulski, starszy wiekiem i stażem od kolegi. – Panie, leż spokojnie.

Łatwo było powiedzieć, trudniej zrobić. Nagle pojazdem wstrząsnęło, a krzyk i rżenie koni świadczyły, że woźnica próbował zatrzymać pojazd. Padł drugi strzał, tym razem już celowo do środka. Kula wleciała przez okno, przebiła kołnierz królewskiego płaszcza i utkwiała w drewnie burty. Gdyby monarcha nie pochylił głowy, Rzeczpospolita mogłaby wejść w okres interregnum. Kolejna fala drzazg posypała się na pasażerów, a cały pojazd przechylił niebezpiecznie na bok.

– Łapać go! – odezwały się głosy z zewnątrz.

Potem padły jeszcze dwa strzały i od tej pory ciszę nocy przerywały już tylko kroki podkutych butów na ulicznym bruku. Król spojrział na Jerzego i obaj zrozumieli w owej chwili znacznie więcej, niż można by ująć w słowa.

*Słodki Jezu, on mnie teraz może ubić i zrzucić winę na... kogokolwiek, kto do nas strzelał!* Butzau trzymał załadowany pistolet pewnym chwytem. Opierał się o burłę pojazdu i oddychał głęboko. *A może i on jest w spisku? Nie, jakim cudem? Dopiero wczoraj mu zbałamucilem żonę. Komu zdążyłby mnie wydać? I kto w ogóle strzelał? Lubomirski prawdę mówił i konfederaci przybyli mnie zabić?*

– Panie, ściągnij płaszcz – polecił Butzau.

Hajduk odłożył pistolet i sam zaczął zdejmować węgierski kaftan. *Zabije mnie!* – pomyślał Poniatowski, ale jednocześnie nie mógł zrozumieć, w czym taka maskarada hajdukowi pomoże. Dlatego posłusznie zaczął ściągać ciężkie nakrycie, szybko zaplątując się w jego rękawy.

– Szymonie, król uciecze do najbliższej bramy – powiedział do towarzysza. – Ty siecz wszystkich wokół i udawaj, że to ja jestem królem.

– Nasi uciekli – odparł Mikulski.

– Tak. Teraz tylko my bronimy najjaśniejszego pana.

Coś w głosie Jerzego zmroziło Stanisława Augusta jeszcze bardziej. W słowach tego zmęczonego życiem tchórza pobrzmiwała tak wyraźna żelazna wola, że gdyby Poniatowski usłyszał ją dwa dni wcześniej, nawet nie pomyślałby patrzeć lubieżnie na Barbarę Butzau. Potem zdał sobie sprawę jeszcze z czegoś: został sam z tymi dwoma hajdukami. Jednego trzymał na służbie od dekady, bez awansu ani podwyżki, a drugiemu zbałamucił żonę. Na ich miejscu sprzedałby siebie nie za trzydzieści srebrników, ale za dwa czerwońce.

– Panie, trzeba uchodzić. Osłonimy cię – zapowiedział Jerzy, delikatnie popychając króla.

Mikulski kopnął z całej siły drzwi karety. Te wypadły z zawiasów, wpuszczając do środka deszcz i zimno nocy. Wypuściły za to ogień śmierci. Jerzy wypalił do pierwszej sylwetki w mroku. Chybił, ale na chwilę oślepił, a na pewno zaskoczył napastników. Potem wyskoczył w królewskim płaszczu na mokry bruk ulicy. Tuż za nim spadł władca, wypchnięty przez Mikulskiego.

Jerzy cisnął bezużytecznym już pistoletem ku najbliższemu z napastników. Ten atak już poskutkował, gdyż uderzony w brzuch spiskowiec jęknął i osunął się na kolana. Hajduk skoczył na następnego, tak aby otworzyć drogę ucieczki monarsze. Pchnął wysokiego napastnika, którego my znamy już jako Walentego

Łukawskiego. Potem zaś krzyknął dziko, ściągając na siebie uwagę wszystkich agresorów.

Gruchnęły dwa strzały: jeden z ręki Marka, chybiony lub dany nisko, na postrach oraz drugi, ten z pistoletu Kuźmy. Kula minęła ramię Jerzego i poszybowała dalej, ku czerepowi króla. Tu drugi raz niebiosy okazały łaskę monarszemu grzesznikowi, gdyż Stanisław August poślizgnął się i padał właśnie na bruk. Dlatego kula, miał ugodzić go w szyję, tylko zahaczyła bok głowy, zrywając perukę, stary opatrunek i wzbudzając fontannę krwi.

Szymon natychmiast rzucił się wspomóc swojego władcę, co okazało się błędem. Jeden z zamachowców trafił starszego hajduka pałaszem w ramię i poprowadził cięcie dalej po plecach. Ostrze na pewno przecięło kubrak, bo Mikulski wrzasnął i padł na mokry bruk, nie dosięgając Stanisława Augusta. Jerzy widział, że choć jego kamrat być może żyje, na pewno mu już nie pomoże. Oto na placu boju został sam.

Nikt się nie nabrał na fortel z królewskim płaszczem, tym bardziej że monarcha nie założył niczego w zamian. Zobaczywszy padającego Mikulskiego, z trudem wstał i sięgnął po lekką szpadę, niesioną przy pasie bardziej dla mody niż obrony. Butzau wiedział, że nie tędy prowadziła droga do ratunku.

– Panie, uchodź! – krzyknął i skoczył ku monarsze.

Stanisław August dobył broń i stracił ją chwilę później. Wysoki napastnik odepchnął Poniatowskiego, niechcący przesuając końcem ostrza po twarzy króla. Kolejna fala krwi zmieszała się ze strugami deszczu, a gdy monarcha zaczął wrzeszczeć, praktycznie wszyscy napastnicy zamarli.

– Żywcem brać, mówiłem! – polecił jeden z nich.

– Uchodź! – krzyknął raz jeszcze Jerzy i sięgnął po trzymany przez najbliższego spiskowca pistolet.

Nie dotarł nawet do celu. Ciężkie cięcie pałasza uderzyło w ramię hajduka i zagłębiło się w ciało. Butzau poczuł falę zimna, która rozlała się od ręki. Nie było to doznanie bolesne, tylko wysysające wszelkie siły i chęć do życia. Padł na bruk, a upadek ten złagodził drugą ręką. Nie mógł jednak podnieść głowy, słyszał tylko odgłosy szarpaniny.

– Zabierzcie mu szablę – krzyczał ktoś. – Dobrze, na konia, na konia, mówię! Janie, ruszaj, moja dziesiątka zmyli pościg.

– Z Bogiem, Stanisławie! – odparł drugi głos, po czym rozległ się tętent kopyt.

A Jerzy Butzau leżał bez ruchu na bruku, powoli zbierając siły na ruszenie głową. Kiedy wreszcie udało mu się lekko wygiąć szyję, zauważył, jak grupa kilkudziesięciu napastników dzieli się na dwa oddziały. Mniejszy z nich ruszył w głąb ulicy Miodowej, a większy otoczył samotnego konia obciążonego żywym ładunkiem. Hajduk zrozumiał, że przypinano właśnie króla pasem do zwierzęcia, a pozostali zamachowcy wiodą wzrokiem po ciemniej ulicy i placu Krasińskich. Nie sposób było jednak powiedzieć, czy szukają świadków, czy sprawdzają, kogo by tu jeszcze dobić.

Po chwili jednak grupa dwudziestu spiskowców ruszyła za koniem, zostawiwszy krwawiących jak pogańskie ofiary hajduków na ulicy. Jerzy poczuł, że coś rusza się po jego prawicy. Jak się okazało, był to Szymon pełznący ku towarzyszowi.

– Nie ruszaj się, bracie! – syknął.

– Ja... – W głosie sługi poznał przerażenie i zrozumiał, że Mikulski patrzył na niego. – Jerzy, ty...

– Już dobrze, przyjacielu...

Połączywszy reakcję Mikulskiego z widokiem płynącej do kałuży czerwieni i niknącym w całym tułowiu czuciem, Butzau zrozumiał, że umiera, a jego towarzysz to wiedział. Dlatego nie protestował, kiedy Szymon czołgał się dalej i ostatecznie chwycił jego sztywniejąca już rękę. Potem obaj mężczyźni zamarli, nie mogąc wykrzesać z siebie więcej sił. Odezwał się tylko Mikulski.

– Tylko my zostaliśmy, inni uciekli.

Jerzy Butzau chciał powiedzieć, że to oczywiste, gdyż byli najodważniejszymi strażnikami króla, wiernymi danemu słowu i lepsi w byciu poddanymi niż Ciołek w byciu królem. Chciał też dodać, że przebaczył żonie, i z całego serca pragnie zobaczyć córki. Jednak z jego gardła wydobył się tylko cichy charkot, a chwilę potem – ostatni oddech. Szymon Mikulski został na ulicy sam.

## Wtedy, Warszawa

Strawiński najpierw polecił swoim dziewięciu ludziom wejść do bramy pierwszej napotkanej kamienicy na Miodowej. Potem aby wszyscy, którzy strzelali, zmienili ładunki. Jak się okazało, tylko trzech miało pistolety, żaden z nich nie wypalił, a nawet wyjmowanie broni z olstrów oznaczało natychmiastowe zalanie prochu. Wtedy dzielny wódz zamachowców zrozumiał, że nie zdoła odwlec w czasie podjęcia decyzji.

– Czekamy na pościg. Każdy pilnuje w kolejnej bramie i pali do koni, bo w człowieka w takim mroku trafić nie sposób. Zrozumiano?

– Nie szturmujemy zamku? – zapytał jeden z towarzyszy.

– Nie gonimy służby? – upewnił się drugi.

– A po co? Rozpierzchli się w różne strony, nie wytropimy wszystkich.

– Było ich pięciu, nas jest dziesięciu...

– A kto zna Warszawę?

– To co robimy?

– Czekamy na pościg. Jeśli pościgu nie będzie, ewakuujemy się ku rogiatkom i idziemy po nasze konie na Marymoncie. Potem woła boża...

– Ale król...

– Kuźma sobie poradzi. Już spełniliśmy nasz obowiązek – zapewnił Strawiński, mając nadzieję, że w ciągu dziesiątki różańca, którą uznał za rozsądny okres, Miodową nie ruszy oddział gwardii konnej szukający porywaczy.

Po chwili niespokojnych szeptów wszyscy spiskowcy zaakceptowali minimalistyczny plan wodza. Posłusznie zaczęli rozchodzić się w mroku i zajmować stanowiska w dalszych zaułkach Miodowej. Ostatecznie Stanisław został sam. Rozejrzał się, wsłuchał w szum deszczu, a potem uznał, że skoro nie wszczęto jeszcze alarmu, miał szansę ujść ze stolicy, nim to się stanie. Ufając czujności i determinacji podwładnych, ruszył na północ, ku placowi Krasińskich, a potem dalej, ku rogiatkom na Powązkach.

W ciemnościach słyszał niepewne nawoływania i rzenie konia. Ot, szybko doścignął grupę Kuźmy. Aby nie wprowadzać konfuzji w dobrze ułożonym planie, skręcił we Franciszkańską, a potem w Dziką i tak zakończył swój udział w zbożnym dziele porwania króla.

Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że Stanisław Strawiński dotarł do rogatek powązkowskich już po ogłoszeniu alarmu, ale zanim ktokolwiek zrozumiał powagę królewskiego kryzysu. Opuścił miasto, nawet nie płacąc wychodnego, znalazł przyszykowane na Powązkach konie, a przy tym obudził jednego z towarzyszy wyznaczonych do warty nad zwierzętami. Siarczyście skrytykował niesumiennego kompana, po czym zabrał jednego z wierzchowców i na dobre zniknął z kart naszej opowieści.

Opuścił kraj i udał się na tułaczkę. Osiadł w Rzymie, gdzie podobno przybrał nowe nazwisko i wstąpił do zakonu. Jan Kuźma, wiedziony plotkami, szukał nawet potem swego towarzysza, ale nad Tybrem go nie znalazł. Plotki głoszą, że za cesarza Napoleona wrócił do kraju i jako ksiądz objął parafię gdzieś pod Augustowem. Jego praprawnikiem był uzdolniony Igor, który okazał się muzyczną chlubą Rosji, a potem zaś Francji i Stanów Zjednoczonych. Jest to jednak temat zupełnie innej opowieści.

Wracając jednak do zdarzeń owej nocy listopadowej, warto spojrzeć na los dwóch pozostałych hajduków, woźnicy i jadących drugą karetą pięciu pozostałych sług. Już na początku trzeba zaznaczyć, że jest to opowieść banalna i krótka.

*Nec Hercules contra plures*, czyli, jak mawia w Warszawie lud prosty, kiedy ludu kupa i Herkules nie poradzi. Zarówno Jan Witka, woźnica karocy królewskiej, jak i cała załoga drugiego pojazdu, widzieli całe zdarzenie ze znacznie lepszej perspektywy. Szybciej dostrzegli wroga, ale i szybciej zwątpili w ostateczne zwycięstwo i podjęli decyzję o ucieczce. Oczywiście, chcieli zaalarmować gwardię na zamku, czy – aby być dokładnym – chcieli, żeby ktoś zaalarmował gwardię na zamku. Ponieważ nie ustalili, komu przypadnie ten zaszczyt, przez pewien czas nikt do królewskiej siedziby nie pobiegł.

Widzieli już z daleka, jak Butzau i Mikulski padają ranni, a król wsadzany jest na konia. Witka nawet rozważał powrót i pomoc rannym hajdukom, ale widok oddziału Strawińskiego obsadzającego bramy na Miodowej przekonał go, że bardziej roztropnym wyborem jest wezwanie pomocy. Woźnica odczekał więc kilka pacierzy (w tym czasie zmarł Butzau, choć nie było to Janowi wiadome), po

czym ruszył ostrożnie przez Stare Miasto ku zamkowi. Nie wiedział, że w ciemności minął dom rodziny Butzauów, a tym samym kładącą się do snu i nieświadomą jeszcze swojego stanu cywilnego wdowę Butzau.

Kiedy dotarł do bram zamku, wszczął rwetes, co okazało się błędem. Miast rozmowy z pułkownikiem Coccejim, czekała go rozmowa z pałąk sierżanta i wrzucenie do piwnicy zamkowej. Spotkał tam już dwóch pozostałych hajduków, więc cała trójka zaczęła krzyczeć historie o porwaniu najjaśniejszego pana. Przez chwilę uważano ich za pijanych. Być może to właśnie nieporozumienie przesądziło o dalszym losie porywaczy i króla.

Wybiegając nieco w przyszłość owej nocy: mimo że cała ósemka od początku wzywała zwierzchności, alarmowała, że król porwany, z początku uznawano ich za pijaków, a potem siłą inercji dworskiej maszyny nikt się nie ważył wszcząć alarmu. Dopiero zaniepokojony chaosem kapitan Sebastian Żubrowski zszedł do cel piwnicznych i zaczął wypytywać świadków przegranej bitwy.

– Po kolei! Spokojnie! Jak to: króla zabili?

– Zastrzelili, a potem usiekli. Krwi było dużo! A potem na konia wsadzili – odezwał się woźnica Witka.

– Kto usiekł? Czy widzieliście, że król nie żyje?

– Konfederaci, panie kapitanie. Napadli zgrają na Miodowej.

– Ilu ich?

– Ze stu! – zapewnił jeden z hajduków, przeczuwając, że prawda postawi jego rejteradę w bardzo niekorzystnym świetle. – Palili do nas, jak szatany...

– Czy król na pewno nie żyje? – zapytał Żubrowski. – Widzieliście, jak umiera?

W owym momencie w celi zapadła cisza, gdyż nikt nie chciał być tym, kto dostarczy zwierzchności wieści o zgonie monarchy.

– Ciemno było – przyznał w końcu Jan Witka. – Ale król krwawił.

– Mówiłeś, że go na konia wsadzili. Żył jeszcze?

– Nie wiem, ale jęczał boleśnie – odparł woźnica.

Sebastian Żubrowski potoczył spojrzeniem po więźniach. Nie w smak było mu przesłuchiwać tych durniów (zwłaszcza o późnej porze). Przez chwilę się nawet zastanawiał, czy służba w gwardii jest odpowiednim wyzwaniem dla jego pełnego



talentów umysłu. Tym bardziej że do uporządkowania zeznań służby potrzeba było raczej dobrego brata od czubków niż gwardzisty.

– Dziesięciu was było... Gdzie dwóch pozostałych hajduków?

– No... nie ma Mikulskiego i Butzaua – zauważył Witka.

– Łajdacy, uciekli! – krzyknął jeden z hajduków. Szybko jednak został uciszony kuksańcami towarzyszy, gdyż mówienia o ucieczkach z posterunku w owej sytuacji należało unikać jak wspominania sznura w domu wisielca.

– No... ja widziałem, jak Butzau ranny padał na Miodowej. Gdzie Mikulski zniknął, to nie wiem.

– W spisku byli! Najjaśniejszego pana chcieli porwać...

– Sprawdźmy – odrzekł Żubrowski. – A teraz cisza i spokój. Zaraz pošlę po sekretarza, spisze wasze zeznania. Tylko prawdę mówić, psy, bo ja i tak wszystko odkryję!

Spojrzał na więźniów surowym wzrokiem, a oni uwierzyli, że przed oczyma Sebastiana Żubrowskiego nic się nie ukryje. Zamilkli natychmiast, każdy pogrążony w myślach, jak powiedzieć jak najmniej, nie skłamać, a stanowisko i skórę ocalić. Chyba każdy z nich choćby przez chwilę pożałował, że nie okazał odwagi dwóch hajduków, którzy na Miodowej zostali.

A tymczasem Żubrowski wbiegł na parter, posłał na stację po pułkownika Coccejego i wzbudził alarm na całym zamku. Kazał szukać króla w komnatach, w których monarcha miał zwyczaj zaszywać się w niewieścim towarzystwie, a nawet posłał gońca do mieszkania pułkownika Grabowskiego, aby sprawdzić, czy wstrząśnięty wieczornymi wydarzeniami władca nie postanowił szukać pocieszenia w ramionach pani pułkownikowej. Jednocześnie kapitan zebrał oddział poszukiwawczy, złożony ze wszystkich obecnych gwardzistów, co do których prawdopodobności, bystrości i odwagi nie miał zastrzeżeń. O tym, jak owa elita królewskiej gwardii sobie poradziła, opowiemy nieco później.

Jednak na najwięcej uwagi zasługuje dwóch bohaterów naszej historii. Prawdziwych bohaterów, gdyż choć o królu Stasiu, a nawet o Janie Kuźmie napisano sporo, to opowieści o losie Jerzego Butzaua i Szymona Mikulskiego zginęły w styksowych wód głębinach. Niby *audaces Fortuna iuvat*, ale akurat tych odważnych Fortuna potraktowała bez litości, tak za życia, jak i po śmierci. Niestety, szybko zginą oni z kart naszej opowieści, przynajmniej *in corpore*. Jak już

zaobserwowaliśmy, Jerzy wykrwawił się na bruku ulicy Miodowej, nie wzięwszy ze sobą gniewu ni żalu do żony, a nawet do wiarołomnego króla. I tak ku niebu uleciała kacerska, bo ewangelicka dusza, gdyż mocno wierzymy, że heroizm ostatnich chwil wykreślił zeń tę zmasę. On jeszcze przynajmniej duchem do nas powróci, za to z Mikulskim żegnamy się już na dobre. Ranny niewiele lżej niż towarzysz, starszy z hajduków doczekał pomocy. Niestety, nie swoich zwierzchników z dworu, ale terminatorów z warsztatu szewskiego Jacka Pawełka. Dwóch krzepkich młodzieńców wracających z nocnej popijawy wytrzeźwiało dość, aby dostrzec na ulicy ciało Butzaua i rannego Szymona. Wszczęli oni alarm, ale widząc, że nikt z pomocą nie przyjdzie, wzięli rokującego poprawę Mikulskiego i zanieśli do warsztatu. Tam, korzystając z pomocy pani Pawełek i panny Pawełkówny, pielęgowali go aż do środy, kiedy to z zamku przybył umyślny, szukający zaginionego sługi (zapewne z zamiarem obsobaczenia go za unikanie pracy). Wtedy zabrano go do Szpitala Świętego Ducha, ale nie uratowało to dzielnego hajduka. Wyzionął ducha dopiero po Nowym Roku, ale przez te osiem tygodni majaczył, cierpiał niesamowicie i był pojony wywarem makowym. Ponieważ zmarł po zakończeniu zamieszania związanego z zamachem, a na długo przed rozpoczęciem procesu porywaczy, umknął z kart historii i pamięci ludzkiej. A szkoda!

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Jak zapewne wszyscy pamiętają, kraj zwany na świecie Rzeczpospolitą to szczególne małżeństwo Królestwa Polskiego i Księstwa Litewskiego, które od ponad trzystu lat przebywają w ścisłym sojuszu, tak że teraz już mało kto myśli o jednym kraju bez drugiego. Wspólną stolicą obu jest Warszawa, miasto położone na ziemiach Polski, ale na terenie dawnego księstwa Mazowieckiego, które kilka wieków temu oddzielało Polskę i Litwę. Na okoliczność unii Polacy porzucili swoją dawną stolicę w Krakowie, gdzie obecnie odbywają się tylko królewskie koronacje i pogrzeby.

Warszawa jest miastem – jak na stolicę wielkiego państwa – niewielkim, które doznało wielu klęsk w przeszłości. Podczas wojen szwedzkich zostało zdobyte i częściowo zniszczone, a podczas wielkich zaraz w latach 1707–11, miasto to wyludniło się niemal zupełnie. Choć obecnie odzyskuje dawny blask i ludność, wpływ na to mają głównie piękne budowle tutejszych bogaczy, jak i liczne oddziały wojskowe, stacjonujące w okolicy.

Warszawę otaczają nie tylko pola i podmiejskie folwarki, lecz także gęste lasy, zupełnie niepodobne do stolic państw europejskich. W dawniejszych czasach Mazowsze, gdyż tak owa dzielnica Polski się nazywała, nie była centrum kraju, ale jego obrzeżem. Znane z mrocznych lasów Mazowsze, oddzielało rozległe równiny Polski od puszczy Litwy i Prus. Do dziś Mazowsze słynie z pysznych, aromatycznych miodów i wyrobu dziegciu.

Od wschodu i północy Warszawę otacza prastary bór, ciągnący się aż ku granicom państwa. Od południa i zachodu widać rozległe pola i majątki, ale te są poprzetykane lasami dębowymi i brzezunami. Lasy, o których będziemy pisać dalej, to dębiny na północ od miasta, zaczynające się niemal od razu za rogatkami. Gdyby podróżnik spływał Wisłą (największą rzeką królestwa i ważnym szlakiem handlowym), widziałby ów niezwykły widok: po opuszczeniu miasta i cywilizowanej okolicy, pasażer flisackiej tratwy (popularny sposób podróżowania w tych stronach) tuż za Warszawą wpływa w dziwną

krainę, której obu brzegów strzeże las. Takie to miejsce niezwykle, gdzie sąsiaduje dzieło człowieka i dzieła Boże, przyszło mi odwiedzić.

### III

## Teraz, Petersburg

Pułkownik Herzog rozwiązał sprawę w drodze ze swej kwatery do pałacu Marmurowego. Kiedy wkraczał do królewskiej rezydencji, już wydawał rozkazy, które, jak mniemał, posłużą ukaraniu winnych i nagrodzeniu genialnego śledczego.

– Ci dwaj! – krzyczał. – Walenty Peszyński i Teodat Frankemberg. Przecież oni są tu, w stolicy! Przyprować ich tu, natychmiast!

Komendy te wydał jeszcze z piętra pierwszego, ale Weiss słyszał je wyraźnie, jak wypowiedziane w pokoju obok. Wraz z przybyciem wojskowej zwierzchności w pałacu zrobiło się jeszcze głośniejsze i wróciło więcej życia – wszędzie prócz królewskiego łóżka.

Herzog wkroczył do sypialni Stanisława Augusta niczym Suworow do Warszawy. Już chciał zapowiedzieć swoje przybycie tubalnym głosem, ale rozpaczliwe gesty Weissa i innych lekarzy uciszyły go. Oficer pokłonił się tylko w stronę nieprzytomnego króla, po czym spojrzał na wiodącego go Artema.

– Chłopcze, tyś Lach?

– Ja ruski, panie oficerze, tylko matka z Polski pochodziła.

– Tak, tak... ale mowę polską znasz? – Gdy Artem skinął głową, pułkownik chwycił go za ramię i nie patrząc na brańca, zapytał Weissa: – Panie doktorze, czy mogę tego młodzieńca wypożyczyć? Dziękuję – dodał, nie czekając na odpowiedź.

Artem został poprowadzony na korytarz, a potem do salonu gościnnego, który stał się centrum kryzysowym. Jednocześnie dwóch gwardzistów wynosiło na szczypcach chirurgicznych filiżankę po kawie i bułkę – dwa domniemane źródła trucizny.

Na jednym z ozdobnych stołów ludzie pułkownika rozstawili coś na kształt alchemicznego laboratorium, jak z opowieści o mistrzu Sędzimirze, które Artem

słyszał od matki w dzieciństwie. Ubrani w białe fartuchy i szpiczaste czapki naukowcy powitali filizankę i bułkę dyskretnym wybuchem entuzjazmu.

– Znajdziemy tych, co otruli dobrego króla Stanisława! – zadeklarował jeden z nich.

– Król żyje – odruchowo przypomniał Artem.

– Dobrze – odparł chemik. – Za to umrzeć może. Tak czy inaczej, to zbrodnia obrazy majestatu. Pewnie zaraz pan pułkownik się dobierze do tych konfederackich świń!

– Usiądź, chłopcze, czekamy na podejrzanych – polecił Herzog. – Będziesz obecny na przesłuchaniu.

– Panie pułkowniku, jeśli to są ci więźniowie, których nasz miłościwy car wypuścił z twierdzy w Kamieńcu, to oni chyba po rusku gadają dość dobrze.

– Wiem, chłopcze, ale masz słuchać, czy się między sobą nie porozumiewają. Będziesz mi tłumaczył, co między sobą szepczą.

Dochodziło południe, a Artem nie jadł śniadania. Jeden z gwardzistów domyślił się potrzeb sługi i podał mu bułkę. A w każdym razie chciał podać, gdyż alchemicy natychmiast wyrwali żołdakowi z rąk dowód rzeczowy. Skruszony gwardzista podał więc Artemowi przygotowane dla pułkownika ciasto i kufel rozcieńzonego piwa. Nim sługa zaspokoił głód i ugasił pragnienie, do sali wprowadzono dwóch konfederatów.

Byli to mężczyźni w nieokreślonym wieku, przyprószeni siwizną i zgarbieni dwiema dekadami niedoli. Ostatni rok zdołał jednak zasłonić na ich twarzach znamię długiego więzienia, choć niekompletne uzębienie wskazywało, że podczas pobytu w twierdzy obaj trzymani byli nie o świeżym chlebie. Ich oczy były zgasłe, a mimo eleganckich ubrań wyglądali jak przebrani żebracy.

– Czy przyznajcie się, polskie łajdaki?

– Przy... – zaczął jeden z nich, ale po dyskretnym kuksańcu towarzysza zamilkł.

– A do czego, jaśnie panie? – poprosił o uściślenie drugi.

– To wyście, niecnoty, wiarołomne wywłoki, swojego króla byłego, z łaski bożej niegdyś władcę Polski i Litwy, otruli.

– Nie! – krzyknęli naraz i padli na kolana przed pułkownikiem, niczym sułtanem pohańskim.

Jednak jeden z nich – Artem potem ustalił, że był to Walenty Peszyński – podniósł wzrok na oficera i zapytał:

– To król nie żyje?

I nic, żaden strach przed ziemską karą nie potrafił przytłumić radosnego blasku na twarzy starego konfederata barskiego.

## Wtedy, Warszawa

Z początku grupa Kuźmy wyglądała jak kondukt żałobny. Na czele szedł sam wódz, prowadzący konia niczym świecką monstrancję. Potem dwa rzędy zakapturzonych konfederatów wyglądających jak zakonnicy. Gdyby nie to, że najjaśniejszy pan z wielkim trudem trzymał się w siodle, cały konwój nie wzbudzałby większej uwagi tych kilku przemykających mokrymi ulicami przechodniów.

Deszcz nie padał już tak obficie, ale spiskowcy i tak maszerowali po kałużach. Kilku z nich zaczęło kichać i kaszleć ku niezwyklej irytacji Kuźmy. Jan pomyślał chwilę, po czym zaczął liczyć swoich podwładnych. Wynik tych rachunków go nie satysfakcjonował.

– Gdzie są Cybulski i Frankenberg? – zapytał Łukawskiego.

– Nie wiem, może poszli ze Stanisławem?

– Ja Cybulskiego to w ogóle po zbiórce nie widziałem – wtrącił młody Marek. – Źle się to zaczyna, jeśli nasi wierni druhowie rejterują.

– Dobrze, nieważne, policzymy się za rogatekami. Nie przeszkadzajcie mi, ledwo co drogę widzę i...

Wypowiedział te słowa w złą godzinę. W tej samej chwili koń zgubił krok i potknąwszy się, padł na bok. Marek i Łukawski zareagowali błyskawicznie: chwycili króla, nim ten ześlizgnął się na ziemię. Cały orszak się zatrzymał przy akompaniamencie rżenia przerażonego konia.

– Jezu, nogę złamał!

– Król czy koń? – zapytał głos z tyłu.

– Cisza! – polecił Kuźma. – Wy dwaj, weźcie tego konia i uciszcie. – Następnie spojrzał na postawionego na nogach króla. – Panie, czy iść możesz?

Ale ich dostojny zakładnik znajdował się daleko stamtąd, przynajmniej jego umysł błąkał się w nieznanym Janowi miejscu. Któryś ze spiskowców wyciągnął zza pazuchy niewielką butelkę, podetknął ją Stanisławowi Augustowi pod usta



i pomógł przełknąć duży łyk. Ponieważ okulały koń nadal rżał, dobry samarytanin podał pojemnik także zwierzęciu, ale było ono zbyt przerażone, aby się napić.

– No, weźcie go! – pogonił Kuźma.

– Gdzie mnie bierzecie? – zapytał król.

– Konia, panie – cierpliwie wyjaśnił Kuźma. – A najjaśniejszy pan może iść?

– Iść... ja buta nie mam!

– Kto królowi but pożyczysz? – zapytał w ciemność Jan. Po chwili otrzymał do ręki przemokłego kozaka. – Czyj to?

– Mój, panie bracie – odezwał się głos z ciemności, chyba należący do barzanina o nazwisku Krupski. – A co, nie pasuje?

– A jak ty będziesz szedł po ciemku bez buta?

– Nie będę. Wrócę na kwaterę, a jutro kupię. Albo we wtorek.

– Dobrze, idź! – polecił Jan, powoli zdając sobie sprawę, że w ciągu godziny z trzydziestu ludzi stracił już ponad tuzin. – Marku, pomóż mi założyć but królowi.

Światła nie mieli, księżyc przez ciężkie chmury nie prześwitywał, a samotna latarenka na ścianie kamienicy dawała światła tyle co mała świeczka. Z trudem obuli królewską stopę (na szczęście Stanisław August nogę miał tylko ciut mniejszą niż Krupski) i już ruszali, kiedy monarcha szepnął, jakby w gorączce:

– O, to tutaj... Na Konwiktorskiej, przy dobrych braciach, pewnie patrol stoi, to mnie tam ostawcie.

– Co on gada? – zainteresował się Łukawski.

– Myśli, że chcemy go moskalskiemu wojsku odstawić.

– Czy on wie, co się stało?

– Chyba jakiś wstrząśniony jest – przyznał Kuźma. – Ale i to dobre, bo może nam pomoże z tymi patrolami. – A do króla odezwał się głosem delikatnym, wręcz słodkim: – A jak nie na Zakroczymskiej, to gdzie jeszcze znajdziemy wojsko?

– No, na Długiej, tam dalej, pewnie na Franciszkańskiej i przed koszarami gwardii na Faworach.

– Nie przejedziemy... nie taką grupą! – szepnął Marek.

Jan wbił spojrzenie w czarny bruk i zaczął myśleć. Niedobrze szła mu ta czynność, jako że nie do tego był stworzony, a i przeznaczony. To Strawiński

zawsze miał plan, nawet jeśli był to plan pośledni, jak choćby atak w niedzielę. Za to Stanisław był wielkim panem, nawykłym do odpowiedzialności. On nie.

Ale z czasem w umyśle Kuźmy zaczął się krystalizować zamysł prosty i, jak mu się zdawało, zrodzony z geniuszu. Spojrzał na swoich szesnastu podwładnych i zadeklarował:

– Rozdzielimy się. Walenty i dwóch ludzi osłaniają nas od tyłu, obejdziemy koszary. Reszta z was idzie do rogatek marymonckich, tam się spotkamy przed północą. Gdyby was złapali, udawajcie, żeście pijani i nic o królu nie wiecie. Bić tylko w ostateczności.

Ludzie przyjęli ten rozkaz nad wyraz ochoczo; tak ochoczo, że Łukawski miał problem ze znalezieniem dwóch ochotników do osłony. W końcu zgodzili się Marek i Łukasz Krupski, brat Andrzeja Krupskiego, obecnego właściciela jednego buta. Ruszyli więc razem ku Nowemu Miastu, a potem w dół skarpy. Król nie skomentował tych zmian nawet jednym słowem, wciąż pogrążony w samotnych myślach i szepczący niezrozumiałe słowa pod nosem.

Na skraju wiślanej skarpy spotkali dwóch towarzyszy rozpijających konia. Kuźma nie miał już sił pytać, jakim cudem przeszli taki kawał z okulałym zwierzęciem i dlaczego, zamiast ulżyć jego cierpieniom ciosem w głowę, poją go gorzalką na skraju stromizny. Odpowiedział za to konfederat, rozpoznawszy w jednym z przechodzących obok swego naczelnika.

– No, Janie, ja koni zabijać nie będę. A żeby nie rżał, to mu coś na rozgrzewkę damy. Jutro go ktoś przygarnie.

– Dobrze, znajdźcie nas na rogatkach marymonckich – polecił Kuźma, nie zwalniając kroku.

O ile dobrze się orientował w miejskich zwyczajach, najpewniej konia przygarnie jakiś rzeźnik i skieruje go nie do felczera, ale pod nóż. Tego jednak nie tłumaczył podwładnemu, tylko przyspieszył kroku w takim stopniu, na jaki jego otumaniony i noszący buty różnego rozmiaru jeniec pozwalał.

Jednak zejście ku Wiśle okazało się poważnym wyzwaniem. Marek i Łukasz szli przodem, szukając najlepszej i najmniej śliskiej ścieżki, a król i Jan kroczyli za nimi. Droga po skarpie miała te zaletę, że była nieco widniejsza. Choć nie oświetlały jej żadne lampy, żadne budynki nie zasłaniały mdłej poświaty księżyca, który zaczął już nieśmiało przeświecać zza chmur. Deszcz i wiatr niemal ustały.

Gdyby nie ciągle zagrożenie pojmania przez Moskali, akcję można by było uznać za – na razie – udaną.

Król nie padł ani razu, ale trzy razy był tego bliski. Jan nie potrafił się opędzić od myśli, że nawet w tej przyziemnej sprawie pomazaniec boży musi się odróżnić od Chrystusa, choćby nieudolnością w cierpieniu. Także względne milczenie brańca nie miało nic wspólnego z pokorą, a nawet stoickim zrozumieniem swej sytuacji. Król nie wiedział, dokąd idzie, i kilka razy pytał, czy dochodzą już do zamku.

– Tak, najjaśniejszy panie, jeszcze tylko kawałek! – opowiedział prowadzący go Łukasz.

Dotarli nad Wisłę i ruszyli jej brzegiem na północ. Woda i błoto chlupotały pod nogami króla i porywaczy. Ostatecznie lepki żywioł dwa razy ściągnął zbyt luźny but z monarszej nogi, na co Stanisław August nie zwrócił nawet uwagi. Za każdym razem zatrzymywali się, nakładali but na nogę i ruszali dalej w milczeniu.

Szło im dobrze, a można nawet powiedzieć: zbyt dobrze. Jan wysiłał słuch i oczekiwał w każdej chwili bicia dzwonów oraz dźwięków trąb sygnałowych, ale ciszy śpiącego miasta nie zakłócało nic prócz chlupotu butów w kałużach. Sam porwany nie sprawiał większych problemów, a towarzysze (ci, którzy mu pozostali) milczeli. Nie wydawali się zbyt pewni siebie, ale nie panikowali, co w podobnych sytuacjach bywało najgorsze.

Porywacze minęli pierwsze osiedla rybackie i ruszyli drogą w górę, ku rogatkom marymonckim. Kuźma zdał sobie sprawę, że nadchodził moment dla całej akcji kluczowy: przejście przez granice miasta. Uważnie spojrzął na towarzyszy i podjął kolejną trudną decyzję.

– Marek, Łukasz i ty... jak bratu na imię? Wybacz, zapomniałem.

– Mateusz, panie bracie...

– No, i Mateusz. Pójdziemy tędy, bokiem, przejdziemy przez wały. Reszta niech idzie do rogatek i odwróci uwagę straży. W razie alarmu lub oporu bijcie ile sił w ramionach. Spotkamy się na szosie zakroczymskiej, pod tą przeklętą karczmą.

– Dobrze. Z Bogiem, Janie! – odparł Łukawski.

Podobnie jak wcześniej podział grupy poszedł im sprawniej niż działanie razem. Ostatecznie Łukawski wziął dziesiątkę, a trzech towarzyszy osłaniało Kuźmę i króla. W ten oto sposób oddział spiskowców odchudził się o siedem

ósmym pierwotnego stanu, co, wzięwszy pod uwagę, że mimo walki nie ponieśli żadnych strat (prócz buta), mogło napawać pesymizmem. Jednak opuszczenie Warszawy było dla Jana priorytetem.

Największą jego obawę wzbudzał sam król. Choć Stanisław August szedł, gdzie mu kazano, dotychczas nie usiłował uciekać, a nawet alarmować napotkanych ludzi, potrzeba przejścia rogatek wystawiała ich wszystkich na ryzyko. Jeden krzyk mógł zupełnie zmienić sytuację spiskowców. Jan pomodlił się w duchu i rozpoczął batalię najtrudniejszą, bo prowadzoną nie szablą, ale językiem.

- Najjaśniejszy panie, musimy zejść z drogi...
- To nie wygląda jak zamek. Czy zaraz dojdziemy?
- Tak, ale jeszcze trochę się nam zejdzie. O, tutaj, tu ścieżka...
- Nie ma ścieżki, błoto jest. Dokąd idziemy?

Weszli na bezdroże wzdłuż ziemnego okopu. Jan cały czas mówił do króla, jednocześnie silnym chwytem kierując go ku granicom miasta. Dziesiątka Łukawskiego szła karnie drogą ku posterunkowi na rogatkach, a oni skręcali głębiej w ciemność i błoto. Kuźma trzymał dłonie na ramionach króla, gotowy zasłonić monarsze usta, gdyby te zaczęły wzywać pomocy. Jednak na to się nie zanosilo.

- Doskonale, panie. Teraz pod górkę, to niewysoko...

Jak się okazało, ziemny wał był dość wysoki – i dość mokry! – aby król się poślizgnął i padł twarzą w podmokłą ziemię. Jęknął przy tym żałośnie, ale nie od samego upadku, tylko od uderzenia ciężarem Kuźmy, który runął zaraz za jeńcem. Trójka towarzyszy postawiła ich zaraz do pionu, lecz nie powstrzymało to wybuchu łez u Poniatowskiego.

- Boże! Boże! – zaczął chlipać monarcha. – Czemu go opuścił?
- Janie, ucisz go! – szepnął Marek. – Może go tak delikatnie obuszkiem...
- A jak ubijem?
- Ciszej, on to słyszy!

Jednak król nie słyszał. Klęczał w błocie wtulony w ramiona Kuźmy i płakał coraz głośniej. Jan nie miał pomysłu, jak przerwać ten wybuch monarszych emocji, więc tylko gładził Poniatowskiego po głowie i mruzczał coś niezrozumiale.

– Zostawiłem go! I go ubili! Wyście go ubili. I ja też. Jerzy, mój jedyny prawdziwy przyjaciel!

– Usłyszają nas przy rogatkach! – ostrzegł Marek.

– Jak Judasz wiarołomny, odpłaciłem podłością za łaski... Ja mu żonę ukradłem, przed ludźmi upokorzyłem, a on mnie piersią osłonił.

– O czym on mówi? – zapytał Mateusz.

– Chyba o tym hajduku, co go Walenty usieknął. Prawda, dobrze dostał, nawet mocniej niż ten drugi. Pewnie się nie wylize...

– Zabiliśmy go! – zawył król, a ten odgłos musiał być słyszany na wartownicy przy rogatkach.

Jan zatkał Poniatowskiemu usta i zamarł. Jego towarzysze poszli za tym przykładem, chowając się za powalonym pniem drzewa. Nie widzieli i nie słyszeli zdarzeń przy posterunku straży, ale my, jako uprzywilejowani badacze tej historii, możemy przebić zasłonę listopadowego mroku. Była to chwila triumfu i bohaterstwa Walentego Łukawskiego, który wspiał się na wyżyny swoich zdolności aktorskich.

Konfederat stał tuż przed czterema wartownikami ze straży marszałkowskiej. Dawał dyskretne sygnały towarzyszom, aby nie wyciągali broni, nim nie zdobędą pewności, że ich zdemaskowano. Ale tego jeszcze nie wiedzieli, gdyż sierżant straży wydawał się śpiący, zmarznięty i zupełnie nieskory do badania dziwnych odgłosów w ciemności.

– A co to było? – zapytał niechętnym usłyszenia odpowiedzi głosem.

– Jacyś wariaci chyba – odparł Łukawski. – Kiedy szliśmy tutaj, już wołali. Z cuchthausu chyba.

– Z cuchthausu, powiadacie? To kawał drogi. Poza tym słyszałem, że głosy stąd dochodziły. – Strażnik wskazał kierunek wschodni, ku Wiśle.

– Ot, złudzenie. W tym deszczu to nigdy nie wiesz, skąd wołają...

– Jam jest Judasz i Brutus! – rozległo się gdzieś w ciemności. Wołanie na pewno nie nadeszło od strony ulicy Pokornej, gdzie stał dom poprawy, ale z kierunku wręcz przeciwnego.

– Szaleńcy, mówię ci, dobry człowieku...

– Szaleńcy w domu poprawy? To pomieszanie jakieś – zauważył sierżant. – Tam nierobów i włóczęgów do pracy kierują, a tych z pomieszzanymi zmysłami to do dobrych braci na Konwiktorską.

– Widać przepełnienie w klasztorze było – odparł Walenty. – Lepiej puść nas, dobry człowieku, bo tu zimno i straszno, my już w drogę chcemy ruszać.

Sierżant przyjrzał się rozmówcy, a to, co dostrzegł, natchnęło go podejrzliwymi myślami. Poznał, że ma do czynienia ze szlachcicem, a wspomnienie, iż nie idzie jeden pan, ale na odprawę czekają tajemniczy „my”, kazało mu uważniej spojrzeć na dziewięciu pozostałych w kolejce petentów. Ów rozwój wypadków był niebezpieczny dla Walentego, ale całkiem wygodny dla uciszającego króla kwartetu spiskowców.

– Jam mu sztylet w plecy wbił, a on stał mnie bronić, jak w wąwozie termopilskim Spartiata! – wył Poniatowski. Sierżant straży skupił się już jednak na kontrolowanych podróżnikach.

– A dokąd waszmoście po takiej nocy idziecie? Nie lepiej w mieście zanoć?

– Nie przejmujcie się, dobry człowieku, stację mamy niedaleko.

– W karczmie u Zaleskiego staniecie? To jeszcze kawał drogi... Zmokniecie, zmarzniecie...

– Nasza to rzecz, czy zmokniemy i zmarzniemy.

– Sczeznę w ogniu piekielnym! – odezwał się głos, który sierżant uznał za wołanie szaleńca, a Łukawski rozpoznał w nim króla. Spiskowiec wiedział, że trzeba jak najszybciej odwrócić uwagę strażnika, więc zapytał:

– A co wy się tak dopytujecie?

– No, wojna trwa, panie... Konfederaci wciąż kłają, jak dzikie psy, a i szpiegów, i zdrajców do stolicy wysyłają...

Walenty poczuł na sobie spojrzenie dziewięciu towarzyszy, z których każdy macał już pod płaszczem szable, pałki czy nadziei. Wynik ewentualnego starcia czterech strażników kontra dziesięciu barzan wydawał się przesądzony: ludzie marszałka nie mieli szans na ujście z życiem, ale mogli bić się dość dzielnie, aby zaalarmować zmienników, a nawet zranić czy zabić kilku z napastników. Walenty rozumiał, że spiskowcy woleliby tego scenariusza uniknąć. Czuł też, że równie niechętni bitce powinni być strażnicy. Należało ich do tego przekonać.

– Zdrajców?... Jakich zdrajców? – zapytał Łukawski.

– Zdrajcy! My wszyscy sprzedajni zdrajcy. Zabiliśmy go!

– Co z tymi lunatykami? – warknął sierżant. – Czekaście tu, panowie, muszę wysłać ludzi...

Walenty myślał szybko, rozważając, co będzie większą klęską: demaskacja jego ludzi czy grupy Kuźmy. Ostatecznie doszedł do wniosku, że obie ścieżki zbiegały się w jednym miejscu, oznaczającym potrzebę bitki i wyrżnięcia straży. Należało jednak przeciągać moment wyciągnięcia broni tak daleko w przyszłość, jak to było możliwe.

– Nie będziemy czekać. Idziesz pan w te chaszczce, to my ruszamy dalej.

– Nie, chwila! – warknął wściekły sierżant i położył dłoń na pałaszu.

– Bracie! – syknął Walenty. – Spójrz mi w oczy! Tak, spokojnie, zrób głęboki wdech i pomyśl! Jacy szpiedzy? Puść nas bez pytań, bez kłopotów.

– A dlaczego miałbym zadawać pytania? – zapytał sierżant głosem, w którym słyhać już było rodzące się przerażenie. On też potrafił liczyć, a dziesiątka wydawała mu się znacznie większa niż czwórka.

– Nie ma żadnych konfederatów, żadnych szpiegów, tylko wariaci we mgle. Pomyśl tylko: prawdziwi szpiedzy toby was rozsiekli, aby uniknąć wykrycia i alarmu. A my? My tylko spokojnie sobie idziemy...

– Idziemy do piekła! Do piekła, wam powtarzam! – krzyknął głos z ciemności.

Natychmiast potem rozległ się wrzask bólu, co Walenty wytłumaczył sobie bez trudu: zapewne król ugryzł dłoń usiłującą go uciszyć. Za to czterej strażnicy uznali głos za wycie demona. Sam sierżant nie mógł się zdecydować, czy bardziej boi się konfederackich szpiegów, czy grasujących po wałach czortów.

– To może my już przejdziemy? – zapytał Łukawski. – Kiedy znikniemy w nocy, kłopoty się skończą.

– Czy oni też odejdą? – zapytał sierżant, wskazując ciemność na wschodzie.

– Tak, obiecuję ci, dobry człowieku.

– Śmiercią mu zapłaciłem! – zawył demon marymonckich rogatek. – Nie dla mnie zmiłowanie!

– To idźcie... z Bogiem – szepnął blady już ze strachu sierżant.

Skinął do towarzyszy, aby ci opuścili drzewce pik. Nie było to jednak potrzebne, gdyż strażnicy sami się rozstąpili, gotowi broń w każdej chwili rzucić i uciekać

w kierunku miasta.

– Dziękuję ci, dobry człowieku, nie pożałujesz swojego rozsądku – oświadczył Łukawski.

– Ludzie nie widzą, ale Bóg widzi! Nie unikniemy kary! – krzyczał demon, ale już ciszej i jakby z dalszej odległości.

A dziesiątka ponurych wędrowców ruszyła traktem zakroczymskim, przyspieszając z każdym zrobionym krokiem. Gdy zniknęli za zakrętem, sierżant odetchnął. Wrócił do wartowniczej budy, usiadł na stołku i dopiero wtedy wpadł w panikę. Musiał podjąć najważniejszą, a być może ostatnią w swoim życiu decyzję.

Walenty kazał zaś towarzyszom zatrzymać się w lesie, pod rozłożystym dębem. Suchego miejsca starczyło tam tylko dla niego i trójki konfederatów, ale Łukawski użył przywileju władzy w dobrym celu. Musiał pomyśleć i podjąć decyzję, ważną, a potencjalnie ostatnią w życiu.

– Mogą wezwać pomoc – powiedział do spiskowców. – Musimy tu zostać i ich pilnować.

– Wszyscy?

– Nie, Masłowski i Niemicz pójdą do naszego obozu i szybko sprowadzą dwa świeże konie dla Kuźmy i króla. Reszta ze mną, skradamy się lasem i czekamy, co będzie.

– A może już posłali po pomoc? – zauważył jeden ze spiskowców.

– Póki nie odbiją króla, to nic nam nie grozi... to znaczy nie udowodnią nam przestępstwa. Dlatego musimy pomóc Janowi, tak jak możemy.

Po chwili dwóch konfederatów maszerowało już ścieżką wzdłuż wałów ku Powązkom, a ośmiu pozostałych skradało się między drzewami ku rogatkom. Sierżant wyszedł przed wartownię i wsłepiał oczy w ciemność.

– I co teraz? – pytał go młodszy strażnik.

– Nie wiem, Macieju – odparł sierżant. Spodziewał się uszu ukrytych za drzewami, więc podniósł głos. Mówił dobitnie i wyraźnie. – Zameldować o tym już nie możemy. Jeśli puściliśmy wrogów, to kara nas nie ominie.

– Piekielna! – dodał jego towarzysz, chyba wczuwając się w rolę cichego już od pewnej chwili demona rogatek.



– Zresztą co byśmy powiedzieli? – zapytał strażników i ściany lasu sierżant. – Widzieliśmy zwykłych podróżnych, ale słyszeliśmy jakieś potępieńcze krzyki. Kto nam uwierzy? Marszałek Lubomirski tylko nas oćwiczy za takie bajki, bo pomyśli, że piliśmy na służbie. A niczego nie udowodnimy, gdyż nikogo już tu nie ma.

– Racja! – odezwały się drzewa na skraju lasu.

– Poczekamy do końca warty i nikomu o tym nie powiemy, nawet na mękach – polecił sierżant, nie wiedząc jeszcze, że nie mówi prawdy.

A w tym czasie Jan Kuźma i Łukasz Krupski nieśli króla traktem zakroczymskim. Poniatowski nie stawiał aktywnego oporu, po prostu dalej chciał mówić i mówić, jakby słowa mogły coś naprawić, zmienić przeszłość. Z każdym krokiem oddalającym ich od Warszawy trzymający górną część ciała monarchy Kuźma zwalniał ucisk na ustach. Dlatego też słyszał coraz więcej.

– Ja nie jestem królem, malowańcem tylko... – szeptał Poniatowski. – Ja chciałem dobrze, ale wyszło jak zwykle. Chciałem ojczyznę odbudować, wojska wzmocnić, co trzeba z Katarzyną załatwić, a potem tak po cichutku się zrzec tego wszystkiego...

– Co on gada? – zapytał Mateusz, trzymający ich jedyną latarenkę, ledwo oświetlającą drogę.

– Mówi, że jest złym królem – odparł Łukasz. – Znając jego zacięcie, to zaraz nam do konfederacji przystąpi, choć przeciw niej wojnę zwołał.

– Tylko że to wszystko trudne jest, jak się obieca wszystkim więcej, niż się ma – kontynuował wywód król. – A te sępy mnie nie rozumiały. Albo nie wierzyli, że ja chcę dla ojczyzny rządzić, nie dla własnej chwały. Żmije, chowam żmije na własnym dworze... Ale czy to mój dwór? Wszystko z łaski Katarzyny. Nie mam mocy, bom jej sam nie zdobył...

– Najjaśniejszy panie, mam już dość!

– Ja rozumiem, że masz dość. Sam nie mogę patrzeć w to odbicie, co gronostajowy płaszcz nosi, ale króla tylko udaje. Gdybym ja był jak Sobieski... Słusznie śpiewają na mieście, że „dwór tysiące kosztuje, ja bym dwakroćłożył, żeby Jaś ożył, a Staś się położył”.

– Nie o to mi chodzi, królu. Stań na własne nogi!

– Na to za późno, przyjacielu! Jam więźniem własnych błędów, spętany długami wobec Moskali...

– Idź sam, królu! Ręce mi mdleją.

Postawili go na drodze, a król (w cudzym płaszczu i cudzym jednym bucie) stanął sam. Chwilę walczył z zawrotami głowy i chłonał uderzenia kropli, spadających nań z drzew. W końcu skupił wzrok na Kuźmie.

– Nie jesteśmy w Warszawie.

– Nie, panie.

– Nie idziemy do zamku?

– Nie, panie.

– Czyli nie zdawało mi się, naprawdę zostałem porwany? – Jan skinął głową. – Czyli wy mnie pilnujecie, abym nie uciekł? – Konfederat znów potwierdził. – Aha – mruknął król i uciekł.

Nie stało się to tak błyskawicznie, jak o tym opowiadamy, ale Kuźmę rejterada zakładnika zaskoczyła. Poniatowski wyrwał się ze zmęczonych rąk Jana i Łukasza, po czym ruszył biegiem ku ścianie lasu. Gdyby w dziesięciopunktowej skali oceniać niedawną ucieczkę Dawida Szerbauma i przyznać mu cztery punkty (pościg Kuźmy można wycenić ledwo na pięć), król zasłużył na ocenę minus dwa. Nie mając pojęcia, gdzie się znajduje, zgubiwszy jeden z butów już po kilku krokach, wpadł do lasu, chyba nie przewidziawszy, co może zająć między jego czołem a pniem drzewa. Szybko przekonał się, że warto było o tym pomyśleć. W ciszy lasu rozległo się budzące mdłości puknięcie, a potem głuchy odgłos ciała padającego na plecy.

– Jezu! Nie żyje! – krzyknął Mateusz i sam ruszył do szaleńczego biegu.

Ten ocenimy na co najmniej sześć punktów. Konfederat ruszył wzdłuż drogi, z daleka od terenowych przeszkód, a na dodatek wciąż trzymał niewielką latarnię na kijku. Dodajmy, że zgasła ona po kilku prętach drogi, ale oświetlała szlak przez te kluczowe chwile, kiedy uciekinier dotarł do zakrętu i dostrzegł już światła bielańskiej karczmy.

Tymczasem Jan, Marek i Łukasz zostali sami z nieprzytomnym, ale ewidentnie żywym królem. Że monarcha żył, wnosili głównie po odgłosach dobiegających z ziemi, gdyż w tej ciemnicy mogliby pomylić nie tyle żywego z trupem, ile człowieka z dzikiem lub sarną. Nie widzieli także swoich twarzy, ale Jan czuł na sobie spojrzenia towarzyszy. Król zaś leżał i charczał.

– Podnieść go trzeba... – uznał Kuźma i pochylił się ku zakładnikowi. – Jeśli kto ma gorzałki, niech da.

Z niejakim trudem podnieśli głowę króla, włąli w jego usta kilka łyków alkoholu, po czym byli świadkami niezwykłego odrodzenia. Monarcha otworzył oczy, a jego spojrzenie (o ile można to było stwierdzić przy mdłym świetle na chwilę wyłaniającego się, a potem znikającego księżycy) nabrało bystrości i pewności. Niestety, zdawało się stracić wspomnienia minionych godzin.

– A wy kto? – zapytał, kiedy już odkrztusił podany mu trunek.

– Konfederaci – odparł zgodnie z prawdą Kuźma. – Najjaśniejszy pan nie pamięta, że został porwany?

– Nie, ktoś mi w głowę przyłożył, jak Herkules hydrze!

– Panie, a nie było tak, żeś sam w drzewo swoim czerepem wyrznął? – zapytał Jan, po czym poprawił się od razu: – To znaczy uderzył?

– Czy zamierzacie mnie zabić? – Król przeszedł do konkretów.

– Nie, ale może nas najjaśniejszy pan do tego zmusić. Jeśli zamierza najjaśniejszy pan jeszcze uciekać, to może od razu pójdziemy do księży kamedułów po spowiedź.

Niezauważalnie dla porywaczy władca się uśmiechnął, słysząc tę ważną odpowiedź dotyczącą jego położenia. Następnie wstał, opierając się na ramieniu Kuźmy, i się rozejrzał.

– To jakiś żart? – zapytał. – Trzech ludzi mnie porwało?

– Na prawdziwego króla toby i setki nie starczyło. Ale na najjaśniejszego pana to nas trzech i nadto – odparł Marek, a zawtórował mu śmiech Łukasza.

– Nie czas się naigrywać, chodźmy! – poleciał Jan.

– Dokąd? Nie przenocujecie mnie? Może mnie porwaliście, ale jestem waszym królem, do kroćset! – krzyknął Stanisław August. Potem spojrział w dół. – Co się stało z moim drugim butem?

– Chodźmy, panie – poleciał Jan, popychając delikatnie jeńca.

Krół westchnął ciężko, zrobił krok, a potem krzyknął w ciemność:

– Ratunku, pomocy! Mordują!

– Mordujemy? – zapytał Marek.

– Cisza, panie! – syknął Jan, ściskając usta brańca. – Cisza, bo obijemy...

– Dobrze, już dobrze... – Król ruszył dalej traktem. – Ale nie szanowałibyście mnie, gdybym nie spróbował. Dokąd idziemy?

– Niech najjaśniejszego pana o to głowa nie boli – odparł Kuźma, ale potem zdał sobie sprawę, że owo powiedzenie mogło się obitemu więźniowi wydać obraźliwe. – To znaczy proszę się tym nie przejmować. Im szybciej najjaśniejszy pan idzie, tym szybciej dotrzemy na nocleg. – A do towarzyszy rzekł: – Marek przed nami, zwiad. Łukasz z tyłu, awangarda.

– Ariergarda! – poprawił go odruchowo król.

– Skro nas będą gonić od Warszawy, to on będzie awangardą – odciął się konfederat. – Zresztą to twoja rzecz, panie.

– Jak się nazywasz, podły szubrawcze? – zapytał uprzejmie Stanisław August.

– Jan Kuźma, panie. I, panie, proszę, nie utrudniaj nam zadania, bo będzie najjaśniejszy pan biegał w jednym bucie.

Groźba najwidoczniej poskutkowała, gdyż jeniec zamilkł, a szedł równym krokiem. Trwało to może pięć, sześć pacierzy, aż Jan zrozumiał, że milczenie brańca nie jest spowodowane tylko pokorą. Król myślał, jak ująć z życiem z tej matni, a na dodatek otrząsał się ze skutków spotkania z pniem drzewa.

– Tak, Jan Kuźma. Tyś do mnie strzelał?

– Tak, ale nie wiedziałem, że to najjaśniejszy pan. Królewski płaszcz założył ten hajduk...

– Jezu... Jerzy! – jęknął Poniatowski. – Tak, już pamiętam, zabiliście mi najwierniejszego sługę, psubraty!

– Czy mógłby najjaśniejszy pan powściągnąć emocje? Ja też bym był rad wyzywać najjaśniejszego pana od zmij moskiewskich, kochanków carowej, heretyków masonskich i, z przeproszeniem, sodomitów, ale ja poważnie traktuję swój fach. Zapewniam, że jestem znacznie lepszym porywaczem niż najjaśniejszy pan porwanym.

– Wiele osób mówi mi podobne rzeczy. Nie jestem dobrym królem – przyznał Stanisław August. – Ale to nie zmienia postaci rzeczy, że będziesz wisiał. Bez urazy, ja tylko wskazuję na fakty.

– Za królobójstwo? – zapytał Jan.

– Albo za nieudolność w prowadzeniu oddziału. Patrz, twoja awangarda przednia i tylna już się zgubiły.

– A skąd... tylko Marek poszedł ścieżką boczną, aby ominąć tę karczmę Zales... – W porę ugryzł się w język, co spowodowało wybuch wesołości brańca.

– Och, Janie, kochany, tyś taki porywacz jak ja król, czyli nietęgi. Powiedziałeś mi już tyle o swojej trasie, co mógłbym wykorzystać, gdybym miał pojęcie o topografii okolic mojego miasta...

Od czasu uderzenia w drzewo, a właściwie od momentu ocknięcia się, król wydawał się inną osobą. Nie płakał, nie narzekał, w dodatku jak na jego oplakany stan zdrowia szedł bardzo żwawo. W dodatku porywacze nie mieli już przewagi liczebnej. Jeśli Marek i Łukasz faktycznie zgubili drogę, porywacz (sztuk: jeden) był równie liczny jak jeniec.

– Musimy gdzieś zanocować! – powiedział hardo monarcha. – Zaraz mi się pęcherz podziębi, a nie chcesz mnie niańczyć, kiedy mam podziębiony pęcherz.

– Czy najjaśniejszy pan nie mógłby znów rozpaczać nad sobą i żałować grzechów? Był najjaśniejszy pan w tej roli prawie sympatyczny.

– Będę sikał co trzy pacierze.

– Fu, prawdziwy król się tak nie wyraża.

– Nie uważasz, że jestem prawdziwym królem... O, do kaduka, ale się złożyło!

Jan chciał ominąć karczmę, dlatego skręcił w boczną ścieżkę, a przynajmniej tak mu się wydawało. Jakimś jednak cudem owa drożyna przez krzaki doprowadziła go z powrotem do szosy zakroczymskiej. Stali więc we dwóch przed budynkiem austerii, a ni Łukasza, ni Marka nie było widać.

– No to świetnie, wchodzimy! – powiedział król i ruszył ku drzwiom.

Kuźma chciał go już obalić płazem szabli, ale uznał, że walenie w plecy zaskoczonego przeciwnika jest nierycerskie, a poza tym już raz ugodził króla, co prawie go zabiło. Podbiegł więc za swoim jeńcem i gdy już chciał go ująć w potężne ramiona, król zapukał do drzwi. Obaj mężczyźni zamarli, czekając na rezultat tego czynu.

– Kto idzie? – rozległ się głos z wnętrza.

– Swoi, wpuść, gospodarzu – polecił król.

– Ani kroku, niecnoty. Zobaczę!

W drzwiach otworzyła się klapka, strumień światła padł na twarze nocnych gości. Zmokli podróżnicy widzieli po drugiej stronie brodatego Żyda, który

przyglądał im się uważnie.

– To ty! – jęknął nagle brodacz, rozpoznawszy Jana.

– No ja, szlachetny Izraelito. Jak ja się cieszę, że cię duchy nie porwały...

Król przysłuchiwał się tej rozmowie, niepewny dalszych działań, za to roztropnie cofnął się o trzy kroki, zostawiając Jana na froncie. Co prawda wiedział, że zazwyczaj inaczej szlachcic z karczmarzem rozmawiał, ale był też świadom, że zazwyczaj ma on więcej atutów, a nie stoi zmoknięty pod chmurami, naprzeciw solidnych drzwi.

– Ja waści tu nie wpuszczę, chyba że po moim trupie.

– Nu, co się obrazasz, dobry człeku, przecież cię nie ochrzciłem...

Król uznał, że to najwyższy czas, aby zainterweniować, gdyż kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa, wydał mu się niepokojący. Chrząknął więc, aby oczyścić gardło, i rzekł dobitnie:

– Otwieraj, gospodarzu. To ja, twój król, o gościnę proszę! – odpowiedziała mu głucha cisza. – Poważnie mówię, wpuść nas.

– Jeszcze czego! Idźcie w noc, pijaki! – krzyknął Żyd i tupnął ze złością. – Napadacie na ludzi na trakcie królewskim! Zaraz pošlę po straż marszałkowską!

– Tak! – krzyknął Poniatowski, ale szybko się pomiarkował, że stoi zbyt blisko Kuźmy, aby okazywać nieposłuszeństwo. – Albo nie!

– Ja już nie wpuszczam tu takich raptusów, nauczkę mi sprawiliście wczoraj niezłą.

– Byliście tu, prawda? – szepnął król, a kiedy Jan skinął głową, dodał: – Nie przejmuj się. Mnie kiedyś wyrzucili z trzech londyńskich burdeli jednej nocy... Ale bardzo narozrabialiście? Da się to naprawić?

– Po prawdzie to ja ochrzcić go chciałem – przyznał Jan. – A potem zabić, aby się nie wydało. Poza tym koledzy trochę naczyń potłukli, a ten Żyd wybił okno.

– Sam we własnej karczmie?

– To nie jego, tylko pana Zaleskiego.

– Wiem, durniu... – zaczął Poniatowski, ale natychmiast zrozumiał swój błąd.

Po pierwsze nie warto było krzyczeć na cierpliwego i dość (jak na porywacza) uprzejmego Kuźmę. Po wtóre agent wziął to do siebie, czego świadectwem były wystawione przez klapę lufy dwururki.

– I co teraz, paniska? – odezwał się karczmarz lodowatym głosem. – Wiem, o czym myślicie. Nabił solą czy grubym śrutem? Szczerze mówiąc, w całym tym zamieszaniu sam straciłem rachubę. Ale pamiętając o tym, że nawet soli wejdą tu ze dwa łuty, które z łatwością zaorają wasze szlachetne facjaty, musicie sobie odpowiedzieć na jedno pytanie: czy jestem szczęściarzem? Więc? Jesteście, panowie bracia?

– Jestem twoim królem, parchu! – wrzasnął Poniatowski, któremu jednak złość nie odebrała rozumu i jednocześnie schował się za szerokie plecy Kuźmy.

Karczmarz nabił jednak śrutem. Chmura ołowiu wyskoczyła z lufy i minąwszy bok Jana o włos, zmasakrowała drewnianą poręcz w przedsiionku austerii. Kuźma, żołnierz do walki szkolony, chciał rzucić się w bok, aby zniknąć z pola strzału drugiej lufy, nim karczmarz wyceluje, a potem złapać dubeltówkę od boku. Niestety, król nie był w rzemiośle wojennym szkolony, gdyż rzucił się do ucieczki na wprost, pozostając wciąż w zasięgu oka szalonego ze strachu ajenta. Bardzo nierad, Kuźma ruszył za jeńcem, roztropnie zbaczając nieco z linii strzału.

Huknęła druga palba. Król zawył, ale to przekonało Jana, że najjaśniejszy pan nie został trafiony. Zamiast paść na drogę w kałuży krwi, monarcha wciąż uciekał ku ścianie lasu, nie stosując żadnych uników. Jan spojrzał ku drzwiom, sprawdzając, czy karczmarz jest już bezbronny. Jednak ruch za jasnym kwadratem klapy wskazywał, że ajent po coś sięga, być może po druga strzelbę. Poza tym król uciekał, wrzeszcząc przeraźliwie. Nie uciekał przed Kuźmą, ale tak czy inaczej, mógł zbiec albo, co gorsza, zabić się o najbliższe napotkane drzewo.

Konfederat doścignął brańca dopiero w lesie. Kiedy chciał, król mógł się poruszać zadziwiająco szybko jak na jego stan zdrowia. Ostatecznie ucieczkę przerwała utrata buta. Jan doścignął Poniatowskiego, trzymając w jednej ręce kozak, a w drugiej wyciągniętą szablę. Usiadł ciężko koło Stanisława Augusta i razem dyszeli przez pewien czas.

– Janie, musimy gdzieś przenocować. Martwy nie zdam ci się na nic.

– Jakby najjaśniejszy pan zostawił mówienie mnie, to może by się udało. A tak musimy iść dalej. Zresztą kiedy znajdą nas towarzysze i dostaniemy konie...

– Twoim towarzyszom pomoc nie idzie zbyt dobrze – kąśliwie zauważył monarcha.

– A ja nie słyszałem alarmu, bicia warszawskich dzwonów – odciął się Kuźma. – Plan działa...

– Ech, Janie, patrz, mgła się z ziemi podnosi. W taką pogodę to z Warszawy dzwonów nie usłyszysz.

– Kiedy jeden zacznie bić, najbliższe parafie pochwycą alarm.

– Tu mogą bić tylko bracia kameduli, ale oni w dzwon uderzą na moją cześć, dopiero kiedy wyzionę ducha. I to nie na żalność, ale z radości!

– Tych pobożnych mężów nie znam, ale ze słów najjaśniejszego pana wynika, że zacni to ludzie – odparł Kuźma. Po czym dodał: – Nie trzeba było Żyda obrażać, biedaka.

– Takie wyrzuty sumienia masz, żeś go chciał ubić?

– To Żyd, więc na wieczne męki do piekła pójdzie. Nie trzeba mu jeszcze niegrzecznym językiem zgryzot dokładać.

Milczeli chwilę, cały czas siedząc w kępie jałowca. Obaj czuli senność i chłód. Gdy żywioł choleryczny opadł w ich ciałach, zmęczenie przyszło odebrać zaciągnięte długi. Jan otrząsnął się pierwszy.

– Królu, nie zasypiaj, trzeba iść.

– Nigdzie nie idę! Rozpal tu ogień!

– Panie, nie sposób w takiej wilgoci ogniska palić. Poza tym jeśli nawet się uda, to szybko znajdzie nas pościg.

– I dobrze!

– Wtedy ja będę musiał najjaśniejszego pana ubić, aby nie wydał mnie ani towarzyszy.

Poniatowski milczał chwilę, rozważając to i owo. Wreszcie zdecydował:

– Dobrze, nie rozpalaj ognia. Posiedzimy tak do rana.

– Idźmy, nim nas jakieś wilki zjedzą! – powiedział surowo konfederat.

– Bzdura, wilków tak blisko miasta nie ma!

Po raz kolejny tej nocy Bóg postanowił zadrwić ze swojego królewskiego pomazańca i jego niedoszłego kata. Wycie rozległo się między drzewami, natychmiast stawiając na nogi i Poniatowskiego, i Kuźmę. Jan podniósł szablę i wypatrywał w ciemności nadchodzących zwierząt. Uprzedzając fakty, powiedzmy, że nie udało mu się znaleźć ani jednego.



To nie były wilki, tylko ludzie. A dokładnie dwóch: Piotr Niemicz i Ksawery Masłowski, którzy po dotarciu do obozu na polach powązkowskich stracili zupełnie inicjatywę. Nie mieli pojęcia, co robić dalej. Dzwonów na trwogę nie słyszeli, ale i swoich towarzyszy z innych oddziałów na próżno wyglądali. Dlatego najpierw wspięli się na najwyższe w okolicy drzewo, a nadal nie widząc reszty spiskowców, zaczęli radzić, jak ich wezwać. Odrzucili pomysł użycia myśliwskiego rogu, który chowali na stan ostateczności. Wychowany na Litwie Niemicz szczycił się, że pochodzi z rodziny wielkich myśliwych, niestety, wraz z krwią nie otrzymał po przodkach żadnych umiejętności praktycznych łowczego. Wpadł na pomysł, aby dać znać towarzyszom tajnymi znakami, a najlepiej niebudzącymi podejrzeń odgłosami zwierząt, ale już wydać takiego dźwięku Piotr nie umiał. Dlatego nawet nie zaprzętał sobie głowy, czy inni konfederaci rozpoznają w zewie lasu sygnał do zbiórki. Przez kilka dziesiątek różańca próbował najpierw sam opanować, a potem nauczyć Masłowskiego jakiegoś leśnego zewu. Ostatecznie uznali, że tylko wycie wilka w ich wykonaniu przypomina choć trochę prawdziwe wycie wilka. I tak, stojąc na wysokiej gałęzi drzewa, dwóch dzielnych zamachowców zaczęło wznosić zawołania do księżycy, chwilowo znów zasłoniętego przez chmury.

Sporo ludzi to usłyszało, na przykład okoliczni chłopcy z Burakowa. Nie byli jednak domyślni; ciemni włościanie nie poznali, że to wycie wilków, i uznali, że dwóch herbowych się upiło, wlało na drzewo i daje upust cierpieniu życia, tak przepelniającemu ich stan.

Za to królowi i jego porywaczowi wycie wydało się niezwykle autentyczne. Wygoniło resztki snu i bólu, krzesząc niespodziewane pokłady siły.

– Idziemy! – zdecydował Jan. – Teraz, panie, albo nie będzie już okazji.

– Dobrze... – Zapadła chwila niezręcznej ciszy. – Kuźma... czy ty nie powinienes iść pierwszy?

– Ależ ja ufam najjaśniejszemu panu. Proszę, przodem.

– Ale dokąd? – zapytał Poniatowski, rozkładając bezradnie ręce.

Księżyc nadal tylko mdlawo przeświecał zza kożucha chmur. Las wokół dwóch podróżników wydawał się wręcz czarny. Kuźma podrapał się po głowie. Spojrzał na monarchę, potem na księżyc, a potem na las, w kierunku, z którego dochodziło wycie. Potem znowu na monarchę...

– Janie... – zapytał Poniatowski. – A ty wiesz, gdzie jesteśmy?

– Nie, najjaśniejszy panie – odparł Kuźma. A jakby na usprawiedliwienie dodał:  
– Ale to nie moja okolica. Najjaśniejszy pan powinien być lepiej obeznany.

Z ziemi wypęzła zimna mgła. Nie mogła spowodować, żeby król i jego porywacz byli bardziej zgubieni, ale dostarczyła im bardzo wygodnej wymówki, dlatego stracili wszystką orientację.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Dla odświeżenia pamięci naszych czytelników, przypomnę najważniejsze wydarzenia, które wstrząsnęły polską monarchią w nocy z 3 na 4 listopada 1771 roku. Był to czas niezwykle trudny dla państwa, gdyż wspomniana już konfederacja barska nadal walczyła na kresach kraju, wojska rosyjskie, choć nieliczne, strzegły Warszawy, nie jak sojusznicy, którymi byli tylko z nazwy, ale protektorzy, co o swoje dbali. Mimo kryzysu życie towarzyskie stolicy toczyło się jak zazwyczaj. Stanisław August Poniatowski, król Polski i wielki książę Litwy, w ów zimny i deszczowy wieczór przebywał w odwiedzinach u swojego krewnego, a dawnej (przed elekcją na tron) protektora, Michała Czartoryskiego. Wracając od chorego ziomka, władca musiał skierować się na drogę nieco okrężną, ale ze względu na padający deszcz uznaną za bezpieczniejszą. Był to błąd, ale nie z gatunku łatwych do uniknięcia: konfederacki oddział bowiem się podzielił, strzegł kilku najważniejszych skrzyżowań w mieście. Jeden z patroli pilnował zbiegu ulicy Miodowej i Koziej, znanej z najlepszych w stolicy domów publicznych, ale nie ma to żadnego związku z naszą historią.

Ulica Miodowa, na której zaczął się królewski dramat, to jeden z najważniejszych szlaków Warszawy. Można rzec, że to ulica ładna, wzdłuż której potężne rody z Polski i Litwy wybudowały sobie rezydencje, ale porównując do naszych ulic paryskich, niczego szczególnego w stolicy Rzeczypospolitej nie znajdziecie.

Co więcej, trudno w Warszawie szukać śladów prawdziwego nocnego życia na mieście. Wszelkie bale i rozrywki odbywają się na dworach magnatów (tak zwą tutaj arystokratów, których od szlacheckiej biedoty odróżnia szalone bogactwo, ale formalnie żadne inne przywileje) i w siedzibach największych rodów kupieckich. Natomiast nawet centralne części miasta zamierają wieczorami (może z wyjątkiem soboty) i nie znajdziesz wtedy zacnej rozrywki nawet na trakcie ważnym jak Miodowa. Warto o tym rzec, nim opiszemy samą scenę porwania króla. Dzięki temu zrozumiemy, dlaczego po

ucieczce służby monarcha znalazł się sam w środku własnego miasta, a jego prześladowcy uciekli, nie niepokojeni przez niemal nikogo.

Rok przed zdarzeniami listopadowymi Warszawę prawie nawiedziła katastrofa w postaci epidemii dżumy. Zaraza faktycznie pustoszyła wschodnie i południowe połacie Rzeczypospolitej, ale nie dotarła na Mazowsze, a tym bardziej w miejskie mury stolicy. Zima z przełomu roku siedemdziesiątego i siedemdziesiątego pierwszego była surowa, wszystkie miazmaty wymroziła, i tak kolejna groźba dla kraju została zażegnana.

Warto jednak pamiętać, że Warszawa od pokoleń żyje w strachu przed chorobami. Za panowania króla Zygmunta Wazy, a potem za Augusta Saskiego niezwykle surowa choroba zdziesiątkowała mieszczan i szlachtę żyjącą w murach miejskich. Zwłaszcza ta druga epidemia, z roku 1707, wielce zaszkodziła stolicy, wyludniając ją i skazując na trwającą dwie dekady biedę. Dlatego kiedy marszałek Lubomirski zapowiedział w 1770, że mieszczanie mają usypać wały do ochrony kwarantanny, nie protestowali oni zbyt mocno, a zabrali się do pracy. Niektórzy mówią, że okopy zwane marszałkowskimi miały służyć do ochrony przed szturmem konfederatów z Baru, ale nawet gdy zaczynano prace, rokoszanie byli już pokonani w polu i nie mieli sił na obleganie miasta tak znacznego jak Warszawa.

Ponoć dziś wały owe wyglądają już lepiej, ale kilka lat temu były to tylko usypane hałdy ziemi, z pozostawionymi na rogatki prześwitami. Do dziś nie wybudowano strażnic na rogatkach, a drewniane budy strzegą wjazdu do miasta i wyjazdu z niego. Trudno w to uwierzyć, ale by uciec ze stolicy, porywacze mogli po prostu przejść przez zwały ziemi, nie niepokojeni przez straż.

Porządku Warszawie pilnują dwie siły: straż marszałkowska, która ma strzec miru w siedzibie władcy i podczas sejmów, oraz gwardia królewska, skupiona na chronieniu monarchy. Choć ta pierwsza czasem uważana jest przez gwardzistów, zwykle zaprawionych w boju żołnierzy, za mało bitną, współpraca między tymi grupami, przynajmniej za czasów marszałka Lubomirskiego, zwykle przebiegała dobrze.

Jednak w sytuacji tak nadzwyczajnej jak porwanie króla, w chaosie nocy, nie udało się szybko rozpocząć wspólnego pościgu, co dało zupełnie niezasłużoną przewagę atakującym. Zła pogoda i niskie morale słabo opłacanych członków straży także nie pomogły w kluczowych dla porwania godzinach. Co gorsza, w doniesienia o strzelaninie na Miodowej nie od razu uwierzono. Działać zaczęto, dopiero kiedy nikt nie zdołał znaleźć króla w jego komnatach ani w alkowach jego kochanek. [Ten fragment mogę

wykreślić, jeśli Akademia nie życzy sobie skandalu. Prawdą jednak jest, że o alkowianych wyczynach Stanisława Augusta rozprawia warszawska ulica, a sprawa jego rozwiąźłości była tak znana, że konfederaci nawet nie uznali za wartościowe czynić mu z tego powodu wyrzutów w atakujących go pamfletach].

W pierwszej chwili jedynymi wodzami panującymi nad poszukiwaniem byli pułkownik gwardii Karol Fryderyk Cocceji i jego adiutant kapitan Sebastian Żubrowski.

## IV

### Teraz, Petersburg

Peszyńskiego i Frankemberga wzięto do piwnic. Nie wiadomo właściwie dlaczego. Przesłuchanie mogło odbyć się właściwie wszędzie, nawet na królewskich przedpokojach. Jednak pułkownik Herzog musiał się kierować dbałością o tradycję, jeśli nie ustanowioną, to dojrzewającą.

Kiedys tortury były spektaklem skierowanym ku gawiedzi, ku ludziom, którzy w umysłach mieszały rozrywkę ze strachem płynącym z obietnicy złożonej przez władzę. W ten sposób mieszkańcy Moskwy, Petersburga i pomniejszych miast imperium mogli być poddawani zaocznym torturom niepewności. Nie przelewali jednak kropli krwi, a nawet nie byli obrażeni bezpośrednią groźbą przemocy. W prostym, niemieckim, ale oddanym carowi umyśle Wiktora Herzoga tortury nadal były widowiskiem, tylko skierowanym ku przesłuchiwanym. Dobre przygotowanie oskarżonego było elementem śledztwa, nim to śledztwo się rozpoczęło. W dodatku jeśli taki delikwent wychodził żywy z piwnicy, legenda, którą rozsiewał, stawała się większą zachętą do przestrzegania prawa niż setka batów spuszczonej na nagie plecy.

Dlatego poprowadzono starych konfederatów z pełnym sztafażem makabry: pułkownik kazał im założyć powrozy na szyje, zdjąć buty i zabrać paski. Oto więc dwóch byłych barzan szło przez kapiące złotem korytarze, trzymając się za opadające spodnie. Przynajmniej tak było w teorii, opasy brzuch Teodata Frankemberga był na tyle przyzwyczajony do luksusów dworskich, że spodnie trzymały się same. Jednak były zamachowiec trzymał je tak pro forma, kopiując zachowanie towarzysza. Wiedział, że gra w teatrze i musi wykonywać swoje partie bez narzekania.

Sprowadzono ich do piwniczki na mięso, zimnej nawet latem, a zimą lodowatej niczym wódka pita w niebie przez bojarów, przynajmniej według legend opowiadanych przez prosty lud. Pozbawieni kurt na wejściu podejrzani drżeli nie

tylko ze strachu, choć trzeba powiedzieć, że naturalne okrycie ciała składające się z warstwy tłuszczu znacznie ułatwiało życie Frankenbergowi. Za to Peszyński drżał jak trzeba, ale Artem dostrzegał, że to bardziej z zimna. Otóż dawny zamachowiec wciąż się uśmiechał i skupiał wzrok gdzieś na ścianie piwnicy, choć pewnie oczyma duszy patrzył znacznie dalej.

Obu usadzono na drewnianych, prostych a solidnych krzesłach, przywiązano ręce i nogi, a potem zostawiono na pastwę pułkownika, dwóch gwardzistów i Artema. Herzog patrzył przez chwilę na swoich jeńców, po czym powiedział:

– Oćwiczcie ich trochę, nim zaczniemy rozmowę.

– Ani mi się waź, moskiewski pacholku! – syknął Peszyński. – Ja się przyznaję do zabicia malowanego króla Ciołka, ale jeśli mnie tkniesz, nie przyznam się nawet za sto lat.

Herzog zdębiał, słysząc takie dictum. Popatrzył na obu więźniów, potem na Artema. Nie widząc znikąd pomocy, skinął na sługę, po czym obaj odeszli na stronę. Weszli za stojak z kiełbasami i tam pułkownik gwardii poprosił o radę młodego pokojowca.

– No, radź mi, panie Adrianie.

– Artemie, panie oficerze – odparł Artem. – Poza tym ja nie pan, tylko z ojca kaprała i matki z czeladzi biskupa poznańskiego pochodzę.

– Czekaś, poznańskiego? To twoja matka nie z Warszawy, stolicy Lachii? – zapytał zdeorientowany gwardzista.

– Tak, panie, ale to długa historia – odparł Artem. – Teraz lepiej zajmijmy się tymi aresztantami... to znaczy pan pułkownik się zajmie. Ja się na ćwiczeniu ludzi nie znam.

– Ale, Lachu, radź mi. Ten szaleniec to twój krajan, nie pojme jego umysłu.

– A co tu pojmować, panie! – odparł sługa, widać już zmęczony tłumaczeniem, że Polakiem nie jest. – Sam pan powiedział, że to szaleniec.

Herzog westchnął i wrócił do aresztantów. Stanął przed Peszyńskim i mierzył go długo wzrokiem. A konfederat uśmiechał się wciąż bezczelnie.

– Powiesz ty po dobroci? – zapytał gwardzista.

– Panie, ja powiem wszystko. Tylko że ja niczego najjaśniejszemu panu nie zrobiłem! – krzyknął i Frankenberg.

– Jam go otrul! – oświadczył spokojnie Peszyński. – Do wina dolałem mu jadu strychninowego, aby cierpiał, jak cierpiał naród przez niego zdradzony! Pomściłem hańbę zaborów, Targowicy i Grodna! Zabiłem tego udawańca, gdyż *sic semper tyrannis*<sup>[2]</sup>...

– Król żyje... – przypomniał nieśmiało Artem. – Tylko go boleści ścisnęły.

– Tak? – zapytał zmieszany Peszyński. – Ale umiera, prawda?

– Zaraz, dlaczegoś powiedział o winie i strychninie. Czy trucizna nie była w bułkach? – przytomnie wytknął Herzog.

Peszyński zawahał się na kilka uderzeń serca.

– No, przecież mówiłem: w bułkach, które do wina król carycy kochaniec jadał.

– Pił kawę – wtrącił Artem.

– No to kawę, do kroćset! – jęknął konfederat. – Czy to ważne? Cześć wiarołomca, co koronę polską oddał za jurgielt!

– Król żyje...

– Niech cię pioruny biją! Umrze, zaraz umrze! – krzyczał Peszyński. – Jak go nie skończyliśmy w Warszawie, to choć w Petersburgu go sprawiedliwość późna dosięgnie.

– Panie, przecie on rozum postradał! – szepnął pułkownikowi Artem.

– Może, chłopcze, ale chyba lepiej, aby jego ćwiartować za zabójstwo Poniatowskiego niż kogo innego. Na przykład ciebie, który mu te bułki mogłeś przynieść.

Artem poczuł na plecach dotknięcie lodowatego jęzora. Spojrzał na siedzącego obok Frankemberga i między młodym sługą a starym zamachowcem splotła się nić porozumienia. Obu się wydało, że są zgubieni niezależnie od tego, co zrobią i jaka była prawda.

– A ty co powiesz? – zapytał drugiego więźnia pułkownik.

– Ja, panie, to nic nie wiem. Za zbrodni odpokutowałem, sam imperator, niech niebiosa chronią Pawła Piotrowicza, rzekł, że kary dość poniosłem.

– Ale twój kamrat mówi, że on przygotował zamach. Sam to zrobił?

– Sam otrułem tyrana! – potwierdził Peszyński.

– Ja nic nie wiem, panie. Ja z urodzenia prosty człowiek jestem, ojciec stolarz, matka warzywa sprzedawała. Zły Łukawski mnie do spisku przekonał, gdy



młody był, żądny chwały i gorzałki. Powiedziałem wszystko jak na spowiedzi świętej... to znaczy jak na spowiedzi rzymscy katolicy mówią. Co Peszyński robił, to ja nie wiem.

– *Stawam na placu z Boga ordynansu...* – śpiewał drugi z konfederatów. – *Rangę porzucam dla nieba wakansu. Dla wolności ginę, wiary swej nie minę...*

– Pułkowniku! – Ten dziwaczny spektakl został przerwany przez wołanie jednego z gońców. – Prosimy na górę. Chemicy jakieś pomysły mają.

– Pilnować ich i spisywać, co mówią! – polecił Herzog, po czym pociągnął za sobą Artema. – Pójdiesz ze mną. Widać umysł masz jasny, radą mi posłużysz.

Zostawili więc Peszyńskiego śpiewającego hymn konfederatów oraz Frankemberga zapewniającego o wierności względem dobrego cara Pawła. Po krótkiej drodze na drugie piętro, spotkali obu chemików na korytarzu. Badacze byli skupieni na pracy, ale też podnieceni i chcieli jak najszybciej przekazać swoje odkrycia.

– Pułkowniku, to dobre i złe wieści. Król nie został otruty, doktorzy to potwierdzają – zaczął pierwszy.

– Objawy wskazują na skręt kiszek od nadmiaru kawy i braku snu. A my wykluczyliśmy truciznę.

– To nie strychnina?

– Strychnina? Nie wiemy, panie, ale na pewno nie trucizna.

– To skąd wiecie?

– Trzy obiekty badań zjadły po porcji bułki i nie wykazują żadnych objawów.

– Komuście dali te bułki?

– Trzem nieświadomym obiektom...

– Komu?

– Kapralowi Nikołajowi Pawłowiczowi, doktorowi Szewtowowi i Aleksandrze Borysownie i nic im nie...

Uczonemu przerwał głuchy odgłos uderzenia i pisk zgromadzonych w salonie kobiet. Po kilku uderzeniach serca w owej kakofonii można było już rozróżnić kilka oddzielnych głosów. Najwyraźniejsze były trzy: „Mordercy! Mordercy!”, „Biedna Aleksandra!” oraz „Otruli, łotry!”.

## Wtedy, Warszawa

Cocceji udawał, że wszystko jest w porządku. Żubrowski nie potrafił wytrzymać oczekiwania na katastrofę. Wiedział, że statek tonie, a to, że w ładowni nie widać wody, nie oznacza, że krypa jej nie nabiera.

– Trzeba ogłosić alarm! – powtórzył po raz ósmy lub dziewiąty.

Wraz z dowódcą stali w kancelarii gwardyjskiej na zamku i patrzyli na spisany meldunek straży więziennej. Chaotyczne zaznania pijanych (chyba!) członków orszaku króla sugerowały scenariusz niemożliwy.

– Alarm dla wszystkich. Regimentu pieszego, konnego i straży marszałkowskiej. Poza tym dzwony na wszystkich kościołach i budzimy strażę ogniową na mieście.

– Wiesz, że niemal na pewno jest u kochanki? – przerwał mu pułkownik.

– Trzy pacierze temu powiedział pułkownik: na pewno jest u kochanki. Nie podoba mi się trajektoria myśli pułkownika.

– Ty mi o trajektorjach nie mów, tylko myśl, jak po cichu sprawdzić wszystkie metresy najjaśniejszego pana. Do tego chyba nie potrzebujemy straży marszałkowskiej...

Żubrowski miał na końcu języka uwagę, że i ludzi Lubomirskiego może nie starczyć, ale się powstrzymał. Jeśli pułkownik miał rację, żelazne reguły matematyki wspierały gwardzistów. Wedle szans: jeden do dwóch – był u Grabowskiej (goniec jeszcze nie wrócił), jeden do trzech – że u panny Gołatówny, jeden do dziesięciu – że u żony zaginionego hajduka, pani Butzau. Potem lista stawała się niepewna i pełna białych plam, ale te trzy kobiety stanowiły bezpieczny zakład. W tej sytuacji można było nie ryzykować eskalacji kryzysu przez powiadomienie marszałka koronnego. Ale jeśli nie...

– Jest! – krzyknął ordynans z korytarza. – Nie ma pana u pani pułkownikówny.

Cocceji zaklął i zaczął chodzić po pokoju. Żubrowski już pisał rozkazy, licząc, że zwierzchnik podpisze je bez czytania i przystąpią do poszukiwań. Potem sięgnął

do biurka po mapę okolic Warszawy. Tego gestu pułkownik nie mógł już zignorować.

– Co robisz?

– Niech pan pułkownik przesłucha sam tych gagatków, a ja rozrysuję drogi pościgu.

– Pościgu?

– To mogli być konfederaci...

– Pułkowniku! – Kolejny goniec wpadł do pomieszczenia bez pukania. – Dwa zgłoszenia o strzałach na Miodowej. Ktoś zaalarmował straż marszałkowską.

– Niech to szlag! Żubrowski, rysuj te plany, ja idę do Lubomirskiego.

Kapitan uśmiechnął się pod nosem, tak jednak, aby Cocceji nie zauważył i nie zadał pytania, z czyjego polecenia zaalarmowano marszałkowskich. Sebastian Żubrowski był bowiem pewien swego. Jego lotny umysł wzniósł się na poziomy niedostępne dla zwierzchnika i przenikał ściany ignorancji dworskich nominatów. Sebastian wiedział, że będzie człowiekiem, który uratuje króla za pomocą potęgi intelektu.

## Wtedy, lasy pod Warszawą

Mgła błyskawicznie zalała las. Stało się to niezauważalnie: najpierw mokra szarość nastąpiła w cieniu lasu, i dopiero gdy zza chmur wyrzął księżyc, stojący pod drzewem bohaterowie owej nocy spostrzegli, że widzą jeszcze mniej niż we wcześniejszych ciemnościach. Ponieważ deszcz na dobre przestał już padać, zrobiło się cieplej, jednak przemoknięci wędrowcy tego nie zauważali. Z zimna cierpiał przede wszystkim zmęczony król, który był ranny, a nie spał od niemal dwóch dób.

– Janie, czy możesz wezwać swoich ludzi? – zapytał Poniatowski.

Wtedy rozległ się kolejny (jak się okazało – ostatni) odgłos przypominający wilcze wycie. Starczyło to za komentarz do pytania monarchy. Widząc beznadziejną sytuację, Kuźma ściągnął z ramion płaszcz i nałożył go na dygocące ramiona więźnia. Sam wyglądał niepysznie.

– Moi towarzysze nie uciekli. To pewnie gwardia ich ściga, więc to wina najjaśniejszego pana!

– Dobrze, chodźmy, dokądkolwiek mieliśmy iść – odparł zrezygnowanym tonem Poniatowski. – Ale wilki mogą nas dopaść. Dasz mi broń? – Odpowiedziało mu lodowate spojrzenie konfederata. – Nie szanowałbyś mnie, gdybym nie spróbował!

W tej właśnie chwili poczuli czyjąś obecność. Po prostu zdali sobie sprawę, że nie są sami. Otaczała ich ściana mgły, ale delikatne ruchy mokrych oparów mogły świadczyć zarówno o wzmagającym się wietrze, jak i o kimś... lub o czymś zbliżającym się ku polance.

– Co to za potwór? – zapytał szeptem Jan. – Wiem, że się najjaśniejszy pan nie zna, ale miał okazję wywiedzieć się więcej o tych lasach niż ja!

– Co to za bzdury? – odparł król, choć drżenie jego głosu wskazywało, że całkiem poważnie traktuje możliwość nadnaturalnej interwencji. – Nie ma duchów, nie ma potworów. To tylko mgła!

– To nie mgła uratowała wczoraj Żyda. Widziałem ich...

– Ich?

Głos oświeceniowego monarchy zdradzał już pełne poddanie się ideom ciemnogrodu, a zwłaszcza ciemnolasu. Poniatowski rzucał wokół siebie dzikie spojrzenia, śledząc każdy ruch obłoczka mgły. Każda gałąź i wszystkie (dodajmy: wszystkie dwa) widoczne wykroty stały się bramami do piekieł, skąd w każdej chwili mógł uderzyć niematerialny wróg. Stanisław August sięgnął ku szyi w poszukiwaniu krzyża bądź szkaplerza, ale szybko się upewnił, że jednak niczego takiego nie nosił. Od dawna nie nosił, a nawet gdyby jakimś dziwnym zrzędzeniem losu powrócił do dziecięcych zwyczajów, raczej zdjąłby go na okazję nałożenia opatrunku. Dlatego ostatni król polski zrobił coś, czego nie próbował już od lat: zaczął się modlić.

Jan spojrzał zdumiony na porwanego, jakby oczekiwał, że *Ave Maria* w ustach oświeconego władcy spowoduje kolejne załamanie pogody i gromy z zachmurzonego nieba. Sam Stanisław August poczuł pewną niestosowność sytuacji, gdyż przerwał modły i poprosił:

– Ty też, Janie. Tyś podniósł rękę na króla i przysięgi złamał, ale możeś mniejszy grzesznik niż ja. Módl się, o nasze wybawienie.

Na twarzy Kuźmy zagościł złośliwy uśmiech, ale zaraz potem wrócił wyraz uwagi. Owszem, konfederat zaczął szeptać pacierze, ale jednocześnie sięgnął pod pazuchę i wyciągnął z niej niewielki, płaski przedmiot. Król poznał w nim pochwę sztyletu.

– Panie, uczyni z niegodnego sługi twego narzędzie zbawienia! – szepnął Kuźma.

– Janie, czekaj! Nie mnie! Duchy twoje siecz! – krzyknął Poniatowski.

– Toż zamierzam! – odparł porywacz, wyjmując z pochwy długie na łokieć, cienkie ostrze. – To stal święta. Pobłogosławiona przez ojców paulinów pod obrazem Najświętszej Pani na Jasnej Górze! – oświadczył, podnosząc sztylet ku świecącemu na niebie księżycowi. – Oto czystość, która wytnie czyrak zepsucia.

– Janie? – zapytał król, nie wiedząc, czy jego towarzysz zamierza się na demony czy bezbożnych władców.

– Każdy z nas na taką okazję podobny sztylet dostał. Nie bój się, grzeszny uzurpatorze, nie na ciebie ta stal święta, ale na siły szatana! – Po czym Jan

krzyknął ku mgle: – Ukażcie się, upiory! W imię Jezusa, króla królów, rozkazuję wam: ukażcie się!

Dwanaście postaci wyłoniło się z mgły bez szelestu. Otoczyło wędrowców szerokim półkolem, ustawiając się w równych odstępach na skraju lasu. Jan skierował się ku stojącej w środku białej zjawie, po czym zrobił krok do przodu. Król Staś nie ruszył się, nawet gdy nerwowe chrząknięcie Kuźmy go do tego zachęciło.

– No, chodź! Co nam się stanie? Bóg naszych ojców i dzisiaj jest z nami.

Zrobił kolejny krok, patrząc już tylko na wodza duchów. Ponieważ odwrócił się plecami do króla, a ten nie widział już jego twarzy, wyglądał na spokojnego i zdecydowanego. W serce Stanisława Augusta wstąpiła odrobina otuchy, ale zaraz potem wdarły się też kolejne pytania.

*Jezu! Przecież on idzie naprzeciw upiorowi! Ryzykuje życie i duszę nieśmiertelną... aby mnie porwać! To głupiec, ale głupiec doskonale szlachetny. Wierzy w swoją durną, zaślepioną sprawę. Nie sposób go nie podziwiać!*

– Cofnijcie się, demony! – krzyczał Kuźma. – Oto stał pobłogosławiona słodkim spojrzeniem Maryi, Królowej Anielskiej.

– Kim jesteście? – zapytała przenikliwym głosem środkowa zjawa.

– Chrześcijanami! – krzyknął Kuźma, po czym spojrzał na króla. – Grzesznymi, ale prawowiernymi.

– Czy to tyś gonił wczoraj bliźniego w celach srogich? – zapytał duch.

– Nie twoje rzecz, biesie! Cofnij się przed świętą stałą!

Jan Kuźma zrobił krok w przód i pchnął sztyletem. Nie podniósł go do góry, jak to czynią aktorzy teatralni i ludzie z przemocą nieobeznani. Trzymał ostrze jak przedłużenie ręki, a zamach wziął niewielki, acz ostrożny, nie dając piekielnemu wrogowi okazji do wybicia broni. Choć Poniatowski wiele na życiu ulicznych łotrów się nie znał, poczuł, że sztuka walki Kuźmy wiele wspólnego ze szlachectwem nie ma, za to pokrewna jest *techné* rzeźmieszków w zaułkach Warszawy czy Lwowa. Jednak nie to było najważniejsze. Liczyło się, że konfederat zatopił sztylet w boku zjawy, tam gdzie ludzie miewali najniższe żebro.

– Giń, poczwaro piekielna! – dodał porywacz, odstępując od ducha.

Wyciągnął sztylet i cofnął się o trzy kroki, obserwując bok wroga. Jednak z białego ciała zjawy nie popłynęła ani kropla krwi. Za to ugodzony duch, miast

rozwiąć się w oparach mgły, złapał się za żebra i jęknął boleśnie, wciąż stojąc o własnych siłach.

– Chodu! – szepnął Kuźma i ruszył biegiem ku drodze zakroczymskiej.

Poniatowski stał przez kilka uderzeń serca, niepewny, co robić dalej. Parzył to na duchy, to na znikającego we mgle porywacza, i choć wiedział już, co robić, nie pojmował jak. Rad by był skoczyć w pościg za konfederatem, ale nie stało mu odwagi, aby odwrócić się od białych postaci. Wśród nich wszystkie (prócz ugodzonej sztyletem Jana) kierowały na niego spojrzenia. Ich oblicza były ukryte we mgle wyglądającej jak białe kaptury, ale Poniatowski domyślał się świecących piekielną czerwienią oczu w głębi tych pustek.

– Czy wy wiecie, kim jestem? – zapytał drżącym głosem.

– Król i wielki książę litewski. Poddany Katarzyny i zdrajca ojczyzny – odparła jedna ze zjaw.

– Zabijecie mnie? – wbrew sobie szepnął król.

– Po cóż? Twoja dusza już jest zgubiona.

Tego już monarcha znieść nie zdołał. Natychmiast skierował królewski korpus na zachód i zmusił nogi do kolejnego wysiłku. Jego mięśnie wołały zmiłowania, ale on tego nie czuł. Pędził między drzewami jak rączy jelen, cudem omijając wszystkie pułapki. Wymijał pnie, ległe drzewa, doły i krzaki. W dwa pacierze dopadł do drogi. Porównując tę rejteradę do wcześniejszych, możemy spokojnie ocenić bieg króla na siedem, może nawet osiem punktów. Niestety, Jan Kuźma zdobył mocną dziewiątkę, gdyż wyścignął swojego więźnia.

Król odwrócił się, patrzył na poszarzałą od mgły ścianę lasu i nasłuchiwał. Jednak żadne upiorne śmiechy nie dochodziły z lasu. Żaden ruch nie zdradzał obecności duchów. Panowała idealna cisza.

Wtedy Poniatowski zdał sobie sprawę, że cisza w lesie nie jest stanem naturalnym. Nigdy nie należał do miłośników dzikiej przyrody. Owszem, uwielbiał ogrody angielskie, które udawały opuszczone przez człowieka knieje. Jednak tylko udawały. Nikt inny jak Anglicy nie projektował chaosu z takim kunsztem. Rozbijali oni grozę ludzkiej symetrii pomysłowymi dodatkami, niespodziewanymi ozdobami i przeplatana przez krzaki i kamienie opowieścią o pięknie natury. Opowieści były piękne, sama natura nie. Las za Marymontem był

zimny, mokry i ciemny, a jednocześnie szary i mleczny. Był cichy, a przecież nie powinien. Gdzie się podziały ćwierkające ptaki, nawołujące się zwierzęta i owady?

Po chwili umysł króla odzyskał sprawność na tyle, aby przypomnieć, że owady pozasypiały na zimę, a ptaki zapewne spały snem zwyczajnym. Dochodziła północ, a może i pierwsza nad ranem. Poniatowski zrozumiał, że nigdy nie był w nocy w lesie sam. Nawet jeśli o podobnej porze wracał w okolicy z łowów, rzadko siedział na koniu, zwykle jechał w karocy lub na bryczce, otoczony przez innych beztroskich ludzi, którzy nie znali nocnego lasu. Prawdę mówiąc, samych polowań nie lubił, gdyż kojarzyły mu się z saską rubasznnością i sarmackim prostactwem. Jeśli na łowy jeździł, to w nadziei, że Piotrowski, Lewicki albo jego inny macher od spraw delikatnych znajdzie mu odpowiednią dziewczkę do zapoznania w marymonckich pawilonach. Samo gonienie zwierząt uważał za marną rozrywkę. Dlatego było wysoce niesprawiedliwym kaprysem losu, że w owej chwili jego goniono; koalicja wilków i upiorów odbierała mu ostatnie resztki trzeźwości umysłu i zamieniała ową noc z paskudnej w piekielną.

Nagle zatęsknił za Janem. Nie tylko za jego świętym, błogosławionym przez częstochowskich zakonników narzędziem mordy, lecz także za towarzystwem sympatycznego fanatyka. Być może Kuźma stanowił słabą ochronę przed bestiami i zjawami, ale się nie bał. Nawet uciekając, czy to przed śrutem Żyda, czy gniewem duchów, czynił to jak żołnierz. Właściwie nie uciekał, ale przegrupowywał jednoosobowy oddział, szukał lepszej pozycji taktycznej, przygotowywał się do kontrataku. Czegóż innego można było oczekiwać po człowieku wystawiającym dwie awangardy?

Poza tym Poniatowski czuł, że jego niedoszły morderca znajduje się bliżej Boga i jego prosta, brutalna dusza milej widziana była przez Niebiosa niż to, co siedziało przycupnięte na materialnym ciele króla. Poniatowski był władcą oświeconym, który klękał w kościele na widok wiernych, ale po wyjściu ze świątyni wołał dać do zrozumienia wszystkim ludziom na poziomie, że wiele oczekuje po papieskich obietnicach kasaty jezuitów, a modlenie się do tego samego obrazu, przed którym klęka plebs, jest dla nowoczesnego władcy hańbą. Jednak w owej chwili żałował, że umiłowanie pozorów nie kazało mu nosić choćby małego krzyżyka. Padł na kolana i zaczął szeptać wyciągane z zakamarków pamięci modlitwy.



– *Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen Tuum, adveniat regnum Tuum...* – prosił Poniatowski, chyba po raz pierwszy w życiu zastanawiając się nad znaczeniem wypowiedzianych słów pacierza. *Kiedy modlą się konfederaci, to Królestwo Boże w ich głowach obywa się beze mnie, to jasne. Ale co myśli taki prostaczek ze Starej Warszawy? – Fiat voluntas Tua, sicut in caelo, et in terra... – W tym departamencie sporo mi brakuje... – Panem nostrum quotidianum da nobis hodie, et dimitte nobis debita nostra, sicut et nos dimittimus debitoribus nostris... – W obowiązku przebaczenia idzie mi jeszcze gorzej* – dodał w duszy, ale w tej samej sekundzie podjął decyzję, że nie pozwoli zabić Kuźmy, kiedy to wszystko się skończy. – *Et ne nos inducas in tentationem; sed libera nos a Malo!* – zakończył z mocą.

Wtedy jednak wyczuł jakiś ruch. Ktoś, coś, zbliżało się, ale czy był to Kuźma, tuzin duchów, stado wilków, czy szalony Żyd z dubeltówką? Zacisnął powieki i kontynuował kierowane ku niebiosom prośby.

– *Ave Maria, gratia plena...*

– Głośniej! – polecił władczy głos.

– Co, proszę? – odruchowo zapytał król.

– Módl się głośno, abym cię słyszał. Co tam dalej?

– *Dominus tecum. Benedicta Tu...*

– Dobrze, dalej. Skład apostolski!

– *Credo in Deum Patrem omnipotentem...* – krzyczał król, zastanawiając się, co za demon zmusza go do odmawiania prawowiernych modlitw. – *Creatorem caeli et terrae. Et in Iesum Christum, Filium...*

– Dobrze, teraz coś naszego, po polsku. Zachęta do gorzkich żali.

– Co to za egzamin? – jęknął Poniatowski, zdając sobie sprawę, że nie ma pojęcia, o jakiej modlitwie mówi tajemniczy inkwizytor.

– Módl się dalej, bym wiedział, żeś nie demon! – rozkazał surowy katecheta leśny.

– Janie? To ja, twój król!

– Łżesz, zjawo. Ciołek by modlitw nie pamiętał. To bezbożnik jest!

Stanisław August nabrał już pewności, że przesłuchuje go Kuźma. Jęknął z ulgą i wstał, lecz nim się odwrócił, poczuł na ramieniu dotyk święconego ostrza.

Trzymał je konfederat (a któż mógłby inny?), ale widok szalonego zamachowca natychmiast rozczuliła monarchę.

– Janie! – jęknął z ulgą.

– Królu? – zapytał Kuźma. – To co mnie najjaśniejszy pan straszy? Przecież wołałem, aby najjaśniejszy pan mnie znalazł, i gdy zobaczyłem jakąś zjawę na drodze...

– Chodźmy stąd, jak najdalej! – przerwał mu Poniatowski.

Bez słowa ruszyli na północ. Po chwili znów znaleźli się przed karczmą, tym razem zamkniętą na głucho. Przeszli szybkim krokiem obok przeklętego budynku, nasłuchując odgłosów ze środka. Nie usłyszeli żadnych głosów, ale Poniatowski wyobrażał sobie karczmarza czekającego w ciemnej izbie z naładowaną strzelbą, gotowego nafaszerować ołowiem boskiego pomazańca. Nikt ich jednak nie niepokoił.

Gdy karczma zniknęła za zakrętem, król zaczął dostrzegać dziwne zachowanie swojego porywacza. Jan sapał dziwacznie, drżał na całym ciele i szczekał zębami. Nie wyglądał jednak na bardziej zmarzniętego i przerażonego, niż okoliczności by na to wskazywały.

– Janie... co się dzieje?

Pytanie to brzmiało dość ogólnie w lesie, w którym wędrowcy zostali ostrzelani przez karczmarza, pogonieni przez wilki i postraszeni przez duchy. Jednak Kuźma zszedł z drogi i usiadł na leżącym pniaku. Król przycupnął obok i słuchał.

– Jestem zgubiony! – szepnął konfederat. – Podniosłem rękę świętokradczą na bożego wybrańca!

– Ależ Janie, ja wybaczę... – zaczął król, ale szybko pojął, że nie o nim tu mowa.

– Prawie zakonnika zakłułem!

Kuźma podniósł sztylet na wysokość oczu monarchy. Poniatowski zauważył strzępki materiału, w którym rozpoznał szary filc oraz białe skrawki znacznie wyższej jakości tkaniny. Intensywnie myślał nad wyjaśnieniem tego zjawiska.

– Nie ma krwi, a ducha ugodziłeś!

– To nie duch! To święty mąż, ojciec kameduła z klasztoru! – jęknął konfederat.  
– To jego dźgnąłem, i gdyby nie szaty i wełniany kaftan, tobym na sumieniu miał duchownego.

– To nie były zjawy?

– Zjawy, zjawy... jam widział i nie zobaczył. Głupi, głupi...

Porywacz jeszcze przez chwilę rozpaczał nad swoją niedolą, a Stanisław August nie śmiał mu przerywać. Ostatecznie poklepał swojego ciemężyciela po plecach i sam zatonął w nieprzyjemnych myślach. Po pierwsze nie do końca uwierzył w zapewnienia o zupełnej materialności, a nawet pobożności domniemanych upiorów, po wtóre pozostałe problemy nagle wydały się trudniejsze. Wilki nadal gdzieś tu grasowały, a los króla w rękach porywaczy nie był bezpieczny. Poza tym władcy znów było zimno.

– Janie...

– Tak, tak, już idziemy – odparł Kuźma i wstał.

Bez słowa ruszył przed siebie, nawet nie sprawdzając, czy więzień podaży za nim. Ale król Staś podążał. Nie dość, że chwilowo czuł się bezpieczniej z Kuźmą niż bez niego, to przyznał też, że zupełnie stracił orientację w terenie. Mgła nie ustępowała, była niska, sięgała ledwo do głów wędrowców, ale okrywała las bardzo gęstym kożuchem. Gdyby nie trakt, Poniatowski nie wiedziałby, którędy iść.

Nie był w stanie oszacować odległości ani czasu marszu. Mógł się znajdować kilkanaście, ale może i ze trzydzieści staj od okopów miejskich. Instykt mówił mu, aby trzymać się drogi zakroczymskiej, gdyż nią najprędzej bieżałby pościg. Ale jeśli Jan skierowałby go na dowolną inną trasę, nawet wąską ścieżkę, nie pojąłby tego. Wydawało mu się, że las otacza go ze wszystkich stron i do niedawna szeroka szosa zmieniła się w ledwo dostrzegalny dukt.

Ostatecznie wpadł na dość desperacki pomysł. Chrząknął znacząco, aby zwrócić uwagę przewodnika i zapytał:

– Janie, a my nie powinniśmy pomóc temu kamedule?

– Odpuść, panie – odparł konfederat. – Ojcowie nie darzą cię wielką estymą. Alarmu nie wszczynaj.

– Chodziło mi o udzielenie chrześcijańskiej pomocy rannemu bliźniemu – wyjaśnił król, zły na siebie, że nawet osoba tak mało lotna jak Kuźma przejrzała jego plan.

– Nie został ranny, krwi na nożu nie było.

– Ale cios był mocarny. Mogłeś mu zgruchotać zebro.

– Cichaj, panie, idziemy.

I szli dalej, brodząc we mgle i tylko co chwila odchylając smagające ich twarze gałęzie. Stanisław August jakoś wciąż schodził ze środka drogi, gdyż witki uderzały go coraz częściej. Zdecydowanie skręcił, po czym zatrzymał się na drzewie. Nie było środka szosy, nie było nawet szosy.

Władca zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu idzie ścieżką, nie drogą. Szerokość szlaku na Zakroczym wynosiła niemal dwa pręty, teraz ów dukt mógł mieć mniej niż cztery łokcie. Czy Kuźma nie zauważył pomyłki, czy specjalnie zszedł z szerokiej drogi?

– Janie... – zawołał Poniatowski. Odpowiedziała mu głucha cisza.

Król uznał, że maszeruje za wolno i porywacz go zostawił. Nie był to – z punktu widzenia logiki dnia – zły obrót spraw, ale wokół panowała noc. Stanisław August przyśpieszył, aby dogonić zamachowca. Po kilku pacierzach zdał sobie jednak sprawę, że nie słyszy nikogo przed sobą.

Potem zaś spojrzął na drogę i dostrzegł, że jeden z kłębów mgły wydaje się niezwykle wyraźny. Uklęknął (z trudem; ciężki i wilgotny płaszcz Jana spowalniał ruchy), po czym dotknął jasnego kształtu.

– *Sacré bleu!* – jęknął, podnosząc białą szmatę.

To mógł być przypadek, niezwykle, ale przecież możliwy: oto król znalazł na leśnej ścieżce kawałek białego materiału. Ale jak wytłumaczyć fakt, że tkanina wyglądała zupełnie jak fragment habitu, odcięty przez Kuźmę? Z jednej strony Poniatowski mógłby przysiąc, że ten strzęp jest tożsamy z widzianym u porywacza. Z drugiej strony przyznawał, że przed chwilą zgubił się w lesie, a jego spostrzegawczość noc, zmęczenie i ból głowy wystawiły na poważną próbę. Obejrzał strzępek bliżej. Był to nieregularny pasek materiału, w części odcięty równo, a w części poszarpany. Król nie miał wielkiego doświadczenia w posługiwaniu się sztyletem, a tym bardziej w cięciu tkanin, ale uznał, że kształt skrawka odpowiada widzianym przez niego zdarzeniom: szczęśliwie niecelny cios Kuźmy przeciął kawałek habitu, a siła dłoni konfederata oderwała resztę. Jeśli był to ów strzęp, znaczyło, że władca zabłądził podwójnie.

Czy potykając się o gałęzie, zupełnie stracił orientację? Zawrócił ścieżką i dlatego odszedł od Kuźmy? Ale kiedy to się mogło stać? A może to Kuźma zabłądził i prowadził brańca w kółko, zbyt rozproszony, aby to zauważyć, albo zbyt zawstydzony, aby to przyznać.

Kolejne pytanie narodziło się samo: co miał zrobić król? Szukać Kuźmy, sympatycznego, ale bądź co bądź niedoszłego królobójcy? Może zaryzykować ucieczkę, szukać karczmarza, a może i zakonników? Pewnie nie byliby przyjaźnie nastawieni do uciekiniera, ale trudno było ich posądzać o szaleństwo. Klasztor na Bielanach spotkałaby sroga kara za wsparcie zamachu barzan. Poza tym Stanisław August musiałby trafić na miejsce.

– Zaraz, pomyśl... – mruzczał, wpatrując się w mgłę. – Na południe ode mnie jest miasto, na wschód Wisła. Wzdłuż Wisły wróć... – Przez chwilę z przerażaniem się zastanawiał, czy rozpozna, w którą stronę ma iść, ale potem odetchnął, nawet w noc tak szaloną jak ta, rzeki nie zmieniały kierunku spływu. – Tak, Wisły. Pójdę w górę rzeki i dotrę do klasztoru albo do miasta. Byleby nie ruszyć na zachód albo północ!

Było to wyzwanie, gdyż oddalenie od granic Warszawy zmniejszało szanse odnalezienia przez gwardię lub straż marszałkowską. Poniatowski był pewien, że go szukają... Nie, nie był tego pewien. W umyśle zbudował wagę, na jednej szali postawił wierność i kompetencję, a na drugiej zawiść i lenistwo swoich sług.

– Nie mam wiernej służby! – syknął w mrok. – Tylko Butzau okazał się...

I wtedy wszelkie strachy wróciły do niego ze zdwojoną siłą. Król poczuł tuż obok obecność. Niemą, nieruchomą, ale uporczywą. Zacisnął powieki i chciał rozewrzeć usta. Jednak nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

Strach, który wcześniej dotyczył tylko zatracenia ciała, zmienił się. Cudaczność i groza tej nocy wzbudziły w nim pewność istnienia świata nadprzyrodzonego, czegoś, w co od lat młodzieńczych powątpiewał, a w ostatniej dekadzie praktycznie to odrzucił. Przypomniawszy sobie bardzo oczywiste zasady religii chrześcijańskiej, gdyż Bóg jest sędzią sprawiedliwym, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Jeśli boska sprawiedliwość nie zostałaby złagodzona przez miłosierdzie, widoki na los duszy króla nie byłyby wesołe.

Przez chwilę rozważał nawet, czy nie wołać i szukać białych zakonników; jeśli ci byli prawdziwymi duchownymi, a nie duchami, mogliby mu udzielić sakramentu pokuty. Król uznał jednak, że jeśli zgubił szeroki bądź co bądź trakt zakroczymski, na pewno nie wróci do miejsca, w którym widział kamedułów.

*Boże, Boże... nie zabijaj mnie! Ja to wszystko nadrobię!* – szeptał bezgłośnie. Wciąż czuł przy sobie ową obecność. *To Butzau! To on... Zginął w grzechu, wciąż pogrążony*

w złości na mnie, może planując zemstę. Jego odwaga nie zadośćuczyniła za rozbuchaną ira... A może zabił żonę? Grzech straszny, szeroka droga do piekła, ale to też moja wina. Jerzy zginął bez spowiedzi, jest zgubiony, a teraz jego potępiona dusza przyszła po mnie. Żaden potępieniec nie chce cierpieć sam. Wrzucą nas do jednego kotła...

Wizja potępienia, coś, co kojarzyło mu się z dzieciństwem i jego strachami, wróciła. Widziane w pacholęcych czasach obrazki czartów zaganiających ludzkie dusze do piekielnego ognia wypełniły umysł oświeconego władcy. Dawne, pozornie już zapomniane prawdy wiary, wpajane mu jeszcze przez ojców teatynów z Długiej, wracały do pamięci.

Żal doskonały? A gdzież to! *Attritio*<sup>[3]</sup> mnie najpodlejsze wypełnia, bo wiem, że ratunku mi znikąd. Nie ma gwardii, nie ma ojców kamedułów, nawet nie ma Jana. Już jestem zgubiony! I serce króla wypełniła gorycz tak wielka, jaka tylko może się zmieścić w człeku wielkiego intelektu i małego ducha. Zrozumiał, że wszystkie nowoczesne teorie sprzeciwiające się istnieniu wolnej woli i tępione przez kaznodziejów w jego przypadku były empirycznie sprawdzalne; oto on był niewolnikiem czasu. Człowiekiem maszyną, acz maszyną już zgruchotaną, czekającą, aż wyrzucą ją na śmietnik. Nie mógł już nic zrobić; był jednocześnie żywy, jak i martwy, i potępiony.

*Ale Bóg jest miłosierny! Syna swego jedynego dał na odkupienie grzechów, też moich!* – myślał władca, ale zdał sobie sprawę, że pychą byłoby prosić Boga, za którego pomazańca nigdy się nie uważał. Dlatego zrobił dokładnie to, co niemal każdy warszawiak, a pewnie i każdy Polak (nawet może i kacierz, acz oni się tym nie chwaliли) robił w terminach najcięższych: zwrócił się do Matki Boskiej.

*Maryjo, Matko strapionych!* – zaczął szeptać bezgłośnie modlitwę. *Ulituj się nade mną! Ulituj się nad Rzeczpospolitą! Nie dopuść, aby straciła króla i pogrzyżyła się w chaosie...* Zdał sobie sprawę, że Maryi nie oszuka, więc porzucił wątki polityczne, przez uderzenie serca pomyślał wręcz, że biedna Rzeczpospolita może na nowym królu wyjść trochę lepiej. *Uratuj mnie, grzesznego! Obiecuję... obiecuję...*

Myślał, co może Matce Boskiej obiecać. Jak się okazało, nie był zbyt majątnym człowiekiem, i nie chodziło tutaj o rosnące długi. Nie mógł przecież oddać tego, co pozostawało poza jego mocą. *No przecież nie przyrzeknę, że zrzucę jarzmo moskiewskie, bo Katarzyna mnie do twierdzy wywiezie, o ile wcześniej jacyś jurgieltnicy nie przygotują prawdziwego zamachu. Nawet kochany wujcio Michał zamieniłby mnie na lepszy model... To może dla kościoła coś zrobić! Wiem, nie rozwiążę jezuitów, nawet jak papież kasatę*

*ogłosi. Ochronię, starych capów!* Potem jednak zadał niemo pytanie, czy akurat ten ruch pomógłby czy przeszkodził w rejsie Łodzi Piotrowej. *Może kościół jakiś? Nowa parafia? Warszawa ma aż cztery, ale coś się wykroi. Donacja dla kamedułów? A co tam, dla ojców paulinów na Jasnej Górze!* Potem jednak wspomniał, że w Częstochowie siedzą buntownicze żmije, co święciły noże zbójom z bandy Kuźmy. *Ale co tam! Nawet i konfederackim kapelanom dam, co mogę. Czarna Madonno z Jasnej Góry, zmituj się nade mną!*

Wciąż siedział w kucki, z zamkniętymi oczyma, komponując swoją modlitwę, która powoli zmieniała się w oficjalne śluby. To, o dziwo, trochę go uspokoiło, bo prócz martwienia się o losy ciała i duszy, król musiał dbać o dekorum. Skoro jego prośby miały się stać Ślubami Marymonckimi, musiały być godne z Bożej łaski i woli narodu króla Polski, wielkiego księcia litewskiego, ruskiego, pruskiego, mazowieckiego, żmudzkiego, kijowskiego, wołyńskiego, podolskiego, podlaskiego, inflanckiego, smoleńskiego, siewierskiego i czernihowskiego. *Ja, Stanisław August, król Polski... – powtarzał Poniatowski – ...ślubuję uroczyście... –* zapomniał jednak wszelkie nauki wymowy, więc uznał, że może ślubować w ciszy serca, a potem opracować tekst do zapisu dla potomnych. *Matko Boża, spraw, abym nie zobaczył duszy potępionej hajduka!*

Potem otworzył oczy i hajduka nie zobaczył. Płonące w ciemności oczy na pewno nie należały do Jerzego Butzaua, ba! nawet nie należały do człowieka. Gdyby nie gęstwa i ciężka mgła, wrzask króla doszedłby do uszu nie tylko kamedułów, lecz także karczmarza.

Jan dotarł do jeńca w ciągu kilku pacierzy. Przez ten czas Poniatowski nadal kulił się na ścieżce, z otwartymi ustami i zaciśniętymi powiekami.

– Panie, możesz otworzyć oczy – powiedział konfederat. – Tylko nie krzycz już.

Poniatowski z trudem spełnił ten rozkaz. Świejące oczy nie zniknęły, za to król dostrzegł, gdzie owe ślepie są osadzone. Dzik nie był nawet wielki, po prostu jego ryj znajdował się na wysokości głowy Stanisława Augusta. Zwierzę czekało nie wiadomo na co. Wytrzymało krzyk napotkanego człowieka, jakby cierpliwie spodziewało się jakiejś nagrody. Natomiast Kuźma podszedł do zwierzęcia i delikatnie klepnął je w zad. Dzik chrząknął z wyrzutem, ale potem ruszył w las.

– Już dobrze, panie. Idziemy?

– Tak, idziemy...

Król wstał i ruszył za Janem, tym razem bliżej, a po pewnym czasie nawet chwycił połą jego kaftana. Konfederat nie skomentował tego gestu, a to znaczy, że nie protestował. Po kilku krokach król pojął, że faktycznie wcześniej szedł w złym kierunku. Jan jakby czytał mu w myślach.

– Najjaśniejszy pan będzie jeszcze uciekał?

– Janie drogi, to pomyłka była. Każdemu się zdarza.

– Co prawda, to prawda. Zgubiłem się! – przyznał konfederat. – Chyba musimy znaleźć miejsce na nocleg.

Do traktu zakroczymskiego nie doszli. Jan faktycznie nie miał pojęcia, gdzie się znajdują. Po kilku pacierzach polecił królowi poczekać na ziemi, po czym wspiął się na rozłożysty dąb, którego korona wystawała nieco nad poziom lasu. Nie znaczyło to jednak, że konfederat dotarł dość wysoko. Po chwili sapania i balansowana na bardzo cienkich jak na potężne ciało porywacza gałęziach, Kuźma zszedł na dół speszony.

– Nie wiem, jak to możliwe. Mapy widziałem. Powinniśmy byli dotrzeć do polany na Wawrzyszewie, a jeśli zmyliłem drogę, to znów przeciąć trakt zakroczymski albo wrócić na południowy skraj lasu. Ta mgła miesza nam w głowach.

– A może przenocujemy na drzewie? Tam nas przynajmniej zwierzęta nie ruszą...

– A tam, nie wiem, jakie najjaśniejszy pan książki romansowe czytał, ale autorzy takich powieści nigdy chyba na drzewie nie spali. Spadniemy jak nic, kiedy zaśniemy. Pasów do zawiązania wokół pnia nie mamy...

– To podsadź mnie, Janie. Jestem lżejszy, wejdę wyżej.

Kuźma pokiwał głową, widocznie rozważając, jak niemądrym pomysłem jest posyłanie w górę obitego i zupełnie nieobeznanego z lasem króla. W końcu uległ prośbie, być może spytawszy Boga o zdanie. Zasada tej wyroczni była prosta: jeśli Wszechmogący sprzyjał pierwotnym zamiarom konfederatów, uratowałby króla przed upadkiem (tym razem nie moralnym). A jeśli powołałby duszę grzesznika do siebie, oznaczało to zupełnie inne zamiary dla umęczonego kraju. Zmęczony umysł Kuźmy nie potrafił dopatrzeć się w owym w planie ułomności.

– Dobrze, czekaj, panie. Wejdiesz mi na ramiona... Nie, bez butów. Jeśli ci jeden spadnie na górze, daleko nie zajdziesz.



Po kilku próbach monarcha został wniesiony na najniższą gałąź dębu. Potem musiał już radzić sobie sam i, jak się okazało, zapał Poniatowskiego topniał z każdym przebytym w górę łokciem.

– Janie, to może nie najlepszy był pomysł.

– Za późno, panie. Jakiś zaczął, to trzeba skończyć. Król się nie cofa.

*Ale czasem spada* – szepnął głos w głowie króla. A sam monarcha na głos odparł:

– Ale przecież nie jestem dla ciebie prawdziwym królem.

– Ale jakieś zasady najjaśniejszy pan ma. Choćby korony, jak niegdyś Henryk Francuski, to się chyba najjaśniejszy pan by nie zrzekł?

– Dlaczego pytasz? – zaciekawiał się król, rad zmienić temat rozmowy.

– Bo to by rozwiązało nasz problem... By najjaśniejszy pan abdykował, pojechał sobie do Anglii czy w inne miejsce ciekawe, a my byśmy elekcję bez Moskali zrobili.

– To nie takie proste, Janie. A teraz mnie zdejmij.

– Nie, panie. Idź na górę, może naprawdę wejdiesz wyżej.

– A jeśli spadnę?

– No... to szkoda będzie. Ale wszystko w ręku Boga.

– Janie, ja bez spowiedzi.

Konfederat sięgnął pod kaftan i wyciągnął jakiś dokument z widoczną nawet z drzewa ciężką pieczęcią.

– Nie martw się, panie. Oto specjalne *excepcium* wydane przez opata Jasnej Góry. Odpuszczenie grzechów dla członków naszej kompanii.

– Dla kogo?

– In blanco. Wymogi konspiracji bardzo nam w tej chwili pomagają.

Stanisław August nie był pewien, czy ów papier ma moc zbawienia duszy, ale skupił się na innym aspekcie problemu – otóż wejść wyżej się bał. Dlatego rad był szukać kolejnych przeszkód.

– Ale to dla was, porywaczy, nie dla mnie, porwanego.

– W tych okolicznościach nadzwyczajnych to najjaśniejszy pan już zupełnie jest jak członek naszej kompanii.

– Ja nigdy...

– Nigdy nie mów „nigdy”, panie. Pewnie jeszcze nieraz dołączysz do konfederacji, z którą walczyłeś. Nie marudź, idź. Nie zimno ci bez butów?

Poniatowski zrozumiał, że nie wygra. Wciągnął się z trudem na wyższą gałąź, potem na jeszcze wyższą i jeszcze wyższą. Aż w końcu stanął na konarze wzniesionym ponad linię drzew. Spojrzał przed siebie, potem zaczął łypać na boki. Od razu zobaczył coś niezwykłego, co mogło bardzo szybko odwrócić jego fortunę.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Czy należy wierzyć w dziwaczne historie krążące po Warszawie? Zależy w które. Na pewno północne przedmieścia Warszawy i lasy wzdłuż traktu, zwanego zakroczymskim, gościły paradę dziwacznych, a czasami tajemniczych osobistości, a wypadki, o których donosiły nasze pisma codzienne, mogły się wydarzyć, choć nie musiały. Nie mam na myśli tutaj donosów o duchach i demonach, które ponoć grasują między klasztorem kamedułów na Polkowej Górze a rzeką Rudawką, ale inne, bardziej wiarygodne historie.

W którymś z artykułów znalazłem wzmiankę o wilkach, które podchodzą regularnie pod warszawskie wały i owej nocy goniły tak konfederatów, jak i samego króla Poniatowskiego. Wydaje się to dziwaczne, że dzikie bestie podchodzą pod granice stolicy państwa, i to nie w zimie, ale jeszcze jesienią. Jednak warto pamiętać, że bliskość wielkich lasów i borów czyni taką sytuację możliwą, choć mało prawdopodobną. Warto jednak rozważyć inny przebieg wydarzeń: owo wilcze wycie, które ponoć wystraszyło króla, mogło pochodzić od samych konfederatów, nawołujących się po ciemku. Zmęczony i ranny monarcha mógł doznać pomieszania zmysłów i dać się zwieść pozorom.

Tym bardziej należy odrzucić wszelkie plotki o duchach i upiorach. Gdybym miał szukać źródeł tych domysłów, uznałbym, paradoksalnie, bliskość klasztoru kamedułów jako źródło legend. Ojcowie kameduli (od koloru ich białych habitów niektórzy nazywają te okolice „Bielanami”) osiedlili się daleko poza murami miejskimi. Uznawani są za surowych spowiedników, ale duszpasterzy pełnych zrozumienia dla ludzkich słabości. Stąd dawny zwyczaj odbywania pojedynków na szable i pistolety w okolicy Polkowej Góry. Rannych w tych potyczkach często niesiono do klasztoru w nadziei na pomoc duchową oraz medyczną. Jednak wielu awanturników nie dotrwało do czasu otrzymania asysty (cielesnej oraz duchowej) i zmarło w lasach bielańskich. Stąd wziął się przesąd o licznych upiorach, potępionych ofiarach pojedynków, które włóczą się nocami po skrwawionym lesie.

Natomiast historie o dziwacznej mgle gubiącej podróżnych, którzy zeszli z traktu zakroczymskiego, mogą mieć racjonalne podłoże. Dębowy las, rozlewisko rzeki Rudawki oraz zalewowe tereny niedalekiej Wisły powodują, że zastały w lesie muł oraz zgniłe resztki drzew pachną nieciekawie, a miazmaty wydobywające się z tych nieświeżych okolic mogą mieć wpływ na zmysły wędrowców. Jednak sam nie mogę potwierdzić działania tych oparów.

## V

### Teraz, Petersburg

Wcześniejsza cisza i bezruch płynnie zamieniły się w morze krzyku i bezsensownego ruchu. Lekarze dzielili swoją uwagę teraz na dwójkę pacjentów: króla i pokojową. Stan monarchy nie pogorszył się od dobrej godziny, ale nagłe zasłabnięcie służącej było pewnym rozwojem sytuacji. Artem wywnioskował, że Aleksandra Borysowna została podstępem przekonana do spróbowania kawałka podejrzanej bułki. Rozumowanie doktora Nepałowa, młodego absolwenta Akademii Królewieckiej, było bez zarzutu. Doktor może nie odznaczał się nadmiarem empatii ani żelazną etyką lekarską, przynajmniej wobec niższych stanów, ale jego założenia były słuszne. Skoro zamachowcy zakładali otrucie króla całą bułką, kawałek pieczywa nie powinien był zabić żadnego z trzech nieszczęśliwców wybranych do testów. Po żołnierzu działania toksyny nie można było poznać, choć na widok porażonej atakiem pokojowej zbladł i gdy Weiss badał go pilnie, szeptał pacierze. Drugi obiekt testowy, doktor Michaił Szewtow, z pozoru zniósł ten fortel spokojnie, ale relacjonując samopoczucie, młody medyk jąkał się, a jego spojrzenie uciekało gdzieś w bok.

– Moje przyśpieszone tętno oraz nieskładność ruchowa zapewne nie mają nic wspólnego z toksyną, a jedynie z szokiem, jakiego doświadczyłem – relacjonował lekarz. – Fizycznie jestem zdrowy, ale zaćmienie umysłu, jakiego teraz doznaję, znacznie ogranicza moje zdolności do pracy.

Nepałow zapisał wyniki badań kolegi, po czym podszedł do ułożonej na dwóch zsuniętych kozetkach Aleksandry Borysowny. Ta tęga kobieta w wieku średnim zajmowała oba meble, a jej mimo nieprzytomności szybki i intensywny oddech groził rozsunięciem zaimprovizowanej konstrukcji. Artem ostatecznie rozwiązał ów problem, wiążąc ze sobą nogi kozetek za pomocą urwanych z okien ozdobnych sznurów.

Sama otruta zachowywała się zaskakująco jak na ofiarę toksyny. Na jej policzkach zakwitł rumień, oddech był płytki, ale szybki, pot obficie zrosił całe ciało (choć to akurat mogło się wiązać z rozpaleniem ognia w niemal każdym kominku na piętrze). Ani na szyi, ani na języku nie widać było obrzęków, oddech pachniał... no cóż, czymkolwiek pachniał, nie odbiegało to od wyznaczonej przez służącą normy, o czym zapewnił stary Kostia, który przyznał, że zapach, a nawet smak oddechu pokojowej sprawdzał, kiedy ta była młodsza o kilka lat i kilkanaście funtów.

– A czy Aleksandra Borysowna nie odczuła podobnego ataku co doktor Szewtow? – zapytał w pewnej chwili Artem. – To znaczy nie od trucizny, ale zmieszania zmysłów i strachu?

Wszyscy obecni lekarze jak na komendę zgromili laika spojrzeniem, a Weiss nawet poczuł się w obowiązku zakląć głośno. Artem zauważył jednak, że medycy ze wstydem zaczęli badać i tę hipotezę. Także z wielką radością powitali nadejście zakutego w kajdany zakapiora.

Oczywiście więźnia nie wprowadzono do królewskiej sypialni, ale kiedy chrzest łańcuchów stał się słyszalny, niemal wszyscy wylegli na korytarz. A tam czterech gwardzistów właśnie prowadziło brodatego olbrzyma, który znany był w stolicy jako Czarny Obuszek.

– No, to co za próba? – pytał skazaniec. Weiss dał znać gapiom, aby nie zdradzili się ani słowem.

– Tutaj, Piotrze Michaiłowiczu, spocznij i posil się – polecił przymilnym głosem lekarz, podając mu na tacy kawę i pozostały kawałek bułki.

Złoczyńca zdawał się czytać w myślach zgromadzonych. Usiadł na obitym jedwabiem stołku, a grube łańcuchy zachrzęściły. Podniósł kawałek pieczywa i przyjrzał mu się uważnie.

– Zatruty? – spytał swojej widowni. – Tak myślałem. Nikt nie wyrwałby mnie z celi, oferując zamianę stryczka na katorgę za prostą przysługę... Polski król wyzionął ducha?

– Zjesz czy nie zjesz? – zapytał Weiss.

– Zjem, zjem... pewnie nawet z jadem to lepsze, niż mi w Szlisselburgu dają...

Obserwowany przez trzech lekarzy i kilkunastu służących, włożył bułkę do ust. Żuł dość długo, odpowiadając bezczelnie na ciekawskie spojrzenia. Nagle podniósł

dłonie do szyi i wykrzywił twarz w bolesnym geście. Widząc jednak, że jego strażnik, zamiast przyjść z pomocą, podnosi tylko kolbę karabinu, porzucił od razu swój teatr.

– Dobrze, dobrze... niczego nie czuję. Bułka jak bułka. Ale może się trucizna dopiero za kilka godzin ujawni...

– Zamknijcie go gdzieś w pobliżu – polecił Weiss. – I meldujcie, czy żyw. A tę pokojową to spróbujcie ocucić solami trzeźwiącymi. W tych bułkach niczego nie ma...

Śmiejącego się skazańca odprowadzono do piwnic, gdzie przez nadchodzące godziny słuchał zwierzeń Peszyńskiego na temat trucizny. Czarny Obuszek zabił trzech ludzi dla zabawy, czterech następnych myśląc, że są to wilkołaki, ale i tak zrozumiał, że w piwnicach pałacu Marmurowego nie jest najbardziej zwichrzonym lokatorem.

Aleksandra Borysowna odzyskała zmysły godzinę później. Przyjemnie zaskoczona uwagą, jaką jej okazywali medycy, z początku rozwodziła się nad swoimi dolegliwościami, ale gdy zauważyła, że z każdą chwilą coraz mniej na nią baczą, ostatecznie wstała, dyskretnie się oddaliła do swojej służbówki, aby doprowadzić się do ładu i wrócić na wieczorny dyżur.

Natomiast sam królewski pacjent zaczął okazywać więcej zwawości, niestety nie w sposób, który mógłby natchnąć nadzieją. Jęczał i rzucał się w łożu, wciąż nie odzyskując pełni zmysłów. Wołał osoby, których na pewno nie widział przez zaciśnięte powieki. Ba, wołał osoby, których na tym łóż padole już zabrakło, w tym zmarłą imperatorową, marszałka Lubomirskiego oraz Mikołaja Czartoryskiego. W pewnym momencie wezwał miłościwie wciąż panującego cesarza, na co doktor Weiss ścisnął dłoń pacjenta i zapewnił, że jego carska wysokość Paweł Piotrowicz już zmierza do łoża swojego królewskiego gościa.

Artem nie do końca w to wierzył, gdyż cesarz spędzał większość czasu z nowo narodzonym synem i odpoczywającą po porodzie żoną. Jednak nowe życie miało znaczny awantaż nad czekającą śmiercią i niezależnie od sympatii, jaką zdetronizowanego króla darzył car, musiał on dbać przede wszystkim o ród Romanowów.

Lekarze ostatecznie odrzucili tezę o truciznie, przynajmniej tej dostarczonej przez wrogów. W sypialni nastrój stawał się podwójnie grobowy. O ile Artem

dobrze pojmował, gdyby król wyzionął ducha po zamachu konfederata czy rewolucjonisty, choć nie pomogłoby to medykom w karierze, nie stanowiłoby też dla nich zagrożenia. Ot, wróg zaatakował, normalna kolej losu pośród głów koronowanych i byłych głów koronowanych. Jednak jeśli Poniatowskiego zabiłaby choroba, oznaczało to winę, choćby częściową, pielęgnujących go sług eskulapa.

Zagrożonych było trzech: Weiss, Szewtow i Nepałow, gdyż to oni na co dzień doglądali byłego króla. Przez sypialnię przewinęło się jeszcze pół tuzina medyków, ale oni jak diabeł święconej wody unikali jakichkolwiek czynności wymagających bezpośredniego kontaktu z chorym, a tym bardziej udzielania definitywnych rad.

Artem stał się asystentem Weissa, kimś w rodzaju cyrulika. Doktor musiał więc darzyć go daleko idącym zaufaniem. W pewnej chwili odciągnął swojego pomocnika na stronę i zapytał wprost:

– Chłopcze, jak myślisz, co mu jest? – A widząc zaskoczenie na twarzy Artema, dodał: – Tyś od razu się poznał na nerwowej reakcji tej pokojowej. Masz smykałkę do medycyny. Może ci coś święci albo intuicja podpowiedzieli?

– A jak powiem źle, to na Sybir pojedę czy do twierdzy po sznur? – zapytał ponuro sługa.

– Ty? Na Sybir. Bo się za tobą z wysokości szafotu wstawię – szczerze przyznał Weiss. – Mów, co czujesz.

– Król wspomina cały czas swoje porwanie. Może nie przez truciznę, ale w inny sposób zamachowcy go ugodzili?

– Co mówisz? – szepnął zaskoczony lekarz.

– Jakieś wspomnienie trudne albo sen o dawnych sprawach ugodził serce najjaśniejszego pana. Uczeni lekarze na pewno mają dobre słowo na taką kondycję.

– Ciekawe, ciekawe... – odparł autentycznie zaskoczony Weiss. – Książdz rzymski już tu idzie, ale pewnie Polaka nie znajdziemy... A powinien teraz słyszeć rodzimą mowę... Chłopcze, mów do niego. Jeśli słyszy, może się uspokoi. Jeśli nie, niewiele tracimy.

– Mój polski...

– Spróbuj.

– Dobrze... ale nie wiem, co z tego będzie.

Artem wziął stołek i umieścił go blisko wezgłowie królewskiego łoża, po lewej stronie, aby nie przeszkadzać lekarzom. Usiadł i przez dłuższą chwilę się



zastanawiał. Miał w głowie pustkę. Choć w zwykłych okolicznościach mówiłby po laszemu płynnie, w owej chwili nie mógł złożyć choćby jednego zdania. Pał sześc jego impotencję filologiczną! Po prostu sługa nie miał o czym rozmawiać z człowiekiem, który zdobył i stracił królestwo, a długów zostawiał na ziemi więcej, niż Artem mógłby wydać do końca życia.

– Najjaśniejszy panie, to ja Artem Piotrowicz – zaczął niezręcznie, ale poprawną polszczyzną. – Moja matka z korony pochodziła, ona spod Warszawy... Ja się już tu chowałem, ale mowy naszej... mowy polskiej nie zapomniałem. Czy mogę najjaśniejszemu panu zarecytować wiersze, którymi moja nieboszczka matka mnie polskiego uczyła? Skoro milczysz, uznam, że ci to nie jest niemiłe... – stwierdził Artem i rozpoczął pierwszy utwór, który wypłynął mu z pamięci: – *Żle zmyślać, źle i prawdę mówić w pańskim dworze. / Lew, chcąc wszystkich przeświadczyć o swojej pokorze, / Kazał się jawnie ganić. Rzekł lis: „Jesteś winny, / Boś zbyt dobry, zbyt łaskaw, zbytnie dobroczynny”. / Owca widząc, że kontent, gdy liszka ganiła, / Rzekła: „Okrutnyś, żarłok, tyran”. – Już nie żyła* – zakończył z uśmiechem na ustach, bo choć ową satyrę słyszał dziesiątki razy, zawsze budziła jego wesołość. Jednak już przy ostatniej frazie zdał sobie sprawę, że wybrał utwór bardzo, ale to bardzo niefortunnie. Choć biskup Krasicki był przyjacielem najjaśniejszego pana, akurat ta fraszka mogłaby zostać źle odczytana, przez ludzi nieznających kontekstu jej powstania. *Miałbym spory problem, gdyby tu ktoś jeszcze znał polski...* – pomyślał sługa. Pomyślał w złą godzinę.

– Hej, ty! – powiedział doktor Nepałow. – Co ty królowi tam szepczesz? Coś o śmierci?

– Ja...

– Durniu, wesołego coś mu opowiedz!

– Racja, panie! – odparł od razu Artem, pojmując, że Rosjanin zrozumiał tylko fragment „już nie żyła”. – Zaraz sobie przypomnę coś wesołego. – Jak obiecał, tak ku swemu nieszczęściu zrobił: – *Dwaj portretów malarze słynęli przed laty: / Piotr dobry, a ubogi. Jan zły, a bogaty. / Piotr malował wybornie, a głód go uciskał, / Jan mało i źle robił, więcej jednak zyskał. / Dlaczegoż los tak różny mieli ci malarze? / Piotr malował podobne, Jan piękniejsze twarze...*

– To było coś o naszym wielkim carze Piotrze? – zainteresował się lekarz.

– Nie, panie, o innym Piotrze, ze starego dworu. – Po czym dodał z nutą wyrzutu: – To bardzo trudne mówić w języku mojej matki. Trudno mi się skupić. Ja nie zaglądam panu doktorowi w jego medykamenty...

Nepałow mruknął coś niezrozumiałego, ale potem skupił się na własnych sprawach. A królewski pacjent nie zdawał sobie sprawy ani z zabiegów medyka, ani deklamacji służącego. Wciąż jęczał i szeptał z zaciśniętymi powiekami.

Po pewnym czasie Artem usłyszał poważne poruszenie na korytarzu. Cały czas mówił do króla, ale gestem głowy przywołał jednego z gwardzistów, który po zrzuconiu munduru służył jako asystent Nepałowa.

– Co tam się dzieje? Kto przybył? Może najjaśniejszy pan?

– A gdzie tam! – odparł niewzruszony żołnierz. – Teraz to o króla upomniała się przeszłość. Ci z dołu chcą, aby wreszcie zapłacił...

## Wtedy, Warszawa

Żubrowski dostał wolną rękę w planowaniu obławy. Odkąd Cocceji pojechał po marszałka, zostawił mu komendę nad gwardią, a tych kilkunastu członków straży marszałkowskiej, którzy sami przybyli na zamek po meldunku o strzałach, na razie spełniało rozkazy kapitana bez szemrania. Dlatego oficer przystąpił do działania bardzo efektywnie.

Zebrał wszystkich oficerów i dowódców oddziałów straży (zebrały się z tego cztery rotы jazdy, każda po cztery lub pięć tuzinów gwardii, oraz osiem równie licznych oddziałów piechurów) i streścił im sytuację. Owszem, sporo z tego było tylko przypuszczeniami i jego wywód o sile i umiejscowieniu wroga opierał się więcej na pomyślunku niż analizie raportów, ale genialny umysł kapitana Żubrowskiego mylić się nie mógł.

– Króla porwała banda konfederatów licząca od trzydziestu do pięćdziesięciu ludzi – instruował swoich podkomendnych. – Zakładamy, że po wystawieniu czujek i ariergardy wokół króla zostały na pewno dwa, a pewnie i trzy tuziny wrogów. Poruszają się pieszo, choć król wieziony jest konno. Jeśli doniesienia o porze ataku są ściśle, mogą znajdować się tu. – Zamaszystym ruchem obrócił cyrkiel, rysując na mapie okolic Warszawy okrąg. Wychodził on daleko poza rogatki miasta, a w umysłach żołnierzy wiedzących, co to znaczy, wzbudził panikę.

Nie wszyscy jednak pojmowali koncept Żubrowskiego.

– Ja tam prosty strażnik jestem – burknął sierżant od Lubomirskiego – ale jak na moje to koło jest, a nie punkt. To gdzie ma być najjaśniejszy pan?

– Tu... wszędzie!

– Jak: wszędzie? Na strzepy go rozerwali? – zapytał marszałkowski strażnik.

Kilku pozostałych dowódców przeżegnało się odruchowo.

– Nie... – W owej chwili kapitan zmełł w ustach przekleństwo i kontynuował opanowanym głosem: – To teoretyczny zasięg oddziału wroga. Mogli dotrzeć tu...

– Wskazał punkt na szosie zakroczymskiej. Potem zaś przesunął palec na las pod Wilanowem. – Albo tu. Albo tam, za Powązkami. Tego nie wiemy.

– Czyli król jest jednocześnie w tych wszystkich miejscach?

– Tak... to znaczy nie, ale my musimy działać, jakby był. Opracować plan, który pozwoli nam sprawdzić wszystkie tropy i zacząć pościg za naszym panem.

– A jakby się czterdziestu ludzi podzieliło na czterdzieści... no, ludzi, a tylko jeden miał króla porwanego, toby nam dostarczyli nie lada pracy – zauważył dociekliwy strażnik.

– Nie bądź głupi, sierzancie. Przecie nie zostawią tak cennego zakładnika tylko z jednym porywaczem – oświadczył pewnym tonem Żubrowski. – Będą nam mylić tropy, a jak spostrzegą pościg, to puszczą wszystkich konnych przodem, ale na razie niemal na pewno poruszają się jednym dużym oddziałem i kilkoma czujkami mylącymi pogoń. Musimy tylko znaleźć ich szlak. Dlatego dzielimy nasze siły na dwanaście oddziałów, każdy dość silny, aby wydać bitwę porywaczom. Konne roty idą na północ, zachód i południe. Jedną przerzucimy na Pragę. Pozostali ruszają szerokim wachlarzem, szukając wszelkich śladów tych łotrów. W tym czasie pułkownik będzie szykował kolejne posiłki z koszarów mirowskich.

– Alarm? – zapytał sierżant. – Dlaczego nie kazaliśmy bić w dzwony na trwogę?

– Przyjdzie na to czas – odparł kapitan. – Kiedy rozstawimy już pościg, zarządzymy larum.

Nie dodał, że w świetle wydarzeń ostatniego roku... a właściwie ostatnich siedmiu lat, król nie jest zbyt popularny w stolicy. To, co miało być spontaniczną akcją poszukiwania ukochanego monarchy, mogło (nie musiało, ale mogło!) zmienić się w uliczny festiwal radości po zaginięciu sprzedajnego monarchy, kochańca imperatorowej moskiewskiej. A nawet jeśli warszawiacy odpowiedzieliby z entuzjazmem (to znaczy chętnie chcieliby króla szukać), to ich pomoc nie musiała usprawnić pogoni. Żubrowski wyobrażał sobie dziesiątki fałszywych meldunków, samosady grup podróżnych, a nawet walki pospolitego ruszenia miejskiego z innymi grupami ochotniczymi. W dodatku pozostawał problem Moskali. Co najmniej tysiąc żołnierzy pod rozkazami generała Bibikowa koszarowało w granicach miasta. Po nocy zebranie ich wymagało czasu, ale Żubrowski wiedział, że musi akcję odbicia króla wykonać polskimi rękami. Do tego potrzeba było planu. Działanie należało zostawić zawodowcom takim jak gwardia i straż marszałkowska. Myślenie zaś geniuszom takim jak on.

– Do dzieła, bracia! – zakończył swoją przemowę, nie zważając, że pośród straży sporo jest ludzi stanu gminnego i mieszczańskiego.

Sam zaś skreślił krótką notkę dla pułkownika i udał się do kwatery przygotować do pościgu. Włożył mundur gwardii, ale przykrył go nieregulaminowym płaszczem. W ten sposób mógł zachować sekret podczas ruchu, ale odchylenie pół płaszcza odsłaniało jego tożsamość. Kapelusza gwardzisty ukryć nie było jak, więc schował go pod pazuchę, gotowy założyć ozdobę uniformu tylko w razie potrzeby. Przypasał oficerską szpadę i olstro pistoletu, a za pas wsadził też sztylet. Przejrzał się w lustrze i zastanowił, jak uwiecznią go artyści. Wiedział zaś, że uwiecznić musieli.

Wyobrażał sobie scenę oswobodzenia króla, kiedy on, kapitan Sebastian Żubrowski, chwyci ramię króla na tle trzymanyh na muszce konfederatów. Trudno było orzec, jakie tło towarzyszyć będzie scenie (Praga, Kampinos, Leszno czy Wilanów), ale to szczegół mało ważny. Oficjalnie obraz namaluje Canaletto, ale ponieważ mistrza włoskiego nie będzie podczas akcji ratunkowej, oprze się na szkicach i relacjach świadków, a pół roboty i tak zrobią za niego uczniowie. Natomiast to, że obraz ostatecznie zawiśnie na ścianie Zamku (albo i rezydencji w Łazienkach, kiedy wreszcie król ją rozbuduje), nie ulegało wątpliwości. Posłowie z dalekich państw będą oglądać męstwo Żubrowskiego, a najjaśniejszy pan będzie opowiadać o owej strasznej nocy listopadowej, podkreślając jednocześnie zarówno podłość konfederackich zdrajców, jak i wierność królewskich protektorów. I tak prosty szlachetka z Wołynia przejdzie do historii Rzeczypospolitej jako jej ratownik.

Ale przed lustrem stać nie wypadało, przynajmniej nie za długo. Sebastian ruszył marszowym krokiem ku zbierającym się na placu oddziałom. Wychodząc z suchego wnętrza zamku, pomyślał jeszcze, że wilgoć może popsuć jego nienaganny wygląd, ale przecież nie takie retusze były chlebem powszednim malarzy. Dobry artysta kwitł, kiedy malował pięknie, nie podobnie.

– Ruszamy! – wydał komendę i sam pogonił konia.

W zwiadzie towarzyszył mu tylko jeden jeździec, daleki kuzyn i przyjaciel z rodzinnych stron Hieronim Olszowski, niedawno awansowany na porucznika. Był to podwładny, ale raczej przyjaciel, a na dodatek mąż na schwał, sprawny i z ostrzem i karabinem. Sebastian tak cenił towarzysza, że nawet na

namalowanym w głowie obrazie umieścił go na drugim planie, celującego z pistoletu do wodza konfederatów.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Olszowski.

– Zachód, roгатki wolskie – bez wahania odparł Żubrowski. – Duża szansa, że to właśnie tam.

– Pułkownik nas znajdzie?

– Mam nadzieję, że nie – odparł kapitan i się uśmiechnął. – Ale zostawiłem mu instrukcje.

– Czy możemy ufać tym ze straży?

– No co ty, bracie! – zachnął się kapitan. – Wierzysz w te plotki, że marszałek konfederatom sprzyja? On tylko wojny nie chce, całkiem zresztą rozsądnie.

– Może, ale tych ludzi nie znamy... A kiedy zbiorą się Moskale...

– Nic mi nie mów – przerwał mu Żubrowski. – Dlatego ruszamy w pośpiechu, nim swoje psy zbierze von Saldern. Nic na nich nie poradzimy... póki króla nie ocalimy. Szkoda gadać po próżnicy, jazda!

Zegar na wieży zamkowej wskazywał kilka minut po drugiej. Dwaj jeźdźcy ruszyli Miodową, potem Długą ku zachodnim roгатkom. Ulice były tak puste, jak tylko być mogły; noc z niedzieli na poniedziałek, zwłaszcza tak mokra i zimna, nie obiecywała niczego innego. Jednak na wysokości Arsenалу minęli grupę żołnierzy w moskiewskich mundurach. Moskale zbierali się w bezładny oddział, zaspani, niemrawi, ale intensywnie musztrowani przez swego lejtnanta. Oto wieści o porwaniu wydostały się z beczki Pandory.

– Róg, dmij! – polecił Żubrowski. – Już za późno na podchody, przyjacielu. Niech biją wszystkie dzwony. Oto się wydało: zabrali nam króla!

Kapitan zawczasu posłał gońców do kościoła Świętej Anny i do Świętego Krzyża – i to wystarczyło. Kiedy obudziły się serca dzwonów w tych świątyniach, wszystkie kolejne podążyły za nimi. Nikt nie wiedział, ku czemu ta trwoga: od pożaru (choć łuny nie było widać), ataku wroga (w szturm wojsk Pułaskiego nie wierzył chyba nikt) czy śmierci kogoś ważnego. I ta ostatnia opcja wydała się mieszkańcom Warszawy najbardziej prawdopodobna.

Moskale zbili się w ciasną grupę, obserwując wyglądających z okien i wylegających na ulice mieszczan. Zapalały się kolejne latarnie uliczne i padały pytania.

– Ogień? Gdzie?

– Nic nie widać! Hej, dobry człowieku! – zawołał ktoś z ulicy. – Wyjdźże na dach i szukaj kura!

– Nie ma, nic nie widać! – odparł lokator poddasza na Długiej. – Nie pożar. Może kto umarł.

– Kto umarł?! – pytały głosy z ulicy.

– Wojsko na ulice wyszło! Widać bezkrólewie! – ocenił obserwator z poddasza.

– Jak to... król nieżywy? – jęknęła stara niewiasta wyglądająca z okna drugiego piętra. – Nasz Stanisław August zmarł? – Na ulicy zapadła tak idealna cisza, że wszyscy: gapie, Moskale i gwardziści usłyszeli westchnienia starowinki: – Dzięki ci, Boże!

## Wtedy, lasy pod Warszawą

Kiedy król zszedł z drzewa i otrzymał z powrotem lewy but, ruszyli. Prowadził w pewnym sensie Poniatowski, gdyż Kuźma zapytał porwanego, którędy do miasta. Monarcha wskazał kierunek, a Jan spojrzał na wystający zza chmur księżyc i skierował się w stronę zaproponowaną przez jeńca.

– Janie, chcesz iść do miasta?

– Nie, panie, ale ty chcesz, więc wiem, że podałeś mi błędny kierunek. – Po pełnym irytacji spojrzeniu Poniatowskiego dodał: – Nie szanowałbym cię, gdybyś nie spróbował.

Nie dostrzegł jednak uśmiešku na królewskich ustach. Maszerowali przez kilka pacierzy w ciszy, aż wreszcie konfederat zauważył coś w gałęziach drzew.

– Czy to mi się w oczach coś popsuło, czy dostrzegam łunę światła?

– Mówiłem ci, Janie, że do miasta idziemy. Chyba dostrzegasz blaski świateł z rogatek warszawskich.

– Nie, zbyt to liche i słabe...

Knieję, przez którą szli, właściwie zajmowały niemal zupełnie pozbawione już liści buki i dęby, przecinane kilkoma brzezunami. To powodowało, że nawet w jesiennej goliźnie ta resztkę liści i sufit gałęzi tworzyły dla oczu trudną do przeniknięcia barierę. Światło łatwo ginęło między drzewami, a nawet spore ognisko pozostawało niewidoczne z odległości trzech staj. W dodatku co jakiś czas wędrowcy przedzierali się przez gęstwę. Zapewne przez to Kuźma wszedł na polankę zupełnie nieprzygotowany na to, co zastanie.

Ognisko znajdowało się na środku prześwitu. Obok stały niewielki szalask oraz stos bagażu niesionego przez tajemniczych przybyszów. Przy ogniu czuwał tylko jeden, opatulony w płaszcz i wyglądający z daleka jak mrówczy kopiec. Wartownik natychmiast zauważył dwóch wędrowców.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – powitał ich głos spod płaszcza.

– Z Bogiem, dobry człowieku – powiedział ostrożnie Kuźma. – Czy możemy dosiąść do ognia?



– Proszę, tylko mojego towarzysza nie obudźcie – odparł wartownik.

Ta wzmianka ucieszyła króla i zaalarmowała Jana. Konfederat widział szalas, a mimo że schronienie nie było duże, mogło pomieścić nie dwóch, ale nawet i pięciu podróżnych. Pakunków też było sporo, a w dodatku Kuźma za nic nie mógł odgadnąć ich charakteru (to jest i podróżnych, i pakunków).

Siedli jednak przy ogniu, zadowoleni, że wreszcie mają szansę się ogrzać i podsuszyć ubrania. Wartownik usłużnie wbił koło ogniska dwa patyki, na których rozwiesili noszony przez króla płaszcz Kuźmy. Sam konfederat grzał ręce tak blisko ognia, że dym niemal kopcił jego skórę.

– Skąd przybywacie, dobrzy ludzie? – zagadnął wartownik.

– Z Warszawy idziemy, tylko żeśmy towarzyszy zgubili i do karczmy nas nie przyjęto – odparł Jan, właściwie nie skłamawszy. – Jestem Jan Kosiński, a to Stanisław Augustowski...

– A, to panowie szlachta... – mruknął wartownik, autentycznie zaskoczony.

Trudno mu się było dziwić, gdyż dwóch wędrowców przedstawiało sobą obraz nędzy i rozpacz. Król zgubił bandażę, jego peruka była ubrudzona mieszanką krwi i błota, a elegancki surdut także zyskał ziemistej barwy cętki. O butach nawet nie wato było wspominać. Gospodarz ogniska musiał zauważyć, że były one nie do pary, gdyż Jan powiesił je na wbitych w ziemię gałązkach przy ogniu. Konfederat nie wglądał lepiej. Prócz podrapanej twarzy nie nosił śladów innych kontuzji, ale długi marsz bez płaszcza uczynił go bladym jak duch. Co gorsza, przeżycia ostatnich godzin rozpały w jego oczach ogień strachu i podejrzliwości. Gdyby to Kuźma był na miejscu wartownika, zrobiłby wszystko, aby uwolnić się od towarzystwa takich obdartusów.

– A ty, dobry człowieku? – zapytał uprzejmie król.

– Zwą mnie Barnaba, panie. Wraz z wujem szliśmy do Warszawy, ale deszcz nas złapał przed stolicą. I tak jesteśmy tutaj... A dlaczego do karczmy was, panowie, nie wpuścili?

– Strachliwy agent – odparł Stanisław August. – Duchów się boi. A co was do stolicy sprowadza?

Barnaba rzucił okiem na leżące pod derką worki. Potem odpowiedział, ale na gust Jana zbyt późno i zbyt niepewnie.

– My bartnicy znad Liwca. Idziemy z naszymi miodami sprzedać te najlepsze w stolicy.

Kuźma nie widział żadnego wozu, za to oszacował ilość ładunków. Zrozumiał z tego, że szło nie dwóch, ale pięciu ludzi. W dodatku antałki z miodem dostrzegł może trzy, reszta ładunku przypominała długie wiązki chrustu, starannie owinięte natłuszczonymi derkami. Jan mógł pomyśleć o tylko jednym rodzaju towaru, który warto by było nosić w ten sposób. Dyskretnie szturchnął króla w bok.

– To wspaniale. Życzę wam udanych transakcji – odparł niewzruszony gestem towarzysza władca. – A wy pierwszy raz w stolicy?

– Bywało się raz czy dwa... – ostrożnie odparł Barnaba, po czym wbił spojrzenie w Jana. Po chwili obaj mężczyźni wiedzieli, że ten drugi też wie.

– A króla kiedyś widziałeś, dobry człowieku?

– Tylko z daleka. Na koronacji byłem...

– Aleś mu się przyjrzał?

– A dlaczego waść pyta?

Kuźma szturchnął jeńca raz jeszcze, ale było już za późno. Monarcha wstał, w trzech susach obiegł ognisko i stanął za Barnabą. Zawołał też wyjątkowo pewnym siebie głosem:

– Jam twój król, człecze. Jestem Stanisław August, z Bożej łaski władca Polski i Litwy. Urowadzono mnie ze stolicy. Ratuj mnie, Barnabo, a poznasz szczodrość królewskiej kiesy oraz twa dusza znajdzie zasługi u Boga. Budź wuja i skrępuj tego bandytę.

Barnaba odwrócił się ku ujawnionemu monarsze i wykrzywił twarz w grymasie takiego zdziwienia, że nawet Poniatowski poczuł, że jego plan nie osiągnął zakładanego skutku. Jednocześnie przerażenie Kuźmy było równie oczywiste, a król nie wiedział, czy z tego powodu cieszyć się czy martwić.

– Słyszysz? Jam król...

Wtedy Jan kopnął leżące na boku ogniska rozżarzone węgle wprost w twarz Barnaby. Zapewne w romansach przygodowych podobne czyny i były skuteczne, i wyglądały pięknie. Niestety, owa nocna odyseja nie była pisany pięknie romanssem. Kuźma nie miał na nodze buta (ten suszył się na patyku obok), tylko dziurawą skarpetę. Owszem, kopnął porcję węgla, a zaraz potem wrzasnął, czując

gorąco na stopie. Od razu też padł na bok, jedną ręką chwytając bliższy z butów, drugą sięgając ku pochwie sztyletu. Odtoczył się też ku stercie pakunków i schował się za nią, jakby czekając rychłych strzałów.

Barnaba uchylił się przed większością węgli. Jedna z drobinek żaru dosięgła jednak jego piersi i zajęła płomieniem skrawek koszuli. Przez następne dwie zdrowaśki wartownik baczył tylko, aby ugasić czerwony kwiat na swym ubraniu. Ignorował za to kwitnący wokół chaos.

Kilka innych węgli spadło na złożony z gałęzi szałas. Część zgasła, część tliła się na igłach, ale jeden cięższy (właściwie była to płonąca drzazga) wpadł do środka, wzbudzając krzyki nie jednego, ale czterech wujów.

– Bij, zabij! – krzyknął brodaty wielkolud wypadający z szałasu.

Stanisław August stał trzy kroki od ognia, równo w połowie dystansu między szałasem a stosem towarów. Ponieważ nie wiedział, w którą stronę zwrócić wzrok, patrzył w ogień i się uśmiechał nieco zażenowany, że natychmiast przestał się liczyć w tej dziwacznej rozgrywce. Dopiero szczęk odciąganych kurków zmusił go do spojrzenia na wujów. Stali już wszyscy w ruinach jodłowego szałasu. Dwóch trzymało pistolety, dwóch okute kije. Barnaba dopiero wstawał, a na jego piersi widniała czarna plama.

– Rzućcie broń! – krzyknął do nich Kuźma. – Albo ja dorzucę miodu do ognia.

Król dopiero w owej chwili pomyślał, że beczułki na miód równie dobrze mogły mieścić piwo, wódkę, a nawet wino. Ba! mogły mieścić i proch. A Jan stał niczym Atlas, podnosząc nad głowę jeden z antałów. Od mitologicznego tytana różnił go jednak wygląd, gdyż konfederat miał tylko jeden but, a przy tym chował ciało za stertą ładunku, przez co jednocześnie przypominał trochę wieżę Babel.

– Za złą osłoną się schowałeś... – zauważył jeden z brodaczy.

– A ile tego prochu macie? – zapytał Jan. – Chyba rozerwie nas wszystkich na strzępy. – A królowi rzucił rozkaz: – Najjaśniejszy panie, bierz nasze buty i płaszc. Idziemy.

– Zaraz, to to naprawdę jest król? – zapytał zaskoczony Barnaba.

– Tak, jestem Stanisław...

– Nie, to mój kuzyn – przerwał monarsze Jan. – Uciekamy z Warszawy, gdyż pomogłem mu czmychnąć z przytułku u dobrych braci.

Piątka handlarzy bronią spojrzęła po sobie niepewnie, oceniając wiarygodność sprzecznych historii. Niby pomysł, by król chodził po lesie w towarzystwie jednego przybocznego (nie mówiąc już o byciu porwanym), wydawał się mało wiarygodny, a jednak...

– A wy wiecie, kim my jesteśmy? – zapytał ostrożnie Barnaba.

– Nie, i nie chcemy wiedzieć! – odparł błyskawicznie Kuźma.

– Z waszego postępowania i sturbowania mojego porywacza, wnoszę, że handlujecie bronią, być może z moimi albo rosyjskimi oddziałami – powiedział dobitnie król. – Ale nie bójcie się, jakem Stanisław August, obiecuję, że obejmie was królewska łaska, a za dostarczenie mnie w ręce gwardii zostaniecie nagrodzeni.

– Widział nasze twarze – powiedział wielki brodacz, którego twarzy spod zarostu zapewne nie poznałaby rodzona matka.

– To szaleniec, który myśli, że jest królem – odparł najstarszy z wujów, również z brodą, acz siwą. – A ten drugi właśnie przyznał, że napadł na dom wariatów u braci czubków. Oni nie chcą przygód ze strażą marszałkowską bardziej niż my.

– Ryzyko, Waclawie, wielkie to ryzyko puszczać ich żywych... Bo jeśli to naprawdę król...

– Pomyśl, Tomaszu, jak to możliwe, że króla porwali, a nikt ich nie goni? Sam jeden napastnik z brąncem idzie, a nikt nie dmie na trwogę, żaden dzwon na wieży kościelnej nie bije...

Bóg z pewnością obserwował zmagania Kuźmy z własnym sumieniem, porwanym monarchą, lasem i duchami, ale trudno było orzec, czy mu sprzyja. Być może pogańscy bogowie podczas wojny trojańskiej obierali różne strony i walczyli przeciwko sobie. Ale co miał zrobić Pan Wszechświata, Jeden, Wszechwiedzący i Wszechmogący? Musiał więc od czasu do czasu zmienić stronę i wysłuchać modlitw stronnictwa królewskiego. Niestety, sam monarcha, tak samo jak większość jego zauszników, z modlitwy korzystał tak oszczędnie, jak rozpustnie z kasy dworskiej. Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że dopiero prośba błagalna pobożnego Hieronima Olszowskiego została wysłuchana. Akurat gdy stary bandyta wygłaszał swój sąd, do uszu zgromadzonych na polanie dotarły odgłosy miejskich dzwonów.

Przemytnicy spojrzeli na Waclawa, a gdy ten kiwnął głową, ruszyli ku Stanisławowi Augustowi. Ten nie dał się zahipnotyzować uderzającym żmijom. Jednym susem (mimo braku płaszcza i obuwia) odskoczył od ogniska w kierunku stosu broni, a tym samym kryjówki Jana. Ten czekał na taką okazję: rzucił beczułkę wprost w ogień.

Bandyci przypadli do ziemi, czekając na nieuchronną eksplozję. Nieświadomy grozy sytuacji monarcha już na kolanach pełzł ku porywaczowi, a przy tym wypróbowanemu obrońcy. Nie widział też rezultatu zaskakującego manewru Kuźmy. A był to manewr zaiste zaskakujący, gdyż zdumiał zarówno bandytów, jak i samego sprawcę. Oto antałek odbił się od stosu ogniska i wpadł w rozsypujący się żar. Z ognia buchnęła chmura dymu i dobył się zapach korzennego miodu. A przemytnicy, zdziwieni, że wciąż żyją, podnieśli spojrzenia na rozbitą w ognisku beczułkę alkoholu.

– *Sacré bleu!* – zaklął (zainspirowany obecnością koronowanej głowy) Jan. – Panie, w nogi!

Ale łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Król był bez butów, Kuźma z jednym kozakiem, a gotujący się do pościgu bandyci mogli ich dopaść w kilku krokach. Poniatowski nie biegł ze zmęczenia i obrzydzenia mokrym mchem, a Jan z powodu racjonalnej decyzji. Mobilność nie należała do przewag zaatakowanych. Było nią co innego.

Kuźma naparł całym ciałem na stos zapakowanych muszkietów, wywracając go do ognia. Pomiedzy wiązkami broni nie znalazła się (na szczęście dla wszystkich) prawdziwa beczka prochu, ale kilka rogów na proch było przywiązanych do strzelb. Jeden z nich błyskawicznie podchwycił czerwony język ognia.

– Kurwa! – jęknął jeszcze Waclaw, nim powietrzem na polanie wstrząsnął pierwszy wybuch.

Drobina prochu w pojemniku była zbyt mała, aby zranić kogokolwiek, ale wystarczająca, aby rozesać wokół promień ognistego piekła. Kuźma i król zostali poczęstowani płonącymi strzępami worków, przemytnicy wyciągnęli zaś na tej loterii los znacznie gorszy. Fala wybuchu posłała w ich stronę resztki ogniska, ułożone obok szczapy, kilka karabinów oraz cztery inne rogi z prochem. Kolejne wybuchy zwały się w jeden, a ten przeszedł płynnie w potępieńcze wycie dwóch najbardziej pechowych wujów.

Po kilku zdrowaśkach Poniatowski zdał sobie sprawę, że czołga się za Janem, a właściwie za ciągniętym przez konfederata worem. Dotarli do pnia powalonego drzewa, a Kuźma wepchnął więźnia w wykrot.

– Mów! Zajmij ich! – syknął.

– Panowie, pertraktujmy.

– Chuje, zabiliście Waclawa i Macieja – zawołał Barnaba.

– Maciej też nie żyje? – zapytał jeden z pozostałych bandytów. Powietrzem wstrząsnął wybuch wystrzału.

– Tak – potwierdził Barnaba. – A tych dwóch żywcem upieczemy za te straty!

– Chwila, panowie już wiedzą, że naprawdę jestem królem? – upewnił się Stanisław August. – Czy wzgardzicie niewiarygodnie wysoką nagrodą za żywego monarchę oraz równie pokaźną sumą za dostarczenie żywego porywacza?

Przemytnicy nie mieli sił (albo intelektualnych zdolności), aby zagłębiać się w relację uciekającego im duetu. Odpowiedzieli na propozycję władcy kolejnym stekiem przekleństw.

– Wiecie, że mnie szukają? Lepiej uciekajcie teraz, póki macie szanse ujść mojej gwardii...

– Zabijemy was szybko – oświadczył Anzelm. – I bez trudu. Nie macie ubrań, a my mamy przewagę.

Ciszę polany rozdarł kolejny strzał, a elokwentny przemytnik padł z czerwoną plamą na piersi na ziemię. Jednak jego dwaj towarzysze dostrzegli bez trudu błysk z lufy karabinu. Dwie kule pomknęły ku zwalonemu drzewu, skąd jeszcze przed chwilą wyglądała głowa Kuźmy. Ale konfederat schował się już za drzewo. Na chwilę. Kilka uderzeń serca później ukazał się z drugim nabitym karabinem i wypalił w biegnącego ku niemu bandytę. Chybił, choć nieznacznie.

Dwóch wściekłych rozbójników biegło na Jana z podniesionymi nadziejkami. Kuźma wskoczył na pień drzewa i zręcznie zablokował pierwszy cios kolbą karabinu. Podskoczył, aby ujść drugiemu, ale lądując, stracił równowagę. Poślizgnął się na mokrej korze i runął na pierwszego napastnika. Obaj byli zaskoczeni, ale Jan miał przewagę wysokości. Przygniótł przemytnika, po czym obaj padli na drugą stronę drzewa. Pozostały bandyta nie sięgnął już wroga kolejnym ciosem. Postanowił więc obiec pień.

Poniatowski leżał zmartwiały w wykrocie, ignorując wydarzenia wokół. Zupełnym przypadkiem wyciągnął rękę, zawadzając o nogę rozbójnika. Ten zachwiał się i upadł twarzą w morką darni.

– Psia jucho! – zawył przemytnik.

Odciągnięcie uwagi jednego przeciwnika, a przez to osłabienie wrażeń sił o połowę zapewne uratowało Kuźmę. Kiedy król zaczepił swojego wroga, Jan siłował się z brodatym wujem. Po kilku uderzeniach serca na ziemię padł oręż – nadziak obok karabinu – a dwaj mężczyźni dusili się, leżąc na mokrej darni. Ich głuche stęknienia nie docierały ani do króla, ani do drugiego z przemytników. Ich pojedynek przypominał nie walkę wojów, ale kolizję dwóch alpejskich lodowców, które przepychały się w ciszy. Gdyby nie przypadkowy manewr monarchy, drugi z wrogów po prostu dźgnąłby konfederata w plecy. Jednak zmęczony olbrzym i brodaty przemytnik trwali w śmiertelnym uścisku jeszcze długą chwilę.

A Poniatowski widział wznoszący się ku chmurnemu niebu nadziak. Nikt nie nauczył go być bohaterem. Zastygł w przerażeniu, nawet nie osłonił twarzy. W wykrzywionym obliczu bandyty wdział bowiem rysy świętej pamięci Jerzego Butzaua.

Cios obuszka rozłupałby mu głowę, gdyby nie kolejna boska interwencja. Znów modlitwy porucznika Olszowskiego przyniosły wybawienie, gdyż przemytnik zawadził ostrzem broni o wyrwany z ziemi korzeń. Myśląc, że atak zablokował konfederata, odskoczył w bok, puścił obuszek i sięgnął do pasa po nóż. Obuszek spadł pod nogi króla.

Bandyta wyciągnął przed siebie sztylet i rozglądał się wokoło. Niestety, w poszukiwaniu nieistniejącego wroga zignorował ten najważniejszy kierunek. Oto Poniatowski podniósł nadziak, nie chcąc nawet atakować. Ba! jakaś część jego umysłu postanowiła, że odda napastnikowi broń. Jednak reszta przymuszała go do działania. Monarcha wrzasnął i wykonał dziki zamach.

Bandyta uniknąłby ciosu, gdyby zdążył się postarać. Odwracając się, jednak znów stracił równowagę, i uderzenie, które powinno było wbić się w korzeń wykrotu... cóż, ostatecznie wbiło się w korzeń, ale wcześniej przygwoździło doń dłoń rozbójnika. Ranny i zadający ranę krzyknęli równie głośno. Król puścił obuszek i ruszył na kolanach do dalszej ucieczki.

Kiedy doczołgał się do Kuźmy, ten nadal był spleciony w morderczym uścisku z ostatnim ze sprawnych wrogów. Dwaj nieprzyjaciele uderzali nogami w ziemię, rękami dławili swoje szyje, a ich ciała kiwały się jak statek na falach.

Król nie chciał nikogo zabijać (większość królów nie chce; większości wychodzi tak przy okazji). Postanowił tylko wyciągnąć z za pazuchy porywacza sztylet i podać mu go do walki. Przemysłnik jednak zupełnie odmiennie zinterpretował ten gest. Widząc zbliżającą się rękę monarchy, puścił Jana, odtoczył się na bok i z trudem wstał. Odetchnął ciężko, wciąż cofając się w noc. Kuźma także powoli dochodził do siebie. Król nie wiedział, co w tej sytuacji zrobić, więc nieco sztywnym krokiem wrócił do ogniska. Wrócił zaraz z drugim butem konfederata.

Zastał już inną scenę. Oto Kuźma dotarł do bandyty przygwożdżonego przez króla. Kopnął go (obutą nogą) w głowę, po czym wyrwał obuszek z ręki rannego. Potem powoli dogonił ostatniego wroga. Obaj poruszali się w tempie sennej ropuchy, ale nieco żwawszy Kuźma zdobywał przewagę. W końcu dotarł do brodacza i zakończył pościg szybkim ciosem w pierś wroga. Poniatowski cały czas szedł za porywaczem, trzymając jego but.

– Czy to było konieczne? – zapytał.

– Nie. Powinienem był uciekać sam – odparł konfederat.

Kilka pacierzy później siedzieli przy dogorywającym ognisku. Zebrali resztę dogasających węgli i wrzucili je w palenisko. Dorzucili drewna, wyciągnęli z reszty bagażu ostatnią beczułkę prawdziwego miodu. Siedzieli na polanie w towarzystwie czterech martwych i jednego nieprzytomnego (i wykrwawiającego się na śmierć) bandyty. Pili trunek bez słowa i myśleli o czymkolwiek innym niż wydarzenia minionej godziny.

– Powinienem cię zabić, panie – powiedział w końcu Jan. – Na pewno ktoś słyszał wybuchy i strzały. A skoro moi towarzysze jeszcze nas nie znaleźli, zostali schwytani lub stchórzyli.

– Pewnie masz rację – przytaknął władca. – Powinieneś mnie zabić. Ale teraz już tego nie zrobisz.

Zamilkł na dłuższą chwilę, patrząc na leżące na skraju widoczności dwa ciała. Wysilał wszelkie moce umysłowe, aby wpisać je w kontekst jakiejś historii, nadać sens tym czterem i pół śmieciom. Nie znalazł jednak nic logicznego w obserwowanych zdarzeniach. *Ale to ja jestem panem mojego życia. Ja podejmuję*



*decyzje i ja nadaję im sens. Butzau mógł żyć jako żałosny rogacz, pogardzany przez żonę i towarzyszy. A umarł jak bohater i zostawił mi rozkaz silniejszy niż śmierć, abym mu wynagrodził wszelkie krzywdy. A ja chyba właśnie zabiłem człowieka, albo i dwóch. Nie wiem po co. Jeszcze.*

Wstał i podszedł do gorzej zachowanych zwłok. Chciał je w efektownym geście przyciągnąć do ognia, ale po dwóch krokach zrezygnował; były zbyt ciężkie. Dlatego tylko zerknął na Kuźmę i chrząknął znacząco. Gdy konfederat spojrział w tę stronę, monarcha powiedział dobitnie:

– Janie, to ty. – A potem wskazał w ciemność (miał nadzieję, że kierunek, gdzie leżały pozostałe ciała): – A to twoi towarzysze. Rano powiem gwardii, że pokłóciliście się o nagrodę za moją głowę i zaczęliście walkę. Ja zabiłem ostatniego z was. Nim ktoś zrozumie, że to bzdura, będziesz już w Toruniu, albo i w Gdańsku. Uchodź stąd. Jest wiele miejsc na świecie, które potrzebują twojej odwagi.

– Panie... – zaczął Kuźma, a Poniatowski zastanawiał się, czy ten prosty żołnierz zdobędzie się na godne podziękowanie. – Załóż buty.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Warto odnieść się teraz do fałszywych, ale (jak mniemam) zupełnie niewinnie i bez złej woli powtarzanych choćby przez pana Woltera, opowieści o krwiożerczości konfederatów barskich. Z góry odrzucam, że nasz znamienity Autor zniżyłby się do roboty tak nędznej i haniebnej jak pisanie kalumnii o Polakach na zlecenie rządu rosyjskiego i imperatorowej Katarzyny. Wierzę, że wzmianki o święconych na Jasnej Górze sztyletach znalazły się u pana Woltera przypadkiem.

Wedle tych plotek obskuranczy barzanie zamierzali uśmiercić króla Stanisława, a wierząc w słuszność sprawy, poprosili ojców paulinów spod Częstochowy o poświęcenie ich broni pod świętym dla całego narodu obrazem Czarnej Madonny z Jasnej Góry. Nie wykluczam, że jeden czy drugi konfederat mógłby poprosić o taką przysługę, ale nie spotkałem żadnej przesłanki, aby wiązać to z pomysłem świętego tyranobójstwa.

Podczas procesu porywaczy sam Jan Kuźma przyznał, że posiadał święcony sztylet, ale stwierdził, że to do ochrony przed demonami. Pytany, co miał na myśli, usilnie unikał odpowiedzi.

## VI

### Teraz, Petersburg

Bankierzy zachowywali się jak stado wygłodniałych wron. Zbili się w kupę zasiedlającą główny hol, a potem czekali na sygnały z góry. Kilku co odważniejszych wdarło się na drugie piętro, ale pułkownik polecił ich przegonić. Niestety, gdy zabrakło pułkownika (został wezwany na pilne konsultacje do hrabiego Astolina), trzymający dowództwo kapitan Kaparow nie potrafił opędzić się od mocy petersburskiego kapitału.

Tłum ubranych w ciemne lub szare szaty (za to obwieszonych biżuterią) finansistów napierał powoli a zdecydowanie. Najpierw przepchnął czterech gwardzistów do szerokich schodów. Potem ruszył w górę, zachowując zupełną naturalność owego nacisku, przypominał alpejski lodowiec: oto grupka dwudziestu kilku mężczyzn w różnym wieku robiła wszystko, aby wyglądać na nieruchomą. Ale od czasu do czasu ktoś robił krok. Ot, przepuszczał gońca, tragarza z pościelą lub lekami, a jednocześnie zawsze następował w zwolnione miejsce. Po godzinie takiego ślimaczego chodu pierwszy rząd bankierów dotarł do połowy schodów na drugie piętro.

Kiedy król zasnął, Artem został posłany do kuchni na dole, aby zjadł coś i napił się ciepłej herbaty. Kiedy schodził, widział najdalszą linię finansistów na ósmym stopniu. Gdy wracał – na trzynastym. Jednocześnie słuchał dość rozpaczliwych starań pozostawionego na warcie sierżanta, aby opanować sytuację.

Artem był zły, zmęczony i przerażony, a widok drepających w miejscu bankowych agentów go mierzył. W normalnych warunkach nigdy nie pozwoliłby sobie na choćby cień impertynencji wobec może nie potężnych, ale potężniejszych (i bajecznie bogatych) gości. Ale nie był to dzień na szukanie normy; król umierał, a Artem czuł się wtajemniczony w owo misterium. Ba! odpowiedzialny za godny przebieg ostatniej drogi władcy.

– Ciszej, ciszej, wrony! – krzyknął, przepychając się przez tłumek.

Kiedy dotarł na czternasty stopień, nagle się odwrócił i z całej siły popchnął najbliższego petenta, dość młodego człowieka w brązowym fraku. Ten zachwiał się, sam nie upadł, ale do podtrzymania równowagi rozłożył ręce i popchnął dwóch stojących schodek niżej towarzyszy. Ci nie mieli już tyle szczęścia. Padli obaj, powodując istną lawinę ludzką. O ile jeszcze te najwyższe szeregi petentów wytrzymały, to wyłom z niższych przypominał oddział piechoty trafiony siekańcem. Dwóch pierwszych nieszczęśliwców spadło schodek niżej. Popchnęło czterech następnych, a ci czterech kolejnych, zajmujących dziesiąty i dziewiąty stopień. Aby nie zostać zgniecionymi ani nie stracić równowagi, ci najniżej sami się cofnęli. Przez to stojący na trzynastym stopniu pierwszy szereg poczuł pustkę i nacisk gwardzistów z góry. Jak na prawdziwym polu bitwy – odpuścili. Niepewnie zaczęli schodzić, spychając też właśnie podnoszących się towarzyszy.

Sierżant nie podziękował Artemowi, nawet nie spojrzął na służącego, ale ten poczuł falę wdzięczności płynącą od gwardzisty. Wystarczyło przełamać jakiś stupor, czar niemocy, a dzielni obrońcy carskiej rodziny (z których notabene dwóch wstawiło się na polach bitew, w tym w oblężeniu Izmaïłu i podczas kampanii polskiej w dziewięćdziesiątym drugim) odzyskali inicjatywę taktyczną. Ruszyli w dół niczym prowadzeni przez samego Suworowa, zdecydowanie odpychając kolbami żywy mur petentów. Artem stał na górze schodów, patrząc na te scenę jak generał w bitwie.

Jednak z każdym schodem w dół opór tężał. Nie w sposób fizyczny, gdyż bankierzy poczuli, że z nacierającym wojskiem nie ma żartów, ale podniosły się pierwsze lamente. Najpierw zdawkowe, skierowane do nie wiadomo kogo, potem jednak coraz głośniejsze, bardziej natarczywe i konkretne.

– My przyszlizli prawa nasze odzyskać! – deklarował jeden z przewróconych wysłanników. – Ja mam papiery na dwanaście tysięcy polskich czerwońców!

– A ja na dwadzieścia! – dodał dumny starzec z dołu, podnoszący zwój papierów niczym Mojżesz laskę nad Morzem Czerwonym.

Ale na ten gest gwardia się nie rozstąpiła, ba, nawet pozostali ajenci okazali się niewzruszeni. Zaraz jednak sami zaczęli wyciągać zza pazuch swoje weksle i podnosić je w podobnym geście. Na krótką chwilę Artem znów poczuł atmosferę bitewną, gdyż podniesione papiery wyglądały jak mur włóczni w dawnej falandze. Niestety, oddział blokujący schody był mniej liczny niż trzystu w Termopilach, choć równie zdeterminowany.

– Mamy prawo!

– Przysłała mnie Holenderska Kompania...

– Król mi obiecał zwrot przed świętami...

– Cisza! – krzyknął Artem, dziwiąc się własnemu zdecydowaniu. – Cisza! Król potrzebuje spokoju.

– Ja potrzebuję pieniędzy! – odparł jeden z petentów. – Moich pieniędzy.

Sierżant gwardii odwrócił się. Być może był weteranem wojny polskiej i tureckiej, ale nie znaczyło to, że odwagę z pól bitewnych prznosił na eleganckie salony i reprezentacyjne schody. Spojrzał w oczy Artema i tych dwóch, bardzo różnych, ludzi poznało się na swoim braterstwie.

Obaj z gminu, walczący o wydobycie rodzin z nędzy. Ten młodszy jeszcze się mocował, ten starszy wiedział już, że osiągnął, co mógł. Nie znali się na sprawach wielkiego świata, zwłaszcza na papierach bankowych, prawie dłużnym i tej wielkiej niewiadomej, kiedy nawet szlachetne głowy muszą poddać się władzy księgowych. Oto król Stanisław nie poddawał im się bardzo długo, ale gdy tylko mocarza pożyczek zmogła choroba, zniknęła ochronna aura, a wrony przyleciały odzyskać swoje.

O długach byłego władcy Rzeczypospolitej legendy krążyły od Petersburga po Londyn. Wyceniano je różnie, od trzydziestu po nawet sto milionów złotych polskich, ale ponieważ Artem nie miał pojęcia, ile złoty polski jest wart, a nawet nie mógłby wyobrazić sobie miliona monet, było to dla niego czysto abstrakcyjny szacunek. Kiedyś król mówił o czterdziestu milionach, ale Artem wiedział, że to nie jest całość polskich zobowiązań, chyba tylko długi osobiście przypisane władcy. Słyszał też plotki, wedle których imperatorowa Katarzyna wstrzymywała kolejne rozbiory Polski i Litwy, gdyż wyczerpanej wojnami carskiej kiesy nie było stać na skonsumowanie tak zadłużonej ofiary.

Jeśli wierzyć plotkom powtarzanym w pałacu Marmurowym, od dawna Rzeczpospolita była wielkim workiem bez dna, w który każdy jej wróg musiał wrzucić górę pieniędzy. Stary Sasza, kiedyś pokojowiec księcia Potiomkina, słyszał, że za czasów królów saskich w Polsce rząd Pruski umyślił sobie zbić interes stulecia, fałszując polski bilon. Dzięki temu nie dość, że osłabiał handel gdański Wisłą, to jeszcze kiesa królewska zyskiwała sporo na płaceniu za zboże trefną monetą. I tak to działało: chłopci pracowali na polskich panów, a polscy panowie

pracowali na pruskich kupców, aż w pewnym momencie wszystko się skończyło. Ktoś mądry na dworze króla Prus podliczył sobie, że królestwo traci na braku handlu z Rzeczpospolitą, a upadek Gdańska jest bardzo szkodliwy dla planów króla Fryderyka, który czekał, aż port dostanie się mu w udziale po upadku sąsiada. Morałem tej historii miała być prosta mądrość: z pieniędzmi nigdy nie wiesz, jak będzie, tylko gdy kasę trzyma Niemiec, to wiesz – jemu będzie zysk, tobie bieda.

Patrząc na falangę dłużnych papierów, a potem na twarz sierżanta, Artem starał się przeniknąć tajemnicę działania świata. Usiłował wyobrazić sobie, ile to jest milion, ile warty jest złoty, i czy po pruskich manipulacjach wciąż zrobiony jest ze złota. I wtedy zebrała w nim złość na powalonego niemocą monarchę. Jakiś głos szepnął mu w duszy: „On ojczyznę na drobne rozmienił!”.

Głos ten go bardzo zdziwił. Przed owym lutowym dniem nigdy nie myślał o sobie jak o Lachu, mimo że ponoć matka po kądzieli z jakiejś zagrodowej mazowieckiej szlachty pochodziła. W dzieciństwie nauczyła jako tako mowę polską rozumieć, czytała mu wiersze śmieszne, straszne i piękne, a także wspominała mazowieckie wierzby i złote blaski przez słońce w Wiśle odbijane. Jednak były to opowieści z dalekiej krainy, w której nigdy nie był, może prócz krótkiego wyjazdu z ojcem do Warszawy. A batko jego Rusin był z Rusi, carowi, a potem carocy wierny był, do cerkwi chodził, choć go matka przez czas pewien próbowała na rzymską wiarę przekabacić. Od śmierci matki do owego dnia o połowie płynącej mu w żyłach polskości przypominali mu tylko wrogowie i złośliwcy, wyśmiewający półszlachetne pochodzenie z bojarstwa umierającego kraju. Gdy przyszła wiadomość, że Rzeczpospolitej już nie ma (matka nie dożyła owego smutnego dnia), to Artem nie uronił ani jednej łzy... No, może i jedną czy dwie uronił, ale za matką właśnie, a nie za krajem z bajek rodzicielki.

Dopiero jednak, gdy tego ranka przypomniano mu lasze pochodzenie, kazano przypomnieć sobie język, czy nawet stać się na powrót Polakiem w czasie, gdy było to już niemożliwe, zaczął myśleć opowieściami matki i w przerwach pomiędzy paniką a ciężką robotą pielęgniarza zadawać sobie pytanie, co właściwie stracił.

A gdy jego umysł został pociągnięty ku sprawom króla, gdy musiał pomyśleć o długach, od których Poniatowski uciekł do Petersburga za cenę korony, poczuł złość. Nie na panów Polaków, zwłaszcza tych, którzy sami się na upadku ojczyzny

obłowili, ale na wielką niesprawiedliwość świata, że oto można ująć z ziemskiego padole bez kary, nawet prostej konsekwencji swych czynów.

Król jadł, pił (umiarkowanie), grał i polował, ale przede wszystkim stawiał piękne pałace i sadił ogrody za pieniądze, które pożyczył, a oddać ich nie musiał. I Artem słyszał od matki o pięknie pałacu w warszawskim ogrodzie zwanym Łazienkami, o cudnych obrazach malowanych dla monarchy oraz pięknych agonach poetów i pisarzy na dworze króla Ciołka, ale nie widział z nich pożytku dla nikogo prócz samego monarchy i grupy jego pochlebców. Jakaś część jego duszy przeczuwała, że bezsilny władca mścił się w ten sposób na zaborcach, zasiewał ziarno, które kiedyś wykiełkuje na złość cesarzom i królom, ale przyszłości nie znał, a opowieści o przeszłości napawały go odrazą.

Artem pożałował, że obronił byłego króla przed falą wierzycieli. Poczuł, że tęskni za widokiem zmorzonego władcy otoczonego chmarą intruzów. Byłaby to ciekawa prefiguracja (to słowo nie wybrzmiało w umyśle sługi, ale jego sens był tam obecny) spodziewanych mąk piekielnych, których dusza władcy miała zaznać po śmierci.

*Nie, nie! To nie po chrześcijańsku życzyć bliźnim zatracenia!* – pomyślał Artem, ale wizja pomieszanego tłumu bankierów i demonów, szarpiących ciało Stanisława Augusta nie chciała opuścić jego głowy. *Król to jak kapitan statku, co przez historię płynie na swoim kraju. Już tak starożytni Grecy mówili, w tym ten... Arystofanes. Albo Arystoteles. I kapitan statku nie ucieka przed burzą, nie opuszcza załogi w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Powinien polec na stanowisku, utonąć ze swoim krajem, a nie spędzać starość na obcym dworze, w dodatku u ciemieżyciela ojczyzny!*

Wydało mu się, że może naraz kochać dobrego cara Pawła, który nie dość, że chce dobrze dla ludu ruskiego, to jeszcze wykazuje wielkoduszność wobec pokonanego monarchy, jednocześnie współczuć Polakom niegodnego króla. *A jeszcze nie słyszałem drugiej strony. Nie wiem, co tkwi w sercu i głowie króla. Może żałuje? Może to wyrzuty sumienia go wpędziły w chorobę? Słaba to pokuta, ale może to świadectwo, że nie jest zupełnie zepsuty. A może nawet...* Przypomniał sobie o majaczeniach Poniatowskiego.

- Co robimy? – zapytał sierżant, przerywając chwilę namysłu.
- Kiedy wróci pułkownik?
- Nie wiem. Chyba nie dotrwamy.

– Ja mam weksle samego księcia Potiomkina!

– Ale on nie żyje!

– Papiery są nadal ważne!

Na szczęście bankierzy zaczęli się spierać także między sobą, dając czas gwardii i Artemowi na oddech. Pokojowiec myślał. Błyskawicznie przyszedł mu do głowy pomysł dość oryginalny, acz trudny w realizacji. Potrzebował do tego władcy sierżanta.

– Sierżancie, musztruj ich! – szepnął sługa.

Podoficer uśmiechnął się, natychmiast pojawiając zamiar młodzika. Podniósł karabin wyżej i machnął nim, skupiając na sobie uwagę intruzów. Potem zrobił głęboki wdech, gotowy wydrzeć się jak na rekrutów na pierwszych ćwiczeniach, ale powstrzymał się, bacząc, by nie urazić uszu króla. Poleciał więc głosem cichym, ale stanowczym:

– Wszyscy na dół! Żwawo!

Zdziwieni petenci spojrzeli po sobie, ale władczy karabin gwardzisty przekonał ich. Sierżant skinął na Artema i sam ruszył na pierwsze piętro. Tam rozstawił bankierów pod ścianą, co kilku z nich powitało z wyrazem przerażenia na twarzy. Ci starsi byli spokojniejsi: przecież nie rozstrzelano by kwiatu stołecznej finansjery w pięknym holu pałacu Marmurowego, niszcząc dywany, arras i szyby. W dodatku palba gwardii na pewno przeszkodziłaby królowi i jego lekarzom.

– Teraz... – zaczął sierżant, ale zdał sobie sprawę, że nie wie, jak skończyć. Szepnął do Artema: – Co teraz? Ile oni chcą pieniędzy?

– Dobrze, kto ma roszczenia na sto tysięcy lub więcej? – zapytał Artem, mając nadzieję, że nie wygłupił się tym szacunkiem. Niestety, nikt się nie ruszył, za to w holu zapadła taka cisza jak na syberyjskim pustkowiu. Wszystkie oczy skupiły się na Artemie, ale ten zdołał się przemóc i pytał dalej: – Kto ma na dwadzieścia tysięcy lub więcej?

Przed szereg wystąpił jeden z finansistów, trzymając w drżącej dłoni kilka weksli. Pokojowiec rozpoznał w nim Mojżesza, który jako jeden z pierwszych zaczął zgłaszać roszczenia.

– Dobrze, proszę stanąć tutaj, pod oknem. Teraz dziesięć do dwudziestu tysięcy!



Wystąpiło już trzech agentów i zostali skierowani do drugiego rzędu, tuż za Mojżeszem. Między pięć a dziesięć tysięcy zgłosiło się sześciu, a reszta okazała się drobnicą żądającą ledwie kilka tysięcy. Potem Artem odkrył, że za te roszczenia mógłby kupić co najmniej pięćdziesiąt cetnarów chleba.

Ostatecznie uzyskali cztery szeregi, zawierające jednego, potem trzech, sześciu i jedenastu natrętów. Niestety, w owym momencie skończyła się dwóm porządkującym inwencja. Chcieli wypisać im kupony z numerami audiencji, ale sierżant powiedział, że od pisania odwykł, a zresztą ludzie, którzy przyszli wymienić papier na pieniądze, nie zadowolą się kolejnym papierem. Poza tym z każdą chwilą aura ich władzy blakła, a wizja buntu stawała się coraz wyraźniejsza.

– Może jakoś to wszystko sprawdzimy? Ufasz im? – zapytał sierżant. A na przeczący gest służącego dodał: – No to przeczytaj. Młody jesteś, lepsze oczy masz...

Artem podszedł do starego bankiera w pierwszym rzędzie i władczo wskazał na weksle. Finansista odpowiedział oburzonym spojrzeniem i przycisnął papiery do piersi. Ręka sługi zawisła w powietrzu, a Artem był wdzięczny za każdy pacierz odwleczenia kontroli. Nie miał pojęcia, jak wygląda prawdziwy weksel, a petent mógłby mu wcisnąć dowolną notatkę w obcym języku i zostawić z niemożliwym do odpowiedzi pytaniem.

– Papiery poproszę! – Artem udał władczy głos.

– Nie, tylko do oczu najjaśniejszego pana! – odparł hardo bankier.

– Dobrze, to na koniec kolejki. Następny!

Gdy sługa wskazał bankiera w drugim rzędzie, Mojżesz wybuchł oburzeniem. Artem nawet nie rozróżniał słów, czuł jednak, że nie musi, aby wiedzieć, jak to się skończy. Trzej bankierzy z drugiego rzędu dołączyli do jazgotu, machając swoimi weksłami, a ci z trzeciego naradzali się, jak na naruszenie zasad zareagować.

Artem odwrócił się ku sierżantowi. Zobaczył, że podoficer podnosi karabin, ale natychmiast go opuszcza, z wyrazem zdumienia na twarzy. Wtedy też do uszu pokojowca dotarł zdecydowany głos:

– Co to za kmioty zakłócają spokój memu ojcu?

## Wtedy, Warszawa

Sytuacja zmieniała się jak w kalejdoskopie rzuconym na pokład walczącego z burzą okrętu. Żubrowski jechał między coraz lichszymi domami na Długiej, potem na Lesznie i obserwował budzące się do życia miasto. Ludzie jak to ludzie – byli ciekawi. Wychodzili z domów na ulice, dzielili się plotkami. Nietrudno było jechać ulicami, gdyż gapiów nie wyległo tak wielu. Ale jak na niedzielną noc, jesienny chłód i strach przed skorym do strzelania wojskiem moskiewskim były to istne tłumy. Co niezwykle, wśród warszawiaków panowała atmosfera radosnego podniecenia i ciekawości. Ktoś tam rzucał na wiatr pomysły, że Moskale zaczną masakrować mieszkańców, ale inni odpowiadali, że obcych wojsk tak wiele nie ma, a te królewskie żadnej masakry nie zaczną, bo króla porwano. Skąd wzięło się przypuszczenie, że w konflikcie swój–obcy gwardia miała stanąć po stronie Rosjan? Tego kapitan dociekać nie chciał.

Moskale, co z początku bardzo zdziwiło kapitana, wcale nie narzucali swojej pomocy, a tym bardziej nie przejęli inicjatywy w pościgu. Mimo alarmu, a pewnie dzięki niemu, zbijali się w bezładne kupy, zbierane przez gnających po mieście oficerów. Sebastian zrozumiał, że oddziały podległe carycy bały się protektorki Rzeczypospolitej. Łatwo było wziąć poruszenie mieszkańców za zapowiedź jakiegoś wystąpienia zbrojnego, którego celem mieli być niechcianymi sojusznicy. O tym, że Warszawa Rosjan nie lubiła, Żubrowski wiedział. Był jednak bardzo ostrożny w doszukiwaniu się w wyrazach niechęci, czy nawet nienawiści, poparcia dla konfederacji czy jakiegokolwiek zorganizowanego działania.

Z jednej strony pomoc oddziałów rosyjskich byłaby mu bardzo na rękę, jako że mógłby rozciągnąć swoją sieć szerzej. Wiedział jednak, że niemal na pewno władzę nad pogonią przejęliby sojusznicy i na tym sława Sebastiana jako zbawcy króla by się skończyła. Dlatego cieszył się, widząc Moskali ściąganych do koszar. Nie dość, że wizja przejęcia dowodzenia przez obcych się oddalała, to jeszcze niemal na pewno był to problem angażujący pułkownika Coccejiego. Żubrowski już niemal zapomniał, że działa jako zastępca dowódcy gwardii i powrót

przełożonego mógłby mu popsuć plany. Ale cóż, póki fortuna mu sprzyjała, mógł realizować własny plan ocalenia króla i zdobycia chwały.

– Co z tymi Moskalami? – zapytał jadący wiernie przy jego boku Olszowski.

– Zostaw, nie przejmuj się, ignoruj. Niech się zamkną w koszarach, myśląc, że im warszawiacy szykują krwawą jutrznię. Jak dla mnie mogą już nigdy nie wyściubiać nosa na miasto.

Wtedy powietrzem nocy wstrząsnął strzał. Żubrowski odruchowo klepnął konia w bok i skierował się ku bramie (lub temu, co na Lesznie za odpowiednik bramy uchodziło). Tam zeskoczył z wierzchowca i ukrył się w wąskim przejściu, wpuszczając tylko Olszowskiego. Obaj mężczyźni wyciągnęli zgodnie pistolety, a porucznik zaczął lustrować okolicę.

– Nic to nie da – szepnął Żubrowski. – Nie zobaczysz, tylko usłyszysz. Cicho, a dowiemy się, skąd walą!

– Przy tym biciu dzwonów, to nie usłyszę nawet trąby anielskiej. Ale patrz! – Hieronim wskazał ręką niebo. – Widać!

Było widać, ale kapitan z ledwością dowierzał owemu obrazowi. Huk się powtórzył, ale towarzyszył mu rozblask. I to nie byle jaki, tylko niebieski. Tak nie wyglądały karabinowe palby, to oczywiste. Inaczej też błyszczały strzały armatnie. Sebastian patrzył na sztuczne ognie, jak mawiali niemieccy prochownicy: fajerwerki. Ich obecność przy wolskich rogatkach można było łatwo wytłumaczyć stojącą tuż za okopami prochownią. Niby cały zwietrzały proch miała wystrzelać gwardia na ćwiczeniach, ale różnie to bywało i czasem znaczne ilości niebezpiecznego ładunku sprzedawano okolicznym mieszkańcom, którzy lubili sobie czasem (w święto czy przy weselu, ale nie tylko) odpalić petardę. Mieszali proch z kupionymi na Pociejowie próbkami alchemicznych proszków nadających wybuchom dziwne kolory i ku uciesze dzieci, a zgryzocie straży marszałkowskiej, świętowali, jak umieli. Dlaczego musieli to robić podczas alarmu?

Sebastian nie był nawet oburzony, że niewdzięczny lud cieszy się z tarapatów (a może i rychłego zgonu) monarchy; już dość obraźliwą okolicznością było utrudnianie pościgu przez owe wybuchy. Chyba że nie działo się to przypadkiem...

– A to diabły! – syknął do ucha towarzysza. – Zaplanowali to wszystko! Konfederaci namówili tych nieświadomych prostaczków, aby odpalili petardy dla

zmylenia naszych poszukiwań. Nie doceniłem psubratów!

– Czyli oni nie cieszą się z porwania króla? – zapytał Hieronim.

– A gdzież... Zresztą to nie ma znaczenia. Jedziemy, bo nam ujdą. Jedynie dobrze, że potwierdzili nasze przypuszczenia: jadą na zachód!

Odpalono jeszcze kilka petard, a potem jakiś porucznik artylerii od Rosjan, myśląc, że to barzanie, kazał odpalić z dział na postrach. Ów pomysł nie skończył się dla niego najlepiej, gdyż nie mogąc zapalić wilgotnego prochu, młody i zaaferowany działowy postanowił podsuszyć beczułkę nad pochodnią. Wybuch zakończył karierę jego, krzyczącego nań porucznika i jednego przechodnia, który szedł ulicą pod koszarami. Były to jednak, o ile nam wiadomo, ostatnie ofiary tej nocy, chyba że policzymy jeszcze starego odźwiernego z koszar gwardii, który od otwierania i zamykania bramy przez całą noc dostał bólów reumatycznych, a potem skrętu kiszek (zmarł dwie niedziele później). Świeć, Panie, nad ich duszami!

Sebastian był jednak już tak zaaferowany podchwyconym tropem, że nawet wybuch pod kwaterą generała Bibikowa go nie zatrzymał. Do rogatek dotarł galopem, tak nagle, że został przez strażników wzięty za zamachowca.

– Stać, bo strzelam! – krzyknął naczelnik warty. – Jak Boga kocham, strzełę!

Żubrowski szybko poddał wiarę i uczucia strażnika próbie. Zeskoczył z konia i stanął przez celującym doń wachmanem. Dopiero wtedy zauważył, że ten nie żartuje, a nagle przybycie dwóch jeźdźców od strony zamku mogło się wydać podejrzanym.

– Spokojnie, bracie, my gwardia królewska.

– Porwali króla. Ich wódz ucieka z dwoma wierzchowcami – wycedził strażnik, wspierany przez trzy kolejne lufy wychylające się z okien wartowni.

Sebastian na chwilę wyrzucił z głowy palące pytania (choćby: skąd ów strażnik wie o tym tak szybko?), opuścił trzymany pistolet i spojrzał w oczy wartownika. Odezwał się głosem tak spokojnym, na jaki mógł sobie pozwolić po nagłym wysiłku.

– *Pax, pax!* Szukamy porywaczy. Spójrz, dobry człowieku, czy mój towarzysz, zacny porucznik Olszowski, wygląda ci na króla?

Strażnik nie był tego pewien, więc podniósł wiszącą na gwoździu latarenkę i podszedł do drugiego z jeźdźców. Przyglądał się dłuższą chwilę szczerzej twarzy

kresowego szlachcica, po czym skinął ze zrozumieniem głową.

– Dobrze, możecie jechać...

– Ale widziałeś tu kogoś? Kto opuszczał tędy miasto?

– Nnnnie... – Strażnik zdał sobie sprawę, że to on mógł się znaleźć w opałach. – Panie, my pilnujemy...

– A kto przyniósł wieści, że króla porwano?

– Jacyś jeźdźcy...

– Ilu?

– Pięciu, sześciu... Pojechali wzdłuż okopów, ku Powązkom.

Wtedy jednak Sebastian poczuł szturchnięcie w bok. Hieronim nie zsiadł z konia. Razem z wierzchowcem podszedł do kapitana i zaczął mu szeptać, udając brak zainteresowania.

– Grupa jeźdźców za nami, na Elektoralnej stoi. Sześciu chyba. Boją się wejść w zasięg światła. Myślą, co robić. Może chcą zaatakować.

– Jesteście gotowi do bitki? – zapytał strażnika Żubrowski. – Nie palcie, chyba że na mój sygnał. Oni tam mogą wlec króla.

Strażnik cofnął się ku budzie rogatek. Przymknął drzwi, ale Sebastian widział, że sięga po karabin. A kapitan spojrzał w górę na przyjaciela, usilnie snując dalsze plany.

– Co robimy? Ustrzelą nas, jeśli ruszymy. A my nie palniemy pierwsi, coby najjaśniejszego pana nie trafić.

– Mają nas, nie da się ukryć – potwierdził Olszowski. – Musimy czekać na...

Wtedy jednak wystrzelił kolejny, spóźniony fajerwerk. Grupa jeźdźców na Elektoralnej zmieszana się i po kilku uderzeniach serca ruszyła z powrotem. To był dobry czas nie na myślenie, ale na działanie. Sebastian krzyknął z całych sił:

– Za nimi!

Po czym wskoczył na konia.

Gdy nabierali już rozpędu, rzecz trudna i nierozsądna na warszawskim bruku, tamci na dobre galopowali. Ów wyczyn nie mógł się skończyć dobrze; od razu koń jednego z uciekinierów zmylił krok i padł na ulicę, przygniatając jeźdźca. Drugi zatrzymał się, widocznie chcąc ocalić towarzysza, ale pozostała czwórka pędziła w noc. Sebastian podjął błyskawiczną decyzję i rzucił do Hieronima:

– Tych dwóch, niech reszta uchodzi. Pomóż mi.

Dopadli dwóch podejrzanych w tuzin uderzeń serca. Olszowski stanął, wyciągnął broń i mierzył ku zbiegom. Żubrowski zeskoczył, tym razem sięgając już do pasa. Wyciągnął pałasz i krzyknął ze wszystkich sił:

– Stać! Jesteście aresztowani!

Nie tym przejmowali się konfederaci. Dwaj młodzicy (potem Sebastian odkrył, że żaden nie miał więcej niż dwadzieścia lat) nie zwracali uwagi na gwardzistę. Jeden z nich próbował odciągnąć wierzgającego konia, a drugi leżał pod wierzchowcem, wyjąc przeraźliwie. Koński bok zmiażdżył nogę barzanina, a wierzgające kopyta groziły dalszymi obrażeniami. Niewiele myśląc, Sebastian dał znać Hieronimowi, a ten wypalił z pistoletu. Charczenie konia umilkło, ale człowiek nadal wył.

– Ani kroku. Gdzie jest król? – zapytał Żubrowski.

– Jezu, pomóż pan! – jęknął zdrowy (przynajmniej na ciele) konfederat.

– Odejdź od niego, łotrze. Skończyły się wasze swawole! – kontynuował kapitan, ale dostrzegł, że groźby nie odniosły żadnego skutku. Młodzik nadal siłował się z ramieniem towarzysza.

Niezręczną scenę przerwał Hieronim. Zeskoczył z konia, sprawnym ruchem zepchnął konia z rannego zbiega (wzbudzając tym jeszcze głośniejszą falę krzyków), po czym dobył swojego pałasza. Kiedy zdrowy barzanin już otwierał usta, zapewne, aby podziękować za pomoc, porucznik uderzył go płazem, posyłając na bruk.

– Spokój, mówię! – zawołał, po czym spojrzał na Sebastiana. – Co robimy?

Akurat w owej chwili doścignął ich goniec. Umysłny pułkownika niemal stratował swoich jeńców i zatrzymał się przed samym Sebastianem. Mało brakowało, a doszłoby do kolejnej tragedii, gdyż wałach gońca, widząc smutny koniec zastrzelonego konia, zaczął nerwowo wierzgać i tylko najwyższym wysiłkiem posłaniec utrzymał się w siodle.

– Pułkownik każe się natychmiast meldować! – krzyknął, z trudem utrzymując równowagę.

– Gdzie on?

– Pod Arsenalem. Przesłuchują jeńców.

– O! to więcej się gagatków znalazło po nocy! Dobrze, pomóż mi z tymi dwoma. Jedziemy wyjaśnić tę zagadkę!

Nie było to wcale takie proste, gdyż przerzucenie rannego konfederata przez koński grzbiet okazało się wyzwaniem dla Herkulesa, a utrzymanie go podczas jazdy – dla Odysa. Na szczęście Hieronim podolał obu. Chwilę później jechali już ku ulicy Długiej, zostawiwszy za sobą truchło konia, kałużę zmieszanej ludzkiej i zwierzęcej krwi oraz mnóstwo pytań w umyśle strażników z rogatek wolskich. Patrzyli oni na ową scenę z odległości na tyle znacznej, aby zrozumieć ją opacznie. Stary sierżant był przekonany, że barzanie wzięli do niewoli gwardzistów.

Piotr Ładęga patrzył na swoich ludzi, trzech niedoświadczonych rekrutów, i zadawał sobie pytanie, czy opór wobec wroga ma jakikolwiek sens. Uznał, że nie. Piotr nie był tchórzem, mógłby nawet polec na polu chwały w walce z silniejszym wrogiem. Z tym że aby zrealizować to marzenie, musiałby dołączyć od konfederacji, co jednak wydawało mu się zbyt dużym przekroczeniem złożonych przysiąg. Niestety marszałek Lubomirski nie płacił dość, aby wzbudzić czyjąkolwiek lojalność. Z tego też powodu sierżant był pewien, że jego towarzysze rzucą broń na pierwszy sygnał o nadejściu wroga.

– W obliczu niekorzystnego rozwoju sytuacji...

– Ojczulku... – poufale przerwał mu jeden z rekrutów – ...jeśli król nie żyje, to co z nas za straż marszałkowska...

Wtedy usłyszeli z Elektoralnej tętent kopyt i rżenie koni. Spojrzeli przez okno wartowni, aby ujrzeć czterech konnych w długich płaszczach. Jeźdźcy Apokalipsy zatrzymali się przed rogatkami, a na ich czoło wysunął się jegomość, który nawet świszczącym oddechem przypominał śmierć.

Stary Piotr spojrział smutno na strażników i wyszedł na zewnątrz. Stał przed mrocznym przybyszem i zacisnął powieki. Nie chciał mówić nieuniknionego, ale nie widział żadnej innej drogi. Potem zrozumiał, że obaj; on i śmierć, otworzyli usta w tej samej chwili. Nie mógł zaś pojąć, dlaczego też obaj powiedzieli to samo:

– Poddajemy się!

## Wtedy, lasy (jak się jeszcze Janowi zdawało) pod Warszawą

Nie ruszyli od razu. Kuźma raz jeszcze rozłożył płaszcze nad dogasającym ogniskiem, po czym zaczął przeszukiwać resztki obozu. Jęknięcia ostatniego przemytnika ucichły, acz nie dlatego, że umarł. Tomasz zwany Hadką po prostu opanował panikę i postanowił przeleżeć do rana w ciszy, licząc na ocalenie.

Z kronikarskiego obowiązku musimy dodać, że plan ten się nie udał, gdyż kilka godzin później Tomasz stracił przytomność i wykrwawił się na śmierć. Osierocił ósemkę dzieci i zostawił trzy kobiety, które uważały go za męża. Działająca potem pod przewodnictwem kapitana Sebastiana Żubrowskiego komisja śledcza znalazła ciała wszystkich bandytów i orzekła, że byli to wspólnicy konfederatów, którzy pokłócili się o zapłatę za swój udział w porwaniu. Zidentyfikowano wszystkich mężczyzn, ale żadnego prawidłowo.

Nim jednak na zegarach w stolicy wybiła trzecia, król i porywacz ruszyli dalej w drogę. Udało im się określić kierunki świata, ale Kuźma zmienił plan ogólny. Uznawszy, że nikt nie dotarł do punktu zbornego pod Polkową Górą, zdecydował się skierować na miejsce zbiórki reszty oddziałów, to jest na Powązki. Nie wiedział, że wystarczyło się kierować ku wyciu fałszywych wilków. Zresztą Niemicz i Masłowski zaprzestali swoich sygnałów, kiedy tylko usłyszeli alarm w mieście.

Dzwony słyhać było wyraźnie i to pozostawało niezłym środkiem nawigacji. Co prawda kilka mylących kierunek tonów wkradło się w ten chór (gdyby Kuźma znał lepiej okolice, wiedziałby, że to sygnał z klasztoru kamedułów oraz od Świętej Marii Magdaleny na Wawrzyszewie), ale najcięższe skupienie metalicznego śpiewu wskazywało stolicę.

Wędrowcy trafili na skraj lasu, na rozległe łąki. Stała na nich ciągle mgła, ale coraz śmieiej wyglądający zza chmur księżyc pozwalał zorientować się w okolicy, o ile ktoś owe tereny znał. Stanisławowi Augustowi zdawało się, że kojarzy te łąki



ze swoich wypadów myśliwskich, ale raz, że nie był pewien swego, dwa, że nie był pewien, co zamierza Jan; trzymał język za zębami.

Choć nie padało już od dwóch godzin, pod butami wędrowców znów chlupała woda. Rzeka zwana Rudawką w owej okolicy rozlewała się szeroko i niezbyt konsekwentnie, zamieniając pastwiska w coś w rodzaju bagna, które (w zależności od humoru) może porwać intruzowi obuwie albo utopić go bez litości. Przynajmniej takie historie opowiadali sobie gończy królewscy. Poniatowski zwykle im nie wierzył. W końcu wędrowcy znaleźli groblę, wzdłuż której ruszyli, zabezpieczeni przynajmniej przed niespodziewaną kąpielą. Okazało się to zrzędzeniem losu bardzo szczęśliwym, gdyż chmury znów zasłoniły księżyc, pozostawiając Jana i Stanisława na pastwę bardziej zawodnych zmysłów.

Z początku Janowi wydawało się, że wejście na otwartą przestrzeń rozwiąże problem mgły. Stało się jednak odwrotnie: wiatr, zamiast zwiewać białe opary z pola, wydmuchiwał je z lasu i kierował na drogę wędrowców. Po pewnym czasie było tak biało, że grobla wydawała im się wąskim mostem na nieskończonym morzu białości. Gdy dotarli do niewielkiego rozszerzenia, na którym rosła samotna wierzba, Stanisław August złapał Kuźmę za połę płaszcza i poprosił:

– Zróbmy postój. W głowie mi się miesza z wysiłku.

Konfederat nie protestował. Nie byłoby to zachowanie ani chrześcijańskie, ani mądre. Biorąc po uwagę, jak wiele monarcha przeszedł przez ostatnich kilka godzin (a Jan nie wiedział, że i poprzednia doba nie była dla Poniatowskiego spokojna), dotychczasowa dzielność porwanego musiała budzić podziw.

Kuźma rozłożył zabrany przemytnikom płaszcz, ułożył na nim króla, po czym wręczył mu butelkę okowity znalezionej także w obozie pechowych bandytów. Poniatowski przyjął ją z wdzięcznością i żadnym gestem nie zdradził, że wolałby jednak korzenny mazowiecki miód. Po drugim łyku zabrakło mu oddechu, na co Jan też znalazł szybko sposób. Zerwał liść łopianu, wprawnym ruchem zwinął go w rulon i strząsnął z drzewa dość wody, by napełnić ten zaimprovizowany kubek. Podał go władcy.

– Dziękuję... – odparł Stanisław August. – Muszę tylko trochę odpocząć...

Wokół zapadła cisza. Nie sposób było powiedzieć, czy dzwony przestały bić na alarm, czy mgła zdusiła wszystkie dźwięki. Jan patrzył na rozłożonego na płaszczu króla i sam uczył senność. Konfederat wiedział, jak zwodnicze jest poczucie

bezpieczeństwa. Pościg trwał w najlepsze, a być może mgła osłaniała ruch uciekinierów, ale kiedyś musiała opaść. Kuźma wyobrażał sobie fantastyczne obrazy, gdy mgła spływa do ziemi i odsłania oddziały gwardii otaczające groblę. Trudno było oczekiwać, że konni zasadzą się na uciekiniera w grzańskim rozlewisku Rudawki, ale wizja owa miała moc wręcz hipnotyczną. Po chwili Jan nie wiedział już, czy słyszy odległe i przygłuszone nawoływania jeźdźców, czy tylko szepczące echo w uszach. Sam porywacz był też głodny, zziębnięty i poobijany.

– Panie, musimy ruszać – powiedział w końcu.

– Janie, dajże pokój, to nie ma sensu – łagodnie sprzeciwił mu się Poniatowski.

– Bóg albo diabeł, czy może oni obaj, nie chcą, aby ci się udało. Zgubiłeś swój oddział, zabłądziłeś w lesie, prawie zginąłeś... trzy razy. Zawzięłeś się na mnie i całą gwardię z kilkoma tuzinami ludzi, co było zuchwałe, ale możliwe. Jak wyobrazasz sobie walkę z setkami żołnierzy sam?

A Jan uklęknął (prawie klapnął kolanami w błoto, ale zaskakująco zdecydowanym ruchem król przyciągnął go na skraj płaszcza) i zakrył oczy dłońmi. Milczał długą chwilę, dysząc tylko. Poniatowski zastanawiał się, czy słyszy w otaczającej ich ciszy stłumione łkanie konfederata. Poczł nagle zalew niezwyklej czulości wobec swego prześladowcy.

*Słodki Jezu! Przecież on robi robotę regimentu wojska. Został sam, a brnie dalej, wbrew wszystkiemu. Może i jest zbyt głupi, aby pojąć, czego się podjął, ale taka głupota obala imperia!*

– Janie... – zaczął miękko władca – ...to nie twoja wina. Gdybyście mieli oddział dziesięciu takich jak ty, toby się udało, niezawodnie. To towarzysze cię opuścili. Zrobiłeś więcej, niż ktokolwiek mógłby wymagać.

– I co mi z tego przyszło? Klęska, klęska... na tronie nadal kukielka moskiewska pozostanie... – jęknął Kuźma, jakby nieświadom, że owa kukielka siedzi obok niego. – Na nic plany, konfederacja zgubiona!

Akurat w tym temacie Poniatowski miał własne zdanie. *To się jeszcze zobaczy. Ci buntownicy są jak ogień na stepie: co się go ugasi w jednym miejscu, to w drugim wybucha z pełną siłą. Właśnie czterdziestu ludzi... właściwie jeden... jeden człowiek prawie zabił króla. Powstrzymała go tylko poczciwość. Wtedy uznał, że właściwie nic mu nie grozi. Próbował sobie wyobrazić Kuźmę wyciągającego święcony na Jasnej Górze sztylet i wbijającego go w monarszą pierś. Nie teraz, już nie. Owszem, to także z ręki*

Kuźmy padł wierny Butzau, ale stało się to w walce, w chaosie, w gniewie. Poza tym król przyjął śmierć sługi na własne sumienie. *A co do kukielki na tronie... Nic nie wiadomo. Co będzie dalej? Rzeczpospolita zgubiona, to pewne. Nie widać było martwicy, gdy rządziła nami tylko Katarzyna, ale przecież to była fikcja. Musi coś dać Frycowi i Marii Teresie. Urwą coś i z Korony, i z Litwy. Czyli stracę ziemię, nie na wojnie, bo wojny wydać nie zdołam, tylko w czasie pokoju. Honorowy król abdykowałby. Ba, może tak zdecyduje Katarzyna i wymieni mnie na kogoś swojego... Młodszego, przystojniejszego – dopowiedział chochlik w jego głowie. A za pretekst poda, że jestem nieudolny. Nie dość, że oddam ziemię, to jeszcze dałem się porwać przygłupowi z... Nawet nie wiem, skąd Jan pochodzi. Powinienem abdykować, Boże, zrobiłbym to, gdybym nie wiedział, że mój następca będzie całkiem bezwolny. Ciekawe, czy Kuźma sobie z tego zdaje sprawę.*

– Masz rację, Janie, już niczego nie zaradzisz – przytaknął król. – Lepiej myśl, jak z tej kabały się wydobyć. Od razu powiem, że nie chcę twojej zguby i nie dam cię skrzywdzić. Jeśli się uda, polecę wyprowadzić cię z kraju. Jeśli nie, uniewinni cię sąd sejmowy.

– Panie, co najjaśniejszy pan gada? Jak cham, a nie szlachcic! – przewał mu Jan. – Przecie ja przysięgałem.

– Mnie też przysięgałeś! – zauważył Poniatowski, dostrzegając w tym argumentie obiecującą ścieżkę ratunku. – A porzuciłeś obowiązki wobec swojego króla.

– Najjaśniejszy pan nie jest prawdziwym królem. Nawet byłem przy detronizacji najjaśniejszego pana.

– Ale nadal nazywasz mnie najjaśniejszym panem – zauważył Stanisław August.

– Tak wypada. Ja wiem, że jesteś moskiewskim sługą, kreaturą Katarzyny, Boga w sercu nie masz i obyczajów szlacheckich nie szanujesz. I ty też o tym wiesz, panie. Po cóż o tym wciąż przypominać. Jesteśmy śmiertelnymi wrogami, ale nie musimy być z tego powodu niemili.

– Dziękuję – odparł po chwili milczenia monarcha. – Gdybyś mnie nie porwał, to chciałbym cię zrobić moim szambelanem.

– Nie poszedłbym na żołąd moskiewski – odparł z mocą Jan, po czym dodał mniej pewnie: – Jeszcze nie. Musiałbym najpierw się trochę upodlić. A wtedy nie byłbym już najjaśniejszemu panu do niczego potrzebny, bo takich ludzi przez grzech złamanych to ma najjaśniejszy pan na pęczki.

Poniatowski zadumał się nad tą mądrością płynącą z ust ewidentnie niezbyt lotnego człowieka, po czym uznał, że ludzie przypisują inteligencji zbyt wielkie znaczenie. Gdyby za młodu posłać Kuźmę do szkół, pewnie nauczyłby się szukać wymówek dla swego łotrostwa, które (prędzej czy później) by go pochłonęło.

– Wierzę ci, Janie. Ale teraz myślmymy nad tym, co bliskie. Wracajmy do Warszawy. Powiem, że zmieniłeś zdanie i odbiłeś mnie z rąk porywaczy.

– Nie mogę, panie! – zaprotestował konfederat. W owej chwili król był pewien, że Jan jednak mógł. – Zmuszą mnie, bym świadczył przeciw moim towarzyszom. Poza tym zabiłem sześciu ludzi, w tym jednego niewinnego, twojego obrońcę. Ich krew pójdzie na marne.

– Więc teraz musisz zadać sobie bardzo ważne pytanie: czy przywrócisz im życie, poświęcając jeszcze siebie? Gdzie tu sens? Kiedy siedzisz z Fortuną przy stole ruletki i przegrywasz, wstajesz i wychodzisz, nim stracisz resztę pieniędzy.

– Wierzę najjaśniejszemu panu na słowo, jako ekspertowi od tracenia pieniędzy.

– Dobrze, to nie była najszcześliwsza analogia... metafora... no, nie powinienem o tym mówić. Ale rozumiesz, o co mi chodzi.

– Towarzysze...

– Uciekli. Nie martw się ich losem, bo o to już sami zadbali.

– Jeśli porzucę misję, nieważne staną się dyspensy przez ojców paulinów poczynione.

– Jakie dyspensy? – zapytał zdezorientowany Poniatowski.

– Na zabicie ludzi, choćby niewinnych, jeśli po drodze naszej misji staną.

– Janie, przecież ja cię rozgrzeszę za pomocą nuncjusza papieskiego! – odparł wesołym głosem król, ale widząc nagły cień na twarzy porywacza, zrozumiał, że był to błąd.

– Nie twoja to władza, panie, rozgrzeszać innych. Ba! także nie nuncjusza, tylko Boga samego, co księżyich ust używa dla widnego znaku i naszej wygody.

– To przecież z zakonnikami częstochowskimi jest tak samo. – Król odzyskał rezon. – Sami ci tych glejtów nie wystawili, tylko obiecali, że Bóg się nie pogniewa. Wierzysz im?

– Komuś muszę.

– Uwierz mnie!

Milczeli chwilę, patrząc sobie w oczy. To mógł być początek wspaniałej służby, ale też kres jakiegokolwiek przyjaźni między królem a konfederatem. W ciemności widzieli tylko zarysy swoich twarzy, z trudem czytali emocje i myśli. Król jednak wierzył, że dostrzeżga w porywaczu znamię powolnego dojrzewania do kapitulacji. *Przekonam go! A potem wrócę na dwór i wszystko naprawię!*

– Nie, panie, nie dotrwasz do ranka żywy – powiedział w końcu Kuźma.

– Co takiego? Ależ Janie, jesteśmy przyjaciółmi! Nie musimy być wobec siebie niemili! – wyjąkał zdezorientowany monarcha.

– Może i nie, panie, ale to nie ode mnie zależy.

Poniatowski zrozumiał, że konfederat patrzy gdzieś ponad jego ramieniem. A potem zdał sobie sprawę, że jak dotychczas Kuźma zamierzył się na niego bez złej woli, za to karczmarz, przemysłowcy i leśne bestie chciały go zabić z (mniejszym lub większym) rozmysłem. Nie Kuźma był jego najgroźniejszym wrogiem.

– Boże, co to? – zapytał słabym głosem, snując w głowie najdziwsze teorie dotyczące strachu towarzysza. – To Moskale? Generał Bibikow wysłał siepaczy, aby mnie zabić i was oskarżyć?

– Nie, panie, to nie Moskale – odparł z grobowym spokojem Jan. – To demon.

Poniatowski powoli odwrócił głowę i podążył za spojrzeniem porywacza. A tam, ledwie kilkadziesiąt łokci od wierzby, oświetlany wyglądającym właśnie zza chmur księżycem stał gigantyczny bies, którego cztery dłuższe niż wzrost trzech ludzi łapska wznosiły się nad łąką.

– Ojcie nasz, któryś jest w niebie... – zaczął szeptać Jan.

– Kurwa! – wrzasnął Stanisław Antoni Poniatowski, z Bożej łaski i woli narodu król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, żmudzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki, smoleński, siewierski i czernihowski.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Zbójcy tuż pod Warszawą? Co to za dziwaczne doniesienia? W kilku artykułach o porwaniu króla autorzy wspominali o jakiejś walce konfederatów z przemytnikami broni w lasach nad Rudawką. Do tej historii podchodziłbym ostrożnie. Nie jest ona niemożliwa, gdyż tam, gdzie ćwiczy wojsko, niemal zawsze pojawiają się ludzie niebezpieczni, którzy szukają nieuczciwego zarobku, skupując od żołnierzy stare karabiny i proch.

Niemniej warto pamiętać, że podczas walk z konfederacją, jak podczas każdej wojny, zdarzały się akty bandytyzmu, niespotykane zwykle w czasie pokoju. Nawet jeśli nie były one liczne, doniesienia o nich były powtarzane przez stołeczną prasę, a zwłaszcza dwór królewski. Krytycy marszałka Lubomirskiego twierdzą, że choć sam urzędnik był skłonny do negocjacji z konfederatami, na użytek króla, sejmu i opinii publicznej nadmiernie straszyl zagrożeniem z ich strony, dzięki czemu dodatkowe wydatki, takie jak usypanie nowych wałów miejskich, nie były zbyt krytykowane.

Przy tej okazji warto zapytać, gdzie były oddziały rosyjskie stacjonujące w stolicy. Dlaczego nie brały udziału w poszukiwaniach? Plotki głoszą, że ambasador von Saldern i generał Bibikow ucieszyli się z kłopotów króla, a może nawet liczyli po cichu, że władca nie ujdzie z życiem, a nowa elekcja okaże się okazją dla wzmożenia ucisku nad Rzeczpospolitą. Jednak tej tezy nie sposób udowodnić, tym bardziej że oddziały rosyjskie były nie tak liczne i nieprzygotowane do pościgu. Chyba że założyć rosyjski udział w planowaniu całego porwania, ale teoria ta jest niezwykle trudna do zweryfikowania.

## VII

### Teraz, Petersburg

Nadejście cara Pawła przypominało deszcz, który zmywa błoto z ulicznego bruku. Niczym potężna wichura, co łamiąc wielkie drzewa, trzcinaż zaledwie tylko kołysze, został powitany przez służbę jak wybawienie, natomiast bankierzy natychmiast wpadli w panikę. Imperator nie musiał ich nawet odganiać władcym gestem, sami rozstąpili się po kątach holu, unikając wzroku władcy Wszechrusi. O Pawle mówiono, że jest carem słabym, skoro przez tyle lat nie potrafił wydostać się spod kurateli matki, stworzyć swojej własnej koterii, a nawet zachować godności następcy tronu. Nie szanowali go arystokraci, wyżsi oficerowie przymilali się nie jemu, ale młodemu Aleksandrowi, a reformatorskie tyrady, które często rozpoczynał Paweł, traktowano z przymrużeniem oka jako dziwaczną zabawę nieco powolnego na umyśle syna Katarzyny. Jednak w pałacu Marmurowym Paweł był prawdziwym cezarem. Już osadzenie tu byłego króla pokazywało, że cesarz może decydować o jednej z rodzinnych rezydencji i poczynić gest przeciw pamięci matki i na złość jej faworytom. Ekscesy, takie jak pardon dla polskich buntowników, w tym samego Kościuszki, można było tłumaczyć ekstrawagancją... cóż, już nie młodzieńca, ale męża w pełni sił, który jednak dopiero teraz wyzwolił się spod wpływu matki. Natomiast inne pomysły cara...

Połowa dworu petersburskiego drżała, kiedy Paweł odwiedzał Poniatowskiego. Rodziły się z tego dziwne pomysły i deklaracje, których niby spełniać nie należało, ale czasem trzeba było. Z niedawnymi narodzinami kolejnego syna starzy dworzanie wiązali pewne nadzieje – jeśli nie na uspokojenie cara, to na zajęcie jego uwagi na kilka tygodni. Przeliczyli się, gdyż ledwie po trzech dobach władca wrócił z Carskiego Sioła, i to w miejsce, w którym sprawiał kłopoty.

– Prowadźcie mnie do króla – polecił gwardzistom.

Jego głos brzmiał tak władczo, że gdyby car mógł zachować choć połowę tej siły na rozmowy z ministrami i generałami, byłby bardziej poważanym monarchą niż Katarzyna. Niestety, magia władzy działała tylko tu.

Dwóch gwardzistów pałacowych oraz Artem (na niego car wskazał ręką) dołączyli do małego orszaku Pawła. Romanow chodził tylko z czterema swoimi gwardzistami. Zgubił gdzieś adiutanta, dlatego Artem zajął de facto owo bardzo wymagające stanowisko.

– Znam cię, chłopcze. Przypomnij swoje imię.

– Artem, najjaśniejszy panie.

– Czy dobrze opiekujesz się królem? – zapytał car, idąc schodami w górę. Z tyłu zegnało ich przytłumione tupanie butów. To wierzyciele Poniatowskiego dyskretnie opuszczali pałac.

– Tak jak potrafię, wasza cesarska mość – zapewnił sługa.

Wtedy Paweł stanął i ręką wstrzymał Artema. Obrócił pokojowca tak, że patrzyli sobie w oczy. Bardziej z zaskoczenia niż odwagi sługa nie spuścił wzroku. Zobaczył jednak na twarzy Romanowa nie gniew, ale szczery ból.

– Czy mój ojciec umrze? – zapytał wprost.

– Każdy kiedyś umrze, panie – odpowiedział sługa cicho. – Nawet najwięksi mocarze.

– Ale czy on umrze dziś?

Nie trzeba było nikomu tłumaczyć wagi tego pytania. Paweł wprost określał Poniatowskiego jako swojego ojca. Pewnie wiedział, że było to niemożliwe, i to nie z powodu małżeńskiej wierności carycy Katarzyny (był to jeden z najbardziej deficytowych towarów imperium), ale przez prosty rachunek czasu: o ile w dworskich plotkach tkwiło ziarno prawdy, przyszły król zaczął romans z przyszlą imperatorową, kiedy Paweł był już na świecie. Mimo to na złość niemal wszystkim car okazywał Poniatowskiemu synowskie przywiązanie, a nawet nazywał go ojcem niemal publicznie. I tak mścił się na okrutnej – i już nieobecnej – matce, ale chyba naprawdę podziwiał byłego króla. A jeśli nie podziwiał, czuł z nim wyjątkową więź, jaka może się zrodzić między ofiarami jednego kata.

– Nie jestem lekarzem, najjaśniejszy panie – odpowiedział po chwili Artem. – Ale dobrze, że przybyłeś się z nim zobaczyć. Tak na wszelki wypadek...



Paweł ruszył dalej, przybrawszy nieprzeniknioną minę. Artem jednak czuł, że pod tą maską dojrzewają dwie łzy. Wtedy uświadomił sobie, że Paweł jest zarówno zbyt dobrym, jak i zbyt słabym człowiekiem, aby rządzić.

Kiedy dotarli do sypialni królewskiej, władcę Wszechrusi przywitał połączony szpaler wojskowych i lekarzy. Najbliżej łóżka stał Weiss i to do niego skierował się car, prowadząc przy tym Artema. Paweł zapytał cichym głosem:

– Czy mogę do niego podejść?

– Najjaśniejszy pan wszystko...

– Czy mu nie zaszkodzę?

– Nie, panie. Tylko uważaj, aby go nie poruszyć – odparł lekarz, a widząc nieme pytanie na twarzy Romanowa, dodał: – Uścisk ręki nie powinien być niebezpieczny.

Car usiadł przy łożu (Artem i doktor Nepałow zdążyli przysunąć niezbyt okazałe, ale wygodne krzesło) i pochylił się nad domniemanym ojcem. Długo patrzył na nieprzytomnego króla, po czym delikatnie chwycił jego rękę.

– Jestem, ojcze – szepnął, po czym podniósł wzrok na Weissa. – Czy w tej chwili wykonujecie jakieś medyczne zabiegi? – Lekarz pokręcił głową. – W takim razie proszę o chwilę spokoju sam na sam z pacjentem. Niech panowie wyjdą.

Lekarze popatrzyli po sobie, potem skierowali wzrok na kapitana Kaparowa, ale gdy ten wzruszył ramionami, skłonili się i ruszyli ku wyjściu. Artem także wstał, ale poczuł dotknięcie ręki cara.

– Nie, chłopacze, ty zostań na wypadek jakichś komplikacji.

– Może ja... – zaczął niepewnie Weiss.

– Proszę odpocząć, doktorze – polecił nieznoszącym sprzeciwu głosem imperator.

– Panie, na pewno? – zapytał jeden z gwardzistów, ale car nawet nie zaszczycił go odpowiedzią.

Po chwili sypialnia była pusta i cicha. Tylko ciężki oddech króla wskazywał, że na łóżku rozgrywa się dramat. Paweł wciąż trzymał Poniatowskiego za rękę i patrzył na wykrzywioną cierpieniem twarz chorego.

– Czy to twoje dzieło? – zapytał Romanow.

– Co proszę...?

– Przysięgnij na wszystko, co święte, że to nie twoja sprawka! – syknął car.

– Panie! – Artem padł na kolana. – Służę królowi tak dobrze, jak mogę, bo mając nad nim pieczę, spełniam twoją wolę. Jak kocham Boga, Matkę Jego i świętych Pańskich...

– Dobrze, wierzę ci – przerwał car. – Ojciec kilka razy mówił, że jesteś jego najlepszym pokojowcem. Komuś muszę zaufać, a ty nie wydajesz się trucicielem. Powiedz więc: czy króla otruto?

– Panie, nie jestem lekarzem...

– Dlatego ciebie pytam. Lekarzom płaci się, aby pacjent wyzdrowiał... albo zachorzał.

– Nie, najjaśniejszy panie – odparł z pewną dozą nieśmiałości Artem. Nie co dzień władca mocarstwa prosił go o radę. – To znaczy doktorzy niemal na pewno wykluczyli zamach. Przyznał się do tego ten polski konfederat, ale ja mniemam, że po latach twierdzy osłabił mu umysł.

– Tak, słyszałem te bzdury – potwierdził car. – Biedak jest zupełnie szalony, jak wielu, którzy zaznali gościnności rosyjskich twierdz. Jest to spadek po mojej matce, z którym muszę się szybko uporać. Ale przecież nie o spisku Polaków mówimy, tylko o moich wrogach. Czy mogli zatruć króla?

– Nie sądzę, najjaśniejszy panie. Tych dwóch lekarzy niemal nie znam, ale wszyscy się boją o króla. A doktora Weissa poznałem dobrze i wiem, że robi wszystko, aby uratować pacjenta. Poza tym wykluczyli truciznę... chyba.

– Otaczają mnie wilki, chłopcze – odparł po chwili car. – Nikt mnie nie szanuje, gdyż nikt się mnie nie boi. Śpię z otwartymi oczyma jak ryba albo zając. Nie boję się śmierci, ale wiem, że ci dranie zepsuli mi syna. Aleksander będzie nieodrodnym wnukiem mojej matki. Chciałbym, aby przejął tron tak późno, jak się da.

– Panie, nie mnie słuchać o sprawach państwa...

– Teraz już i tobie. Państwo to on. – Romanow wskazał na nieprzytomnego Polaka. – To znaczy, leży tu zhańbiony władca królestwa, które zniknęło. Ale uderzając w niego, uderzyliby we mnie. Mam teraz dwa ciała, w które można wbić sztylet... albo które można otruć.

– Jeśli polskiego króla otruli spiskowcy, doktor Weiss do nich nie należy – stwierdził Artem, pewny swego sądu. – Ja jestem prostym człowiekiem, ale też

obserwowałem króla przez ostatnie miesiące. On mało spał... on mało śpi – poprawił się sługa. – Siedzi nad papierami albo ucztuje z waszą carską mością. Doktor Weiss odradzał mu picie kawy i zalecał więcej snu. Niestety, król nie chciał o tym słyszeć...

– Czyli to nie trucizna?

– To chyba dobrze, najjaśniejszy panie...

– To znaczy, że mój wspaniały ojciec, rodzic jeśli nie z ciała, to z ducha, umrze, a ja nic nie mogę na to poradzić. – Paweł zakrył czoło lewą dłonią i polecił: – Teraz i ty wyjdź. Musimy zostać sami.

Artem wstał i sztywnym krokiem ruszył ku drzwiom. Nim wyszedł z komnaty, usłyszał jeszcze słowa cara szeptane do ucha chorego.

– To nie twoja wina. Słyszysz mnie?

– Janie?

Niski, charczący głos musiał dobiec z ust królewskiego pacjenta. Nikogo więcej nie było w pokoju, a Artem trzymał gębę zamkniętą na kłódkę. Po chwili charkot się powtórzył, ale sługa nie mógł już nic zrozumieć.

– Stój, Artemie! – polecił mu car. – Kim jest Jan?

– Nie wiem, najjaśniejszy panie – odparł pokojowiec, odwracając się na pięcie. – Ale król mówił wiele dziwnych rzeczy od rana... Ja sądzę, że może to być jeden ze spiskowców, którzy nigdyś chcieli go porwać.

– A więc wziął mnie za swojego zamachowca... – mruknął Romanow. – Cóż, kraj mu zabraliśmy, koronę także... – Potem polecił Artemowi: – Chłopcze, za chwilę skończę. A potem chciałbym porozmawiać z tymi dwoma więźniami z piwnicy. Z tym szaleńcem i tym drugim. Przygotuj na to gwardię.

– Tak, najjaśniejszy panie... Ale jeśli mogę spytać: po cóż?

– Być może on mi już nie odpowie. A ja chcę wiedzieć.

## Wtedy, Warszawa

Cocceji przejął dowodzenie. Być może musiał tak zrobić, aby nie wypuścić władzy z rąk gwardii. Ponoć marszałek Lubomirski był już na nogach i zaczynał bezpośrednio kierować poczynaniami straży. A Sebastian i Hieronim otrzymali zadanie pośrednie. Niby ważne, ba, niby kluczowe, gdyż przesłuchanie jeńców mogło przynieść odpowiedź, gdzie zniknął król, ale jednocześnie Żubrowski nie był w centrum akcji. Malowany przez Canaletta obraz *Wyswobodzenie króla*, znany też (przynajmniej w głowie bohatera) jako *Tryumf kapitana Żubrowskiego*, zaczynał się rozwiewać jak mgła na wietrze.

Ale nie wszystko wydawało się stracone. Gdy pułkownik Cocceji ruszył na północ, kapitan postanowił wrócić na rogatki zachodnie, zgrzytał zębami na taką stratę czasu, ale nie miał wyboru. Sebastian mógł rozwikłać sprawę tak szybko, aby jeszcze zdążyć na odbicie monarchy. Liczył, że dwóch młodzików szybko zdradzi szczegóły, a w dodatku miał nadzieję, że dostanie rychło więcej jeńców.

Nie do końca pojmował, co się stało w wartowni. Ponoć strażników napadła reszta konfederackiej czujki. W pewnym chaosie (nim sierżant im tego zakazał, dwóch strażników przyznało, że chcieli się poddać barzanom) wywiązała się walka, ale nie na pistolety ani ostrza, tylko na pięści. Można powiedzieć, że obie strony odniosły taktyczny sukces i operacyjną porażkę, gdyż twarze strażników śliwiły się już od guzów, a plamy krwi i trzy zęby leżące na posadzce wskazywały, że walka była ciężka.

Konfederaci ostatecznie uszli, zostawiwszy część ekwipunku, broń i cztery konie (które w zamieszaniu uciekły; dwa z nich odnaleziono nazajutrz, dwóch nie – i te pewnie trafiły na targ na Królewskiej albo na stoły kilkunastu rodzin). Dlatego umknęli ręce sprawiedliwości, ale Sebastian wierzył, że znowu mogą się zgubić i znowu wpaść w ręce straży, tym razem na dobre.

Pracować zaś mógł nad dwoma chudymi blondynami przedstawiającymi się jako Piotr i Paweł, choć wszyscy wiedzieli, że nie są to ich prawdziwe imiona. Ten wyższy (a przynajmniej zakładano, że jest wyższy; zgruchotana noga nie pozwalała mu stać) w bólu zwrócił się do towarzysza jako do Michała, a Michał-Paweł odparł:

– Będzie dobrze, Tobiaszu.

W owej chwili Piotr-Tobiasz leżał na pledzie, a Paweł-Michał siedział, przywiązany do krzesła w ciasnej wartowni wolskiej. Czterej pobici strażnicy stali obok, choć czuli się jeńcami w nie mniejszym stopniu.

– Gdzie jest król!?! – powtórzył pytanie Sebastian.

– Nie żyje!

– Nie wiemy! – równocześnie odpowiedzieli przesłuchiwani. A Tobiasz dodał: – Jezu, jak boli. Dajcie chociaż wódki!

– Wszystkiego dostaniecie, gdy wydacie towarzyszy – odparł Żubrowski. – A król żyje, wiemy to.

– Skąd? – zapytał Michał.

– Skąd? – zapytał sierżant straży, ale zaraz zamilkł pod ciężarem spojrzenia kapitana gwardii.

– Gadajcie, a uratujecie głowy!

– Nic wam nie powiem, płatni zdrajcy, pacholki Rosji! – zapewnił Michał.

– Ale my nic nie wiemy! – jęknął Tobiasz.

– To lepiej się dowiedzcie, póki nie zaczniemy gadać z tamtymi. Kto się pierwszy przyzna, dozna łaski.

– Łaska Ciołka na ruskiej szkapie jeździ! – zadeklarował Michał, albo Paweł, gdyż Sebastian podejrzewał, że przez hardego przemawia nie człowiek, ale rola, jaką mu dano, a przez to i pseudonim.

– Ludzie, zrozumcie! – krzyknął kapitan. – Zostawili was! Ty, Pawle, wróciłeś po brata, ale reszta nawet nie spojrzęła na los Tobiasza... to znaczy Piotra. Zostawili was jak okulawione konie. Czemu ich bronicie?

– Nic ci nie powiemy, zaprząncze!

– Jezu, dajcie tej wódki.

Żubrowski zrozumiał, że samymi słowami nic nie wskóra. Podeszedł do Pawła-Michała i kopnął go z całej siły w pierś. Mężczyzna spadł ze stołka, niestety nie tam, gdzie miał upaść. Gdy przygniótł swoją masą zgruchotaną nogę Piotra-Tobiasza, wartownię wypełnił nieludzki wrzask. – Chciał mówić. Czy na pewno tego zamierzasz torturować? – szepnął Hieronim.

– Bracie, pomóż mi, zamiast komplikować – odparł wyniośle kapitan. Dalsze wyrzuty przerwał mu śmiech Pawła-Michała. Oto Piotr-Tobiasz zamilkł, straciwszy przytomność, a jego zdrowy towarzysz rechotał.

– O, to dobre! Aleście rzemiosło katowskie odstawili! A ja nic wam nie powiem.

– To tego masz bić – podpowiedział usłużnie Olszowski, a Sebastian z trudem opanował wybuch gniewu.

– Zaraz skończysz te uśmiechy, konfederacie! – krzyknął kapitan i kopnął leżącego na plecach jeńca.

Trafił jednak nie w udo więźnia, ale w nogę stołka. Mebel chrzęstnął i rozpadł się na kawałki, wzbudzając kolejne salwy śmiechu Pawła-Michała. Sebastian wyszedł z wartowni, aby zrobić kilka głębokich oddechów. Sytuację wykorzystał jednak Hieronim.

– Będziemy cię ćwiczyć, póki nie wyznasz prawdy. Musisz ją wyznać, nim król umrze albo nim znajdziemy go bez twojej pomocy. Inaczej jesteś stracony, rozumiesz?

– Przysięgam nie zdradzę! Przyjaciół nie wydam! Będę patrzył na upadek moskiewskiego uzurpatora...

Wtedy właśnie Olszowski się odwrócił i wyszedł. Na odchodnym rzucił jeszcze strażnikom:

– Opatrzcie rannego. Tego nie bijcie, a na pewno nie po twarzy. Musi dobrze wyglądać.

– Dokąd pan idzie?

– Szukać króla – odparł Hieronim. – A ten nam już na nic. Nie chce mówić, to nie powie.

Przed strażnicą zastał Sebastiana trzęsącego się jak osika na wietrze. Od przyjaciela wyczuł żar bezsilnej złości i falę uczuć, które mogą obudzić zarówno szal przemocy, jak i łzy.

– Nie przejmuj się, nic nam nie powie – powiedział porucznik.

– Nawet nie potrafię go oćwiczyć! W mojej głowie to wyglądało inaczej! – szeptał kapitan.

– Trudno, ci i tak by nam nie powiedzieli.

– Jeśli byłbym silny, złamałbym go!

– Ale on nic nie wie.

Na te słowa Sebastian zamarł ze wzrokiem wbitym w przyjaciela. Patrzył na towarzysza niedoli, człowieka o złotym sercu i zardzewiałym umyśle, który zwykle pytał go o radę w każdej sytuacji. A teraz sam jej udzielał, pchany jakimś niepojętym wiatrem przenikliwości.

– Nikt nic nie wie – wyjaśnił Hieronim. – Ani on, ani ten ze złamaną nogą.

– A skądś tego taki pewny?

– Wyczuwam niekompetencję na odległość – odparł porucznik. – Zrób głęboki wdech i spójrz na całą sprawę spokojnie, tak jak to tylko ty potrafisz. Na chwilę nie myśl o porwaniu jak o szansie na rzymski tryumf, tylko jak o łamigłówce. Sam mnie tego uczyłeś... i ostrzegałeś, że nawet odrobina ambicji i chciejstwa może zupełnie zaburzyć logiczne myślenie.

– No dobrze, uspokajam się. I słucham – odparł Sebastian, siadając na ławce przy ścianie wartowni. – Przegapiłem coś ważnego. Nie zauważyłem oczywistości...

– Wręcz przeciwnie, widziałeś coś, czego nigdy nie było. Szukałeś ładu tam, gdzie jest tylko zamieszanie. Pomyśl: jak złapaliśmy tych dwóch?

– Zostawił ich oddział barzan, jak mniemamy, po tym, jak zrezygnowali ze szturmowania roгатki.

– Dlaczego szturmowali roгатki?

Zapadła chwila ciszy, podczas której Żubrowski zamknął oczy, oddzielił się grubą kołdrą myśli od otaczającego go świata i zaczął powoli sprzątać zaśmiecony stół własnej głowy. Potem, wciąż z przymkniętymi powiekami, powiedział:

– Nie mieli żadnego powodu, aby szturmować roгатki. Nie mieli żadnego powodu, aby tam być. Powinni byli już dawno opuścić miasto, chyba że odwracali uwagę pościgu... zaraz, wcześniej nie było pościgu. Spanikowali więc, kiedy wszczęliśmy alarm.

– A co to znaczy?

– Nie było żadnego planu – szepnął zdumiony kapitan. – Albo był, ale zupełnie nie wyszedł. Tych sześciu się zgubiło, szukając drogi z miasta, a potem wpadli w panikę. Nie było z nimi króla, nikogo nie osłaniali. – Otworzył oczy i spojrzał na Hieronima. – Dowódca tych porywaczy jest prawdziwym durniem! – Chwył przyjaciela za rękę i jęknął z rozpaczą w głosie: – Takiego to ja nie złapię!

– Damy radę, bracie. Trzeba tylko przestać być filozofem i stać się myśliwskim chartem. Czekamy na trop.

– A ci dwaj?

– Nie wiem, czy na cokolwiek się zdadzą.

Wrócili do środka i już chcieli oznajmić Pawłowi-Michałowi, że nie będą go dalej przesłuchiwać, gdy nadjechał goniec z rogatek marymonckich. Nie raczył nawet sprawdzić, czy go wysłuchano, tylko krzyknął swoje i ruszył dalej.

– Słyszano na północy strzały lub wybuchy.

– Pilnujcie ich – polecił strażnikom Żubrowski. – My jedziemy pomóc pościgowi. – A Hieronima zapytał: – Jak myślisz, co to znaczy?

– To może znaczyć absolutnie wszystko – odparł porucznik.



## Wtedy, przedpola piekła pod Warszawą

W chwilach konfrontacji z mocą piekielną wypływają na wierzch nie tyle cechy charakteru, co jego najsilniejsze dźwigary i mocowania. Trudno oczekiwać, aby widząc poczwagę z piekieł, nie ulec przerażeniu, ale można się bać w mądry i głupi sposób. Na początku musimy usprawiedliwić naszych bohaterów.

Staś i Jaś (pozwolimy sobie na tę poufałość, bo w konfrontacji z siłami piekieł rodowody, majątki, a nawet królewskie korony nie są istotne) rzucili się do ucieczki przed ogromnym demonem. Nie widzieli dokładnie bestii, a ta okazała im się w całej krasie tylko na kilka uderzeń serca.

Dwie rzeczy nastąpiły jednocześnie: podmuch wiatru rozproszył mgłę na grobli i odsłonił księżyc spod wianka chmur. Dlatego w jednym momencie niemal cała łąka stała się widna, cóż, jeśli nie jak w dzień, to jak w bardzo czystą noc. Kuźma, który na horror z zaświatów patrzył dłużej, zrozumiał, gdzie się znajduje, przynajmniej w ogólności. Dostrzegł zarys lasu, gdzieś daleko za nimi. Zrozumiał, że łąki, na które wyszli, były rozlewiskiem jakiejś rzeczki, co tłumaczyło wszechobecne błoto i gęstą mgłę. Gdzieś daleko na południu było widać światła, zapewne latarnie na okopach miasta. Jednak ten świat był zbyt odległy od wędrowców. Znacznie bliżej znajdował się czort.

Potwór siedział na środku grobli, w kępie wierzb płaczących na niewysokim pagórku. Miał na pewno więcej niż tuzin sążni wzrostu, a dwie z jego łapsk wznosiły się znacznie wyżej. Przypominał trochę olbrzyma z ludowych baśni górali tatrzańskich czy legend z dalekiej Skandynawii. Wyróżniały go za to aż cztery ręce, długie i cienkie niczym odnóża gigantycznego pająka. Ruszał nimi powoli, jakby w drwiącym geście machając ludzkim ofiarom. Z początku stał w miejscu, ale ani Staś, ani Jaś nie czekali, aż ten stan się zmieni.

Kuźma wykazał się większą dozą opanowania. Poczekał, aż król obierze kierunek ucieczki, potem ruszył w przeciwną stronę. Można uznać ów czyn za heroiczny, gdyż konfederat stracił kilka uderzeń serca w bezruchu, ale ta cyniczna część umysłu Jana wskazywała, że Poniatowskiego da się łatwo przegonić, nawet dając mu fory. Nie da się jednak ukryć, że podzielona ucieczka dawała któremuś

z nich szansę. Demon był potężny, ale moc bilokacji należała do Boga i jego świętych, więc należało uznać, że czas przeznaczony na pochłonięcie władcy to prezent dla porywacza.

Kuźma nie myślał nawet o tym, po prostu działał. Widząc Stanisława Augusta wbiegającego na łąki w kierunku Warszawy, sam skoczył na północ. Zostawił za sobą groblę, wbiegł w płytką wodę. Zmierzył odległość do lasu. Pięć, może sześć staj. Blisko, jeśli się biegnie po twardej ziemi. Pęd po podmokłym terenie zmieniał ten dystans w bieg maratoński, a może i bitwę pod Salaminą.

Po kilkudziesięciu krokach Jan bardziej usłyszał, niż poczuł rozchlapany wodę. Zrozumiał, że jeśli nawet w owej chwili żywioł nie sięga mu do połowy łydek, dalej może być gorzej. Utonąć, nim się zostanie zabitym przez demona? To wydawało się konfederatowi losem nad wyraz nędznym. Chwila biegu orzeźwiła też myśli mężczyzny. Wróciła mu jasność myślenia.

*Nie ujdę mu, choćby najpierw gonił króla. To olbrzym, jednym krokiem przemierza łaskę ziemi. Ucieczka nic nie da, tylko obrona jest ratunkiem!* Stanął, chwycił rękojeść święconego sztyletu i odwrócił się z rozpacziwą odwagą.

– Zdrowaś Mario... O...

Głos uwiądnął mu w gardle, i dobrze, gdyż prawie zacytował ostatnią kwestię króla. Jan Kuźma patrzył w dal i zdumiało go to, co widział, albo jeszcze bardziej: czego nie widział. Oto demon nie ruszył za nim w pogoń, nie ścigał też Poniatowskiego. Właściwie nie ruszył się w ogóle, ale jego łopaty powoli kręciły się na zimnym wietrze.

Dół, lewo, góra, prawo. Dół, lewo, góra, prawo. Z potężną stałością, lecz bez cienia widocznego skutku, śmigła wielkiego koźlaka kręciły się w powolnym, ale nieustannym ruchu. Jan przypomniał sobie nawet stosowny fragment z odprawy Łukawskiego. Tłumaczył on podczas drogi, że:

– Cała ta okolica na północ od miasta to wielkie skupisko młynów wodnych i powietrznych, tak że chyba dziesięć młynów można w okolicy naliczyć, a w dodatku otwarte pola sprawiają, że wiatrowe koźlaki w wietrzne dni jeszcze więcej mąki mielą. Do tego rzeka Rudawka rozlewa się tam szeroko. Dlatego trzeba wybrać drogę ucieczki na południe, wprost na zachód czy wprost na północ, bo na tych łąkach utknąć na dobre można.

Wspominając te słowa, Jan chciał naraz śmiać się i płakać. Oto po wzięciu za duchy ojców kamedułów nazwał wiatrak demonem, zupełnie jak ten hiszpański szlachcic, o którym opowiadał tyle jeden z przybyłych z zachodu ojców częstochowskich. Stał tak na środku łąki przez dobre trzy pacierze, nie wiedząc, czy dziękować w modłach za niespodziewane ocalenie, czy złorzeczyć, jeśli nie Bogu, to własnej głupocie. Potem jednak zadał sobie bardzo poważne pytanie: co się stało z królem?

Musiało być źle, bardzo źle, skoro monarcha nie krzyczał. Jan ruszył do biegu powrotnego, szybko rozpędzając się do prędkości wyższej niż jego poprzednia ucieczka. Przebiegł przez groblę (mijając niemego, drewnianego demona) i wskoczył w mokradło po południowej stronie. Nie słyszał żadnego innego ruchu niż chlupot jego nóg. Nie widział też Poniatowskiego. Jak się okazało, mgła zeszła z wyższych partii powietrza, ale nad samą wodą unosiła się niczym kozuch na wielkim garnku mleka.

– Panie! – krzyknął z rozpaczą. – To nie demon! Wracamy!

Ale odpowiedziała mu cisza, a właściwie cisza przerywana odległym biciem dzwonów i chlupotem wody pod stopami. Jan usiłował przypomnieć sobie, w którą stronę dokładnie pobiegł przerażony monarcha. Zakładając, że wybrał kierunek południowy celowo, niemal na pewno zmierzał ku światłom na rogatkach. Ale jeśli skoczył w przypadkowym kierunku, pchany nie rozmysłem, ale strachem? Kuźma się zatrzymał i zaczął nasłuchiwać.

Tak, coś pluskało przed nim, może z pięćdziesiąt, może sto łokci dalej. Gdzie? Tego już powiedzieć nie było sposób, gdyż ta cienka warstwa mgły pokrywała całą powierzchnię łąki. *A skoro go nie widzę, to znaczy, że właśnie się topi!* – pomyślał Jan.

Musiał zmienić sposób działania, i to szybko. Podbiegał kilka kroków, przystawał i słuchał. Potem ruszał ku domniemanemu źródłu hałasu i stawał znowu. Ale po krótkiej chwili wszelkie dźwięki zamarły i Kuźma słyszał tylko odległe bicie dzwonów.

– Panie! Panie! Czy ja cię zabiłem? – zapytał mgły. Ta, jak łatwo się domyślić, nie odpowiedziała. – Panie, wybacz! Boże, wybacz, że nie wypełniłem swojej misji! Zawiodłem jako twój sługa i obrońca ojczyzny. Nie trzeba się było porywać ponad swoje miary. – A potem dodał kapiącym wściekłością tonem: – A najgorsze, że teraz zamiast uciekać, muszę znaleźć ciało i pogrzeb zgotować. Złapią mnie marszałkowskie psubraty jak nic.

Ale gdy zrobił kolejny krok, coś chwyciło go za kostkę, a Jan ryknął i odpowiedział tak, jak podpowiadał odruch.

Mimo tego, co się stało owej nocy później, mężczyźni nie wrócili już do tematu. Nawet jeśli będą potem zdradzać intymne historie, odsłaniać zakamarki swoich zmordowanych duszy, nie wyjaśnią już nigdy, co zamierzał Stanisław August Poniatowski, łapiąc porywacza za nogę.

Na tym etapie dochodzenia możemy spekulować. Najmniej prawdopodobna jest teoria ataku. Jeśli nawet król chciał obezwładnić porywacza, raczej nie zakładał, że zrobi to samodzielnie. W dodatku atak przemoczonego i zziębniętego monarchy miałyby charakter jedynie odważnej deklaracji, uroczystego wypowiedzenia wojny całej rzeczywistości. Być może król działał pchnięty odruchem, w jego wymęczonym umyśle powstała iluzja mocy i pragnienie choćby częściowego odplacenia za dotychczasowe zniewagi, śmierć Jerzego i tuzin guzów i otarć na całym ciele? Nie wiemy, ale nie sądzimy, by tak było.

Być może król, porządnie podtopiony, chciał tylko złapać kostkę konfederata jak topielec, co na morzu gotów chwycić się nawet brzytwy, byle ujść ciągnącej go w odmęty sile. W tym wypadku trudno mówić o jakimkolwiek rozumowaniu i zbędne jest dalsze dociekanie.

My jednak uważamy, że najprawdopodobniejsza jest możliwość trzecia, która dobrze pasowałaby do owej nocy, a jej dalszy rozwój – do charakterów Stasia i Jasia. Sądzimy, że król chciał sprawić swojemu porywaczowi psikusa. Siedział, a właściwie leżał w wodzie dość długo, gdyż kiedy tylko pojawił się, że ucieka nie przed potworem, ale przed budynkiem, całkowicie odzyskał rezon. Dlatego się przyczaił, ignorował wołania konfederata i czekał, aż ten wejdzie w zasięg jego ramion. Potem zaś chciał chwycić Kuźmę za nogę i powiedzieć:

– A kuku!

Nie powiedział. Kiedy złapał łydkę Jana, ten błyskawicznie podniósł nogę i godnym konia kopniakiem trafił w głowę napastnika. Królewski rubaszny czerep nie wytrzymał trzeciej w ciągu dwóch dni zniewagi. Poniatowski stracił natychmiast zmysły i runął twarzą w wodę.

– Jezu! – krzyknął Jan, widząc nieruchome plecy monarchy.

Padł na kolana i chwycił obezwładnionego jeńca. Podniósł jego głowę, po czym klepnął mocno w plecy, prowokując wymioty. Nic jednak się nie stało, a Kuźma

zrozumiał, że Poniatowski nie oddycha. To popchnęło Jana do dalszych działań. Wrzucił wiotkie ciało więźnia na plecy i ruszył z powrotem ku grobli. Mimo dodatkowego ciężaru kolejny raz przebył drogę błyskawicznie. Już po kilkunastu uderzeniach serca rzucił króla na twardą ziemię, po czym zaczął uderzać w jego piersi, jak to ponoć czynili marynarze, by ratować topielców.

Widząc, że zabieg ten nie przynosi rezultatu, chwycił władcę za nogi i podniósł go tak wysoko, jak mógł bez stracenia równowagi. Ciało króla nadal było przerażająco miękkie i poddawało się każdej torturze, nie wyłączając trzęsienia nad groblą.

W końcu zupełnie zrozpaczony Jan chwycił kostki Poniatowskiego jeszcze mocniej i zaczął swoim brańcem kręcić. Niczym starożytni dyskobole albo szkoccy sztukmistrze rozpędził swój cenny ładunek, jakby ten był gigantyczną procą. Przez niezwykle krótką chwilę zastanowił się, co poczuje król, gdy ocknie się w tak niezwyklej pozycji, ale potem skupił się na utrzymaniu chwytu, co ze względu na niedopasowane i mokre buty jeńca było znacznie trudniejsze, niż przypuszczał.

Gdy już tracił resztki nadziei, poczuł, jak ciało Poniatowskiego sztywnieje i wstrząsa nim dreszcz. Nim zatrzymał diabelską karuzelę, król wyrzucił z ust wodę i resztki tego, co było jego ostatnim posiłkiem i napitkiem. Kiedy Kuźma stawiał go na ziemi, monarcha najwidoczniej nie wiedział, gdzie się znajduje. Ba! nie zrozumiał swojej sytuacji i jeśli nawet poznał Jana, pojął jego gest opacznie.

– Abdykuję! Przysięgam, abdykuję! – wołał pomiędzy kolejnymi torsjami.

– Panie! – zawołał Kuźma radośnie, tuląc do szerokiej piersi monarchę. – Żyjesz! Bogu niech będą dzięki!

Kiedy jednak Kuźma postanowił postawić jeńca na nogi, okazało się, że sąd o odzyciu króla został wydany na wyrost, żeby nie powiedzieć *in absentia*. Gdy Poniatowski miał stanąć na własne nogi, zapadł się jak szmaciana lalka, lecąc porywaczowi przez ręce. Gdy Jan kładł władcę znów na ziemi, usta Stanisława Augusta pokryły się pianą, ręce zaczęły drżeć jak u chorego na padaczkę.

Jan, który w oddziale Józefa Sawy służył jako pomocnik medyka, wiedział sporo o ludzkim cierpieniu i śmierci. Silne ramiona Kuźmy wiele razy trzymały rannych przy amputacjach, ale i oczy widziały zwiastuny niechybnej zguby na ciele pacjentów. Znał też stan porażenia, który widział u Augusta. Wychłodzone ciało, zmęczone ranami i marszem, po prostu odmówiło dalszej służby.

Czasem działo się to od upływu krwi, czasem od chłodu, a zdarzały się wypadki, że w stan takiego ostatecznego wzburzenia ciała wprowadzał człowieka zwykły strach. Jan wiedział, że król doświadczył każdego z tych trzech terminów, dlatego miał jak najgorsze przeczucia co do stanu pacjenta. Oceniał, że za kilka dziesiątek różańca monarcha wejdzie tak daleko w mrok śmierci, że nic go już do życia nie przywróci.

Wziął króla na ramiona i przytulił do piersi jak dziecko. Potem zaś ruszył biegiem ku wiatrakowi. Uderzył w drzwi; te na szczęście nie były zamknięte. Wdarł się do środka. Wnętrze koźlaka było zupełnie puste. Sam trzpień konstrukcji i kręcące się powoli żarna otaczały tylko puste worki i zwały grubych belek.

Jan nie spodziewał się luksusowo wyposażonej sypialni, ale liczył na piecyk czy choćby miejsce na palenisko. Niczego takiego nie znalazł, a na rozpalanie ognia czasu nie było. Dlatego tylko chwycił brudną derkę i owinął nią swego brańca. Musiał szukać zbawienia gdzie indziej.

Niosąc owiniętego niczym poczwarka w kokonie Stanisława Augusta, wybiegł na zewnątrz. Rozglądał się przez chwilę po łące, po czym uznał, że jego najlepszą szansą jest dotarcie do młyna.

Wiatraków nie budowano w Polsce wiele, może z wyłączeniem krain nadmorskich, Inflant i Pomorza. Niemal zawsze łapacz wiatru tylko uzupełniał moce młyna wodnego, stawianego na każdym rzeczonym progu. Kuźma wiedział, że płynęła tu rzeka, wiedział, że tutejsze młyny zaopatrywały w mąkę całą Warszawę, a nawet wysyłano biały proch daleko, do Torunia i Gdańska. Ziarno mielono praktycznie cały rok, poza dniami najsroźszych mrozów. Skoro na łące stał koźlak, w okolicy na pewno znajdował się działający młyn wodny.

Dokąd jednak należało iść? Jak na złość wiatr przestał wiać i przez te kilka pacierzy, gdy Jan szukał ratunku w środku wiatraka, mgła znów wspięła się wyżej. Sięgała już Kuźmie do ramion, więc ponad białe morze wyglądała tylko głowa porywacza i zawinięty w derkę król. Jan pomyślał nawet, że z pewnej perspektywy monarcha wyglądał jak sunący przez odmęty wąż wodny z legend o świętym Kolumbanie. Skojarzenie to rozśmieszyło go na tyle, że wydał z siebie stłumiony śmiech przypominający parsknięcie konia. Za to niesforny umysł podsunął absurdalną rymowanekę: Wąż rzeczny, tududu tududu, jest niebezpieczny, tududu, tududu...

– Szaleję! – trzeźwo ocenił konfederet i skupił wszystkie myśli na szukaniu drogi.

Niby mógł znaleźć koryto rzeczki, idąc po prostu ku głębszej wodzie. Jednak oznaczało to poważne ryzyko: mógł ugrzęznąć w błocie, wpaść do rzeki i ostatecznie wychłodzić króla, albo i siebie. Choć Kuźma był silny jak Samson, w owej chwili czuł się jak świeżo ostrzyżony. Jego siły też znajdowały się na wyczerpaniu. Dlatego został na grobli. Ostatecznie ktoś ją usypał i utrzymywał, a w dodatku z wiatraka korzystano. Trzeba tu było przywieźć ziarno i zabrać mąkę, dlatego Kuźma liczył, że idąc dalej drogą, dotrze do jakichś zabudowań.

Był to hazard, gdyż król potrzebował ciepła natychmiast. Jeśli porywacz zgubiłby drogę albo młynarz okazał się równie niechętny pomocy bliźnim co agent z karczmy w lesie, drugiej szansy mógłby nie dostać. Ostatecznie uznał, że warto porzucić wszelką dumę i ostatnie opory. Nie zwalnając, zrobił głęboki wdech i krzyknął z całych sił:

– Ludzie! Ludzie! Pomocy!

Jego krzyk szybko ugrzązł we mgle i Kuźma nie był nawet pewien, czy głos dotarłby na skraj lasu. Odpowiedziała mu cisza, zawołał więc jeszcze raz. I wtedy usłyszał odpowiedź. Nie wiedział, skąd dochodziła, nawet nie był pewien, czy nie odpowiadał mu głos szaleństwa.

– Pomogę! Pomogę! – dobiegał głos.

Kuźma zatrzymał się i obrócił na pięcie, szukając źródła. Nie było to proste, ponieważ jedno ucho konfederata było zablokowane cennym pakunkiem. Okrywająca króla derka była śliska i mokra, dlatego Kuźma nie odważył się odsunąć od głowy. Po pierwszym obrocie nie usłyszał już niczego. Ruszył więc dalej, ale...

– Chryste!

Kuźma poczuł w głowie zamęt, a w nogach wielką słabość. Co najgorsze, nie był pewien, w którą stronę patrzy. Wydawało mu się, że zrobił jeden obrót. Ale równie dobrze mógł się okręcić o pół lub półtora. Wokół kłębiła się mgła zakrywająca miejską lunę, księżyc i wszelkie zarysy terenu. Zrobił więc kilka kroków i przekonał się, że jego obawy były zasadne. Dotarł do krawędzi grobli, a to oznaczało, że albo wał skręcał, albo Kuźma faktycznie zgubił drogę. Ta druga

możliwość wydawała się bardziej prawdopodobna. Ale w którą stronę należało teraz iść? Gdyby Jan zawrócił, straciłby cenny czas.

– Ludzie! Pomocy! Giniemy! – powtórzył swój zew. I znowu otrzymał odpowiedź.

– Nie trać ducha, wędrowcze! Zawierz Bogu, jak ja, grzesznik, zawierzyłem.

– Gdzie jesteś? – zawołał konfederat.

– Nie wiem, porwali mnie – odparł głos. – Draby barskie mnie pochwyciły i teraz owinęły w całun, i na zatracenie niosą.

– Panie? – zapytał Jan. – To ty?

– Janie? – Kuźma zatrzymał się i delikatnie potrząsnął ładunkiem. – Janie, co się dzieje?

– To ty wołałeś?

– Tak, ale się nie obrażaj. Uratują nas. Ktoś tu jeszcze zaginał.

Kuźma westchnął i ruszył dalej, ignorując malignę króla. Po chwili stwierdził, że idzie w dobrym kierunku, gdyż nie wyczuwał na ścieżce własnych śladów. Nie było to jednak wielkim pocieszeniem. W głowie porywacza nadal się mieszało, król na ramieniu stawał się coraz cięższy.

*A gdybym go rzucił w wodę? Poszedłby na dno od razu, a jeśli nie, toby umarł szybko od chłodu. Pewnie by go znaleźli, może i za dzień lub dwa, ale ja bym mógł ujść. Nikt nie szuka mnie, gwardia szuka króla. Byle dotrzeć do Zakroczymia albo Nowego Miasta. Potem Toruń lub Gdańsk i można ujść wszędzie. Generał Pułaski mówił, że ma jakichś przyjaciół w angielskich koloniach w Ameryce. Jakoś bym się tam dostał, a potem – spokój!*

I był już bliski porzucenia królewskiego ciężaru, kiedy stanął przed jego oczyma Żyd z karczmy. I zadrżał, w duchu, rzecz jasna, bo jego ciało trzęsło się z zimna już od dawna. Wspomniał, jak blisko był, aby zgubić duszę. Wtedy. A ledwie dzień później chciał zgubić inną mimo znaków na niebie i na ziemi.

*Panie, zlituj się nad grzesznikami! – rozpoczął niemą modlitwę. Nad moją duszą, raptusa i awanturnika, ale i nad nim, zwłaszcza nad królem naszym fałszywym, który umrzeć na moich rękach nie może. O Panie, nie dopuść duszy na potępienie, bo on niczym ten Żydowin z karczmy, którego mi ubić nie pozwoliłeś, do piekła by od razu poszedł. Okaż swą moc i uratuj kolejną duszę.*

I Bóg musiał wysłuchać szczerých modlitw grzesznego sługi, a zapewne nawet wzruszyć się nad bezinteresownością Kuźmy, gdyż w owej chwili do oczu Jana



dotarło światło. Właściwie nawet nie światło, ale mdły blask, gdzieś daleko na grobli. *Daleko, zbyt daleko!* – pomyślał, ale szedł dalej, mając nadzieję, że to tylko złudzenie przytępionych zmysłów i iluzja tworzona przez mgłę. Światło mogło być znacznie bliżej. *Mogło być też błędnym ognikiem, który na bagnach kusi podróżnych* – przemknęło mu przez myśl, ale potem zdał sobie sprawę, że nie jest na bagnie, tylko na rozlewisku kilkanaście staj od granic stolicy wielkiego państwa. Potem zaś uzmysłowił sobie, że gdyby król zginął od zimna i głodu zaledwie kilka godzin drogi od swojej rezydencji, byłby z tego wstyd straszny na cały świat, i choćby z tego powodu należy owego losu unikać.

Szedł więc wytrwale, choć już znacznie wolniej, bacząc, aby nie stracić równowagi, gdyż upadek z tym królewskim krzyżem mógłby być jego ostatnim. Patrzył co chwila przed siebie, co chwila w dół, zastanawiając się, czy jednak błady ognek nie okazał się wytworem jego umysłu. Ale ten rosł, stawał się wyraźniejszy, a przez kłęby mgły zaczęło przedzierać się także szczekanie psa. Na ten dźwięk Janowi pociekła z oczu łza, a także – choć tego bardzo się wstydził – ślina.

– Ratunku! Pomóżcie, jeśli Boga w sercu macie! – zawołał Jan, celowo i bardzo politycznie układając tę prośbę, na wypadek gdyby otworzył mu nie chrześcijanin, ale starozakonny.

Dotarli do zabudowań młyna. Nagle grobla się rozszerzyła, a z mleczych oparów wyłoniły zręby budynków. Spichlerz, stajnia, wozownia oraz sam młyn, solidny, dobrze murowany, dwupiętrowy. Był on chyba jednocześnie warsztatem pracy i rezydencją rodziny młynarza, gdyż światło pojawiło się już w trzech oknach, a z pierwszego piętra zaczęły wyglądać głowy ciekawskich dzieci.

– Kto idzie? Stójcie! – zawołał tęgi mężczyzna, wychylający się przez okno na parterze. – Mam broń i strzelę!

Jan pomyślał jeszcze, że tyle oręza, i to w rękach gminu, nie świadczyło dobrze o spokojności życia w okolicach Warszawy. Podobny widok byłby normalny na Dzikich Polach, czy nawet w Białowieskiej głuszy, ale obok stolicy słabego, acz dumnego państwa zakrawał na kpinę z mocy Rzplitej. Ale on rozumiał tych ludzi i wiedział, że groźbą niczego nie wskóra.

– Wpuście, gospodarzu, mam ja rannego...

– Wiem jakiego! – przerwał mu młynarz. – Na pewno jesteście tymi obwiesiami, co karabiny od wojska skupują!

*Nie, my ich zabiliśmy!* – chciał odpowiedzieć Kuźma, ale się powstrzymał. Na głos dodał więc:

– Gospodarzu, słyszałeś, że konfederaci króla porwali?

– Polityka rzecz nie moja – odparł spokojnie młynarz. Jednak dodał z zaciekawieniem: – To od tego tak dzwony w Warszawie biły?

– Tak, gwardia szuka porywacza, który pochwycił Stanisława Augusta.

– I co ja mam do tego?

– Wpuść nas, gospodarzu. To my. Ja jestem porywaczem, a to król twój.

Młynarz mierzył przybyszów wzrokiem, widocznie nie dowierzając takowej deklaracji. Krzyknął coś do domowników, ale nie puścił strzelby, którą wciąż mierzył w konfederata.

– Nie ma czasu na wahanie, dobry człowieku – pośpieszył go Kuźma. – Król umiera.

– Załóżmy, że masz rację... Tak sobie wyobraźmy... Czy chcesz, aby król mi umarł w domu?

– To będzie wyglądało lepiej niż śmierć na podwórku – zauważył Jan. – Pościg dosięgnie nas najdalej rano, ale to od ciebie zależy, czy odzyska króla, czy jego ciało.

– To twoja wina, ty go porwałeś!

– Zostaw takie argumenta na sąd sejmowy.

– Skąd ja mam wiedzieć, żeście nie szaleńcy?

– Każ swoim dorzucić do pieca i grzać wodę. A potem patrz! – polecił porywacz.

I zaraz tak delikatnie, jak mógł, złożył derkę pod drzwi młyna. Odwinął jej poły i podniósł drżącego Poniatowskiego bliżej światła. Z pobliskiego okna gospodarz bez trudu widział twarz dostojnego gościa, która, niestety, w owej chwili dostojnie nie wyglądała. Trupia siność, splukana tylko rzeczną wodą krew i trawa tworzyły obraz utopca rodem ze starych klechd.

Młynarz krzyknął, kiedy król otworzył oczy, i krzyczał dalej, kiedy z ust monarchy wydobyły się ciche, ale wyraźne słowa.

– Wybaczcie mi chociaż wy, skoro Jerzy już nie może. Dajcie mi umrzeć w pokoju...

Zasuwa drzwi szczęknęła, a zawiasy skrzypnęły. Na zewnątrz wylegli młynarz, podrostek i młoda kobieta, wszyscy chwycili rannego i ruszyli z nim do izby. A Jan został sam kilka łokci od wejścia do młyna, niepewny, co robić dalej. Chciał położyć głowę na ziemi i zasnąć raz a dobrze, ale wiedział, że jego misja się jeszcze nie skończyła. Właściwie żadna z misji. Doczołgał się do progu otwartych drzwi, wspiał na framudze i ostrożnie wszedł w ciepło izby.

Zauważył małą, może pięcioletnią dziewczynkę, która miała już jednak dość rozumu, aby pomóc przybyszowi z zamknięciem drzwi. Potem poprowadziła go do izby sypialnej, gdzie właśnie rozbierano króla.

– Janie? Janie, co się dzieje? – wołał drżący monarcha.

– Wszystko będzie dobrze, panie. Jesteśmy uratowani – zapewnił porywacz, mając nadzieję, że nie kłamie.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Młyny pod Warszawą, zwłaszcza te nad rzeką Rudawką, pod tak zwaną Górą Marii, zdobyły sobie sławę daleko poza granicami Rzeczypospolitej. Wyrabianą tam delikatesową mąkę sprzedaje się do Petersburga, Wrocławia i Królewca, mimo wszelkich trudności w transporcie białego złota. Od razu zaznaczę, że jadłem chleb z owej mąki i muszę przyznać, że zachwytu nad tym produktem nie podzielałem. Owszem, w Warszawie chleby bywają złe i dobre, a te z najlepszych piekarni, choćby od Szylera, zasługują na najszczerze pochwały. Tamtejsze kołaczki wyrabiane są z mąki delikatnej i świeżej. Ale więcej, tak mi się widzi, zależy tu od kunsztu piekarza niż młynarza.

Sława marymonckiej mąki może się wiązać z tradycją zaopatrywania dworu królewskiego lokalną dumą warszawian, a może i z położeniem młynów, które znajdują się na urokliwych brzegach Rudawki. Dodałbym jeszcze ciekawostkę: oprócz wodnych młynów na polach na północ od Warszawy znajdują się też liczne młyny wiatrowe, choć proste (mieszkańcy zwą ten rodzaj budowli koźlakami), to należą do machin wielkich, niemal dorównujących wzrostem wiatrakom niderlandzkim. Kiedyś jechałem traktem zakroczymskim wieczorem i we mgle zauważyłem jedno z takich urządzeń. Krzyknąłem ze strachu, myśląc, że patrzę na wielkiego demona. Jednak jego cztery ręce okazały się śmigłami wiatraka.

## VIII

### Teraz, Petersburg

Kiedy Artem znów wkroczył do piwnic, zauważył, że sporo się tam zmieniło. Nadal tkwili tam strażnicy i dwaj dawni konfederaci, ale zniknęła atmosfera inkwizycyjnego lochu, za to pojawił się element szpitalny. Peszyński był przywiązany, ale już nie do krzesła, tylko do łóżka, a Frankemberg siedział bez żadnych więzów. Nadal patrzono na nich jak na więźniów, ale przez ostatnie godziny zostali zdegradowani z rangi królobójców do zwykłych podejrzanych o brak entuzjazmu wobec cara. Niby wina też wielka, ale car kazał być łaskawy.

A w owej chwili, gdy Paweł Romanow osobiście wkroczył do pełniących funkcję lochu pomieszczeń, więźniowie poczuli wagę owej łaski. Nie tylko Frankemberg zerwał się z krzesła, a potem uklęknął przed carem, lecz także niepokorny Peszyński szarpnął się, jakby chciał wstać z łoża. Potem syknął cicho przekleństwo, ale jakoś tak czule i z szacunkiem. Paweł Romanow nie udowodnił jeszcze, że może być dobrym cesarzem, ale zdał w oczach dawnego konfederata egzamin na porządnego tyrana.

– Kto tu mówi po francusku? – zapytał władca.

– Ja, najjaśniejszy panie! – odparł sierżant gwardii.

– To idź poszukaj pułkownika... jak mu tam... Herzoga i złóż mu raport. Nie wracaj przez godzinę.

– Tak, mój cesarzu – usłużnie i francusko zapewnił sierżant.

– A wy umiecie? Wam dam po rubelku złotym, jeśli się okaże, żeście uczeni.

Z nieskażonych pojęciem oblicz pozostałych żołnierzy car i Artem wnieśli, że mowa Racine'a i Pascala nie wykracza daleko poza mury Petersburga, zwłaszcza do domów przyszłych gwardzistów.

– A dobrze, zaoszczędzę kilka rubli – podsumował car, jeszcze po francusku, potem polecił w mowie ruskiej: – Wy możecie zostać. – Potem spojrzął na

klęczącego Frankemberga. – A tobie co? Wstawaj!

– Najserdeczniej dziękuję, wasza cesarska mość. Czy ma do nas wasza cesarska mość jakieś pytania? – Potem jednak od razu zrozumiał, że nie o to powinien pytać, by zdobyć przychylność władcy. – A jak się czuje najjaśniejszy pan, król... to znaczy były król?

– Już go na tamtym świecie sądzą! – odparł Peszyński. – Przed Sądem Bożym jego jedyną nadzieją jest wstawiennictwo Paniienki Najświętszej, której tyle za życia naubliżał.

Jednak wypowiedział te słowa po polsku, więc zrozumieli je tylko Frankemberg i Artem. Car nie mógłby się obrazić, nawet gdyby zamierzał traktować majaki dawnego konfederata poważnie.

– Król żyje – odarł car. – A kilku rzeczy chcę się dowiedzieć. Ale jeśli chodzi o twojego towarzysza... – Spojrzał wymownie na skrupowanego więźnia.

– Panie, wybacz mu! Od tylu lat twierdzy, a potem niespodziewanej łaski najjaśniejszego pana mu się tak w głowie pomieszało.

– Współczuję mu – odparł Paweł. – Choć moja matka... – wyraz „matka” brzmiał jak tępy miecz ocierający się o ciężki kirys – głosiła wszem wobec, że stosuje oświecone zasady i wprowadza w naszym państwie reformy, jeśli chodzi o opiekę nad lunatykami i histerykami, nie poprawiła ich doli ani o jotę. Już chyba więcej zrozumienia dla chorób duszy Rosjanie mieli za czasów Iwana Groźnego. – Artem gdzieś na końcu języka miał uwagę, że wówczas Rosjanie wyboru nie mieli, gdyż ci, którzy nie wykazali dość zrozumienia dla choroby władcy, kończyli jak carewicz Iwan, ale powstrzymał się od komentarza. Tymczasem Paweł kontynuował swój wywód. – Dlatego nie widzę ani moralnej powinności, ani tym bardziej sensu, aby gniewać się na umysłowo chorych, nawet gdy ich słowa wydają się obraźliwe czy zgoła okrutne.

– Carze, carze! Policzone są twe dni. Niebawem skończysz jak fałszywy król Ciołek, albo i gorzej! – oświadczył, wciąż po polsku, Peszyński.

– O czym on mówi? – zapytał Romanow.

– Ja tego nie powtórzę! – rozpaczliwie oświadczył Frankemberg.

– Wieszczy twoją rychłą śmierć, panie – odparł Artem.

– Ha, może i ma rację. Ale nie mówi nic ciekawego o swoich towarzyszach?

– Możemy go zapytać, po rosyjsku umie – zauważył Artem. – Sam najjaśniejszy pan z nim rozmawiał tuż po ułaskawieniu.

– Dobrze, nieważne. Ty, biedaku, przypomnij, jak ci na imię... – polecił Frankenbergowi.

– Teodat Frankenberg, najjaśniejszy panie – odparł były konfederat.

– Dobrze, uspokój się, ja tylko kilka pytań chcę zadać. Opowiedz mi, proszę, o tym... – poczekał, aż Artem podpowie mu na ucho tożsamość zamachowca – ...Janie Kuźmie, znanym też jako Jan czy Iwan Kosiński.

– A czegoż chcesz wiedzieć, panie? – zapytał zdziwiony konfederat.

– Kuźma! A to zdrajca! Wydał nas wszystkich, choć jego na męki nikt nie brał. Niby taki kozacki chwyt, a delikat, jak z marymonckiej mąki!

Car zrozumiał tylko słowo „marymonckiej”, ale to wystarczyło, aby skupił wzrok na leżącym więźniu. Odezwał się spokojnym i niemal przymilnym głosem.

– Dzielny wojowniku, czy powtórzysz, coś powiedział, po rosyjsku lub francusku? – Uprzedził tyradę klątw, która miała popłynąć z ust szaleńca, dodawszy: – Stanisław August nieżyw. Teraz już nikogo nie zdradzisz, opowiadając o swoich czynach.

– Ależ ja o tym zdrajcy Kuźmie to mogę opowiadać i na rozstaju dróg! Judasz sprzedajny! Osioł patentowany! Cham dla żartu jeno szlachcony...

– To on nie szlachcic był? – zainteresował się car.

– A gdzie tam... – Rosyjski szaleńca był nieco bełkotliwy i pomieszany z polskim, ale rozumieli go wszyscy z pokoju. Artem przez chwilę się zastanawiał, gdzie tkwił więc sens odsyłania znajomego francuski sierżanta, ale nie zamierzał kwestionować decyzji Romanowa. – To Kozak z Wołynia, co na Jasną Górę przybył prosto z oddziału Sawy-Calińskiego. Wtedy już Sawa był ubity, ale ponoć wcześniej, kiedy jeszcze został ranny na wypadzie pomorskim, to go nasz Kuźma od ran wyratował, bo nie był żołnierzem, tylko podręcznym medyka. No to go nasz regimentarz kazał uszlachcić, tak z miejsca, i się Kozak w Lacha zmienił, z dnia na dzień.

– To plotki, wasza cesarska mość – wtrącił Frankenberg po francusku. – Pewnie szlachectwo Jana świeżej daty, ale jak słyszałem, zasłużył się jeszcze w sześćdziesiątym dziewiątym w boju.

– Zdradził, zdradził... – wołał, a właściwie śpiewał skrępowany lunatyk. W pewnej chwili wybuchnął płaczem. – Wszyscy zdradziliśmy! Wszyscy się korzyliśmy! Kiedy na szafot ciągnęli Łukawskiego, to myśmy na kolanach modły dziękczynne wznosili, że to nie my. Wszyscy jesteście Judaszami!

Nie przerywali wynurzeń Peszyńskiego, ale Artem szeptał carowi na ucho kolejne szczegóły historii, a władca spoglądał na swoich więźniów z coraz wyraźniejszą konfuzją. W końcu nie wytrzymał i przerwał:

– Chwila, cóż to znaczy? Ty, Peszyński, ciebie skazali, boś wozów oddziałowi pilnował?

– Tak, panie – odparł były zamachowiec, nagle uspokojony. – I w tymem zadaniu zawiódł, bo na miejscu zbiórki zasnąłem i przegapiłem sygnały od Niemicza i Masłowskiego. Dlatego też mnie złapali i skrępowali bez walki.

– A ty, coś owej nocy robił? – car zapytał Frankemberga.

– No, niewiele, przysięgam. Ja miałem na czatach stać, a potem pościg mylić, ale Warszawy nie znałem, mój oddział się jakoś rozproszył, to straciłem towarzyszy z oczu i zabłądziłem. Złapali mnie, gdy nazajutrz chciałem opuścić stolicę.

– Toś nawet nie strzelał przy napadzie?

– Panie, nikt nie strzelał, prócz Kuźmy, co był narwańcem. Myśmy tylko krzyczeli, aby służba uciekła, i uciekła. No, prócz takich dwóch, cośmy ich też pogonić chcieli, ale Kuźma i Łukawski wyciągnęli szable i tragedia była. Chyba obaj przy królu od ran polegli. Panie, mówiłem to setki razy, jeszcze marszałkowi Lubomirskiemu, a potem żandarmom generała Bibikowa...

– Zdradziliśmy, zdradziliśmy... – wołał wciąż Peszyński.

– Dobrze, to już wasza rzecz – przerwał zniecierpliwiony Romanow. – Lepiej mówcie o tym Kuźmie. Co się stało, że on z początku na króla taki cięty, że go zastrzelić chciał, a potem sam go gwardii oddał? – Obaj więźniowie umilkli. Peszyński może z wysiłku i nagłego poruszenia nerwów, Frankenberg nie znając odpowiedzi. – Dlaczego król uratował tylko jego? Za co był mu wdzięczny?

– Tak po prawdzie, wasza cesarska mość, to król Stanisław prosił też w mojej, a chyba także Peszyńskiego sprawie – odparł w końcu Frankenberg. – Jakieś listy pisał do carycy Katarzyny i u ambasadora von Stackelberga o łaskę prosił. Tylko że bez skutku.



– Mógł tak prosić, aby skutku nie było – zauważył Paweł, gorsząc tym konfederata, który dotychczas okazywał idealne zaufanie wobec potęgi Rosji i jej przedstawicieli. – Ale nic to, powiedzcie coś więcej o tym Kuźmie!

– Panie, ale myśmy go po tamtej nocy dopiero w celi marszałkowskiej widzieli. I jakoś nie chcieliśmy rozmawiać.

Od drzwi piwnicy rozległo się pukanie. Gwardzista spojrzął na cara, a gdy ten skinął głową, wpuścił sługę z góry. Ten skłonił się ostrożnie, po czym oświadczył:

– Najjaśniejszy panie, król się zbudził. A w każdym razie coś mówi.

– Ale rozumie, co do niego mówią?

– Doktor Weiss powiedział, że pewnie lepiej już nie będzie.

– A to jednak Poniatowski żyje? – zapytał zawiedziony Peszyński. – Złego diabli nie biorą, jak widać.

– Wracamy – zdecydował car. Gdy ruszał do wyjścia, w drzwiach spotkał uczonego sierżanta. Na niezadane, ale oczywiste pytanie odparł: – Trzymajcie ich jeszcze, a jeśli do jutra nie zażądam inaczej, wypuście. Jeśli tak nas Bóg zaprowadzi, to chcę, aby byli na pogrzebie mojego ojca. W pierwszym rzędzie, w stroju porządnym, ale prostym, jak skruszeni poddani żegnający monarchę.

– To nie był prawdziwy król! – powiedział Peszyński po rosyjsku.

– Być może – odparł car. – Ale lepszego nie znaleźliście.

## Wtedy, roгатki Warszawy

Sebastian i Hieronim dołączyli do oddziału pułkownika tuż przed bramą powązkowską. Nikt nie był pewien, skąd dokładnie dochodziły wybuchy, ale kierunek północny albo północno-zachodni wydawał się świadkom prawdopodobny.

Przez czas miniony od alarmu na roгатkach zapanował pewien porządek. Przybyły posiłki straży marszałkowskiej, a demonstracje radości okolicznych mieszkańców zostały stłumione kilkoma gniewnymi okrzykami i groźbą użycia siły. Strażnicy nie mieli koni (tych kilka zostało skonfiskowanych przez gwardię), więc zgodnie z niemyim układem między Coccejim a marszałkiem Lubomirskim wartując tylko na roгатkach, przeszukiwali wszystkich wyjeżdżających z miasta, a obławę pozostawili wojsku.

Pułkownik skinął na Sebastiana, zapraszając go do rozłożonej na stole wartowni mapy.

– Jedziesz ze mną i kierujesz przeszukiwaniem lasu. Nie wiemy, kto strzelał, nie wiemy, czy król tam jest, ale musisz szybko zrozumieć, co tam zaszło. Jak jeńcy?

– Nie powiedzą już niczego wartościowego – powiedział, niemal szczerze, kapitan. Na szczęście dowódca nie dociekał.

Kiedy mieli już ruszać na północ, gwizdy i krzyki od strony ulicy Inflantskiej usadziły ich na miejscu. Zobaczyli wyłaniający się zza zakrętu wóz, oświetlony samotną latarnią, wypełniony po brzegi wiwatującymi strażnikami. Dzielni obrońcy króla otaczali więźnia, związanego i usadzonego na koźle.

– Mamy go! – krzyczeli. – Złapaliśmy.

– Co? Król znaleziony? – krzyknął Cocceji.

– No... król to jeszcze nie, ale wódz konfederatów. Ten Łukawski...

– Dawać go tu szybko! – polecił pułkownik.

Sebastian i Hieronim przecisnęli się przez otaczających wóz strażników i sprawnym ruchem przejęli jeńca. Skrępowany i zakrwawiony na twarzy

konfederat milczał i tylko dyszał ciężko. Trudno było stwierdzić, czy się bał, czy tylko wstrząs emocjonalny (i solidne uderzenie w nos) odebrał mu mowę i wolę walki.

– Dajcie go tu! Żubrowski, pociągnij go za język.

Szybko posadzono więźnia na krzesło, obłano go wodą, a potem napojono wódką, gdyż drgawki brańca zwiastowały wychłodzenie organizmu. Sebastian kazał nawet okryć go kocem i przysunąć ruszt z węglami. Pierwotnie chciał tylko rozgrzać Łukawskiego, ale miał też nadzieję, że zarówno sam konfederat, jak i strażnicy (w których oczach nielecho stracił autorytet) potraktują to jako zapowiedź tortur.

– No, bratku, gdzie król?

– Nie wiem... nie ma ich – wyszeptał konfederat i powrócił do poprzednich zajęć, to jest drgawek i głośnego dyszenia.

Do strażnicy wszedł wtedy kurier z rogatek marymonckich i powiedział niepewnie:

– Złapali ośmiu przy koszarach gwardii koronnej.

Sebastian zamarł, usłyszawszy te słowa, a po kilku uderzeniach serca porzucił więźnia i podbiegł do stołu. Na mapie zaczął wtykać gwoźdźniki w różne miejsca na planie miasta.

– Jezu, Jezu... co się dzieje? – szeptał gorączkowo. – Ośmiu tu, sześciu na Woli, łącznie siedmiu następnych od Miodowej na północ i czterech widziano uciekających bez króla... Nawet jeśli ich były cztery tuziny...

– Co tam mruczysz, Żubrowski? – zapytał Cocceji.

– Panie pułkowniku, to sensu nie ma! Przecież schwytaliśmy większość porywaczy.

– I?

– I nie mamy króla. To niepojęte, aby ci szubrawcy stracili połowę sił i kontynuowali akcję, a my nie chwyciliśmy żadnego tropu.

Walenty Łukawski zaczął płakać. Nie patrząc ani na śledczego, ani na rozgrzane węgle, jakby zapadł się do środka i wbił wzrok w ziemię. Hieronim odruchowo poklepał go po plecach, ale natychmiast zaprzestał czułości, spiorunowany wzrokiem pułkownika i Sebastiana.

– Na Boga, bracie, ratuj się! – krzyknął Żubrowski. – Powiedz, gdzie król, a uratujesz głowę. Przysięgam ci, że jeśli wskażesz, gdzie jest Stanisław, zachowasz życie, a jeśli nie, to cię na szafot powleką! – Łukawski nadal płakał. – Człowieku, zlituj się, jeśli nie nad sobą, to nad żoną i dziećmi!

Konfederat podniósł załzawione spojrzenie na śledczego. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie, ale i swoisty spokój. Przez zaciśnięte gardło powiedział tylko:

– Czyli go nie macie... No to już nie dostaniecie.

– On nic nie wie! – syknął Żubrowski, po czym osunął się na podłogę i usiadł obok krzesła. – Nie ma pojęcia gdzie jest król.

– No, Żubrowski, działaj! Jaki oni mają plan? – warknął Cocceji.

– Nie było planu. On nic nie wie. Nikt nic nie wie! – dodał kapitan, złapał się dłońmi za uszy. Wyglądał jak Łukawski jeszcze kilka chwil wcześniej.

– Jak to: nie było planu? To z kim jest król?

– Panie, nic tu nie zdziałamy – wtrącił Olszowski. – Zostaw więźnia, jedźmy zbadać te strzały w lesie pod Polkową Górą. Może się wyjaśni.

– Jezu, patałachy! – syknął pułkownik, nie precyzując, czy ma na myśli porywaczy, czy własnych gończych. Wyszedł ze strażnicy.

– Chodź, przyjacielu!

Hieronim delikatnie ujął pod rękę Sebastiana, po czym wyszli za zwierzchnikiem. Kapitan powtarzał tylko „Nic nie wiedzą! Nie ma planu!”, ale dawał się prowadzić towarzyszowi. Zostawili związanego Łukawskiego, który chlipał jeszcze chwilę, a potem, grzany żarem węgla oraz wlaną do żołądka okowitą, zasnął.

## Wtedy, marymoncki młyn

Król został rozebrany do naga, wytarty i położony na łóżku. Dodajmy: nie na łożu gospodarza, ale na dość zgrzebnym legowisku w magazynie między domem a młynem. Było to posunięcie bardzo roztropne – ponieważ gospodarz nie miał pojęcia, kogo gości, mógł różnie uzasadniać wyjątkowy odcień gościnności. Z jednej strony jeśli się okazało, że wpuścił pod dach kogoś znacznego, mógł wytłumaczyć, że specjalnie umieścił rannego w bocznym pomieszczeniu, aby tam nagrzać. Młynarz wstawił żeliwną kozę tuż przy łóżku i zapewnił zmarzniętemu nieznanemu dość czystą pościel. Z drugiej strony magazyn wyglądał nieco jak rodzaj celi i praktycznie nią był. Gdyby się okazało, że nocni przybysze byli zbójcami, konfederatami albo zbiegami podejrzanymi o napad na sojusznicze wojska moskiewskie, rano gospodarz mógłby pokazać, że przetrzymywał ich w zamknięciu.

Jan natychmiast dołączył do króla. Trzymał dwa (przemoknięte, ale nikt o tym nie musiał wiedzieć) pistolety zabrane bielańskim przemytnikom oraz poświęcony sztylet. Wiedział, że nic nie poradzi na surowe zasady młynarza. Dał się zamknąć w składzie, kiedy tylko zobaczył, że rodzina gospodarza przygotowuje jadło i łoże. Nim młynarz zamknął na dobre drzwi, Kuźma zatrzymał go mocarnym chwytem za ramię.

– Dobry człowieku, daj mi lampkę i papier jakiś. Muszę list napisać. Przygotuj też umyślnego.

– Czy to nie może poczekać do rana? – zapytał pan domu.

– Może. Ale dla ciebie i dla mnie lepiej, aby nie czekało.

– A dokąd posłaniec ma się udać? – zapytał zaniepokojony gospodarz.

– Na zamek.

W absolutnej ciszy młynarz wyszedł ze składu. Potem zamknął drzwi i zasunął zasuwę tak delikatnie, jakby się bał zbudzić nie dwóch zziębniętych nieznanomych, ale stado lwów. Gospodarz nie potwierdził wprost, że wierzy w opowieść gości. Z jego zachowania wynikało, że po wstępnym szoku działa bardzo sprytnie,

dopuszczając do siebie wersję zarówno o skruszonym porywaczu króla, jak i o konfederackim uciekinierze. Skoro jednak Jan kierował gońca na zamek, sprawa była poważna. W najlepszym wypadku młynarz nie tracił nic poza snem owej nocy. W najgorszym – wszystko. Nie mógł sobie pozwolić na żaden gest, który można by było uznać za afront wobec króla albo pomoc buntownikowi.

Jan nie miał jednak czasu martwić się problemami młynarza. Sprawdził, czy Stanisław August jest opatulony pierzyną, po czym zaczął jeść przygotowany dlań rosół. Nie był aż tak głodny, aby nie powstrzymać wilczego apetytu. Uznał jednak, że musi najpierw posilić siebie, aby nie zemdleć, jako że w nadchodzących godzinach to on miał się stać pielęgniarzem monarchy. Kiedy zaspokoił pierwszy głód i nieco rozgrzał ciało, zrzucił mokre ubranie i owinał się w dostarczoną przez gospodarza koszulę. Potem dopchnął łóżko króla do ściany, a samego Poniatowskiego (wciąż owiniętego w kołdrę niczym poczwarka w kokon) podniósł i oparł o ścianę. Zaczął go delikatnie karmić stygnącą już, ale wciąż ciepłą zupą.

Kiedy się upewnił, że Stanisław zaspokoił pierwszą z życiowych potrzeb, ułożył go na łóżku, a sam zabrał spod drzwi papier i węglowy rysik, wepchnięte tam przez młynarza. Wrócił do stołu z lampką oliwną i zaczął pisać. Na szczęście dostał trzy karty, gdyż po chwili podarł rozpoczęte pismo i zaczął od nowa.

Słudzy Moskwy i uzurpatora konkurowali z wielmożnym panem marszałkiem wielkim koronnym. Zapewnienie, że malowany zdrajca na tronie nie zostanie skrzywdzony, rywalizowało z zapewnieniem o ciężkim, ale stabilnym stanie najjaśniejszego pana. W końcu Jan zdecydował się na minimalistyczny przekaz.

Król ranny, acz żyw. Proszę odebrać go z młyna na skraju lasów marymonckich. Młyn znajduje się obok wiatraka, w rozlewisku rzeki zwanej Rudawką. Gdzie dokładnie, proszę zapytać pościa.

Kosiński

Podpisanie owej wiadomości pseudonimem niewiele zmieniało w sytuacji Jana, ale ten uznał, że uniknie choć części hańby, nie prezentując swego, może świeżej daty, ale uszlachconego nazwiska. Przez chwilę Kuźma się zastanawiał, czy nie poprosić króla o podpis potwierdzający wiarygodność przekazu, ale monarcha spał głęboko. Dlatego porywacz zapukał w drzwi, a potem wsunął wiadomość w szparę pod nimi. Tak jak przypuszczał – albo sam gospodarz, albo ktoś z rodziny czuwał cicho po drugiej stronie. Karta natychmiast została zabrana.

Jan wrócił do stołu, zjadł resztę zupy i chleb, po czym zaczął mościć sobie posłanie. Z kilku derek ułożył legowisko tuż obok łóżka króla. Po kilku zdrowaśkach porzucił ten zamiar. Nie chciał zasnąć i zostać tak zastany przez gwardię lub strażników marszałka. Poza tym teraz to on był królewską gwardią.

– Janie... nie śpisz? – zapytał Poniatowski.

– Nie, czuwam, panie – odparł konfederat. – A ty czemu nie śpisz?

– Głowa mnie boli. I chyba zapaskudziłem krwią łóżko... – Po chwili dodał, delikatnym tonem: – Nie przejmuj się, nie żywię urazy. I ta cała rana to nie od twoich brewerii, tylko z mojej głupoty. Czy mogę ci zdradzić tajemnicę? Popęlniłem straszny grzech.

– A bo jeden... – zaczął Kuźma, ale potem dorzucił surowym tonem: – Proszę nie przesadzać, panie. Wyżyjesz, do księdza na pewno doczekasz, a chyba do zdrowia wrócisz niebawem. Nie ma potrzeby mi się spowiadać.

– Księżdu to ja nie powiem – odparł król. – Bo się boję... Boga się boję, choć wiem, że kłamstwa i tak się przed Nim nie ukryją.

– To jednak pan w Boga wierzy? – zapytał nieco skonfundowany Jan.

– Dziś tak. I chciałbym dłużej, ale pewnie nie da rady. Ale Bóg naszych ojców i dzisiaj był z nami... A w każdym razie z tobą. Nie dał ci wypełnić planów, ale życie nam darował, i to cztery razy. Mnie pięć, jeśli liczyć, że tyś strzelił, ale inna ręka kulę prowadziła.

– Jednak najjaśniejszy pan mi nie daruje...

– Dobrze, już kończę te wypominki. Powiem tylko, że ty albo któryś z twoich towarzyszy zabiliście wczoraj odważnego człowieka. Lepszego ode mnie. I żałuję, że to nie mnie dosięgły wasze ostrza.

– Pamiętam. Tylko dwóch przy najjaśniejszym panu wytrzymało. To kim był ten, którego usiekliśmy?

– Mężem mojej kochanki.

– Może jednak najjaśniejszy pan spróbuje zasnąć?

– Mówię ci to, abys wiedział, że jestem grzesznym człowiekiem. Nie dam ci skrzywdzić.

– W to to chyba sam pan nie wierzy – odparł wciąż siedzący na derkach i oparty o łóżko konfederat. – Nic od najjaśniejszego pana nie zależy. Katarzyna zażąda

mojej głowy do Piotrogradu przywiezionej w słoju, to ją dostanie. Zechce zrobić mnie senatorem, to zrobi. I wszystko odbędzie się zgodnie z literą prawa.

– Ja się zmienię, Janie – zapewnił król. – Nie porwałeś mnie na darmo. Od teraz będę lepszym królem. – Gdy przez kilka pacierzy Kuźma nie skomentował owej deklaracji, Poniatowski dodał: – Nie wierzysz? Zobaczysz, jak się wszystko zmieni.

– Dobrze, pewnie tak będzie – odparł konfederat głosem tak nieszczerym, że król Staś poczuł palącą mieszaninę gniewu i wstydu.

– A co ty możesz wiedzieć! – chciał krzyknąć monarcha, ale jego głos był na tyle słaby, że pewnie nie wydostał się za ciężkie drzwi składziku. – Nie jesteś królem i nie rozumiesz, co to znaczy. Mógłbym ci mówić godzinami, dniami o tym, co musiałem przeżyć. Bóg to widział i Bóg wie, będzie miłosierny.

– No to będzie – odparł Kuźma. – Ja nie jestem od wybaczenia za innych.

– Ja nie szukam rozgrzeszenia ani przebaczenia od ciebie... Chcę tylko, abyś, zanim podejmiesz jakiegokolwiek sądy, zrozumiał, jak to jest, gdy chodzisz w moich butach.

– To najjaśniejszy pan chodził w moich. Przynajmniej przez chwilę w jednym – zauważył Jan, unikając ciężaru tej metafory.

– Gdybyś był na moim miejscu, wybrałbyś tę samą drogę, dokonałbyś tych samych wyborów i pewnie skończyłbyś tak samo.

– To zaiste przerażająca wizja – zgodził się pojednawczo konfederat.

– Zrobiliście ze mnie... ty i wszyscy barzanie... kozła ofiarnego. Na mnie rzucacie winę za własne słabości. Ale gdybyś widział, jak to wygląda z mojej strony, wiedziałbyś, że moje intencje były czyste. I zanim zaczniesz myśleć o tym, na jaką karę zasługuję, wyobraź sobie, że to ty jesteś królem!

– Ja chodzę w butach najjaśniejszego pana – odparł Kuźma. – Naprawdę chcesz, królu, wiedzieć, jak ja to sobie wyobrażam? – Kiedy milczenie się przedłużyło, konfederat uznał to za potwierdzenie. – No dobrze... jeśli dobrze rozumiem, ranę na głowie zrobił najjaśniejszemu panu ten hajduk, po tym jak złapał najjaśniejszego pana *in articulo mortis*<sup>[4]</sup>...

– In flagranti – odruchowo poprawił Poniatowski. – Ale mów dalej.

– No, w łóżu cudzym. I chciał się z najjaśniejszym panem rozprawić, tak? Dlaczego najjaśniejszy pan uciekł?



– No boby mi głowę nadzieją rozłupał! – syknął król, po czym dodał: – Tak by było lepiej?

– Dla najjaśniejszego pana, dla męża czy dla Rzeczypospolitej? Być może dla wszystkich. – Milczeli długą chwilę, obaj niepewni, czy uciszyło ich zmęczenie czy zażenowanie. W końcu Jan kontynuował: – Chciałeś, panie, usłyszeć moje zdanie. Czasem nie da się niczego zrobić dobrze. Może wtedy warto zakończyć sprawę, nim się narobi więcej szkód. Albo chociaż przegrać z honorem.

– Jak konfederacja? – zapytał złośliwym tonem władca.

– Jak konfederacja – przytaknął poważnie porywacz. – Skoro mi się nie udało, to pewnie cały ruch upadnie, bo przecież armii królewskiej i carskiej w polu nie pokonamy.

– Nie jesteśmy tak bardzo od siebie różni – powiedział Poniatowski ciepłym tonem.

– Mam tego bolesną świadomość... Wybaczam ci, panie.

– Co takiego?

– Wybaczam, ale tylko za siebie – wyjaśnił konfederat. – Że mi najjaśniejszy pan ojczyznę sprzedał, choć ja musiałem sam zapracować na to, aby być Polakiem.

– A ty w ogóle nobilitowany jesteś? Czy naganieś sobie herb w jakimś sądzie?

– Co, proszę?

– Nieważne, Janie. Wierzę, żeś szlachcic, przynajmniej nie gorszy ode mnie.

Król bardzo chciał wyciągnąć rękę i położyć dłoń na ramieniu konfederata, ale nadal był omotany pierzyną, więc poruszył tylko niezręcznie kokonem. Jan zrozumiał ten gest, ale w żaden sposób go nie skomentował. Trwali więc dalej bez słów, aż rozległo się pukanie do drzwi.

– Proszę – odparł król, chyba nie zdając sobie sprawy, że wejście jest zaryglowane od zewnątrz.

– Tylko pytam, czy jeszcze czegoś panom potrzeba – rozległ się głos kobiety, nie wiedzieli: żony czy córki gospodarza.

– Zaraz do piecyka trzeba będzie dorzucić – powiedział Jan. – Potem coś do jedzenia przynieść, bo na samej zupie to i chłop uschnie, a co dopiero my. I powiedzcie: czy dawnoście posłali umyślnego?

– Jak tylko tatko list przeczy... to znaczy dawno – zapewniła młynarzówna.

Potem, zdemaskowana, natychmiast uciekła do domu, co słyhać było w jej pośpiesznych krokach. *Przynajmniej kogoś postali* – pomyślał Kuźma. Potem zaś przyszła mu do głowy myśl wysoce niepokojąca.

– Panie... czy sądzisz, że teraz Moskale chcieliby cię zmienić na innego króla?

– Skąd ten pomysł, Janie?

– No nie wiem. Toć nowa elekcja by była podczas wojny domowej. Naród się pobuntuje, powód, aby więcej wojska moskiewskiego sprowadzić. A najjaśniejszy pan, za przeproszeniem, to nieco skompromitowany jest, że go w jednym bucie ze stolicy porwaliśmy.

Kuźma wstał i sięgnął znów po pistolet. Drugą ręką podniósł zostawiony przez gospodarza stołek i przeniósł go pod ścianę. Usiadł skierowany ku drzwiom. Czego król nie zauważył, konfederat wybrał miejsce nie na wprost wejścia i opierał się o grubą belkę nośną. To znaczyło, że był chroniony zarówno przed ślepą salwą od drzwi, jak i strzałami z pistoletu przez ścianę. Nawet jednak nie rozumiejąc taktycznej wagi ustawienia zydelka Jana, Poniatowski przeczuwał, że jego kłopoty się nie skończyły, ba! zapewne eskalowały.

– Janie, co robisz?

– Nikt nas nie zna, potrzebują tylko kilku fałszywych świadków – odparł porywacz. – Zeznają, że to któryś z konfederatów zastrzelił króla, kiedy okazało się, że nie ujdą z Mazowsza.

– Ale ja przecież żyję... – zaprzeczył odruchowo Stanisław August, acz natychmiast zrozumiał, jak kruchy jest jego rozejm z przemijaniem. – Oni chcą mnie zabić? Ale von Saldern jest moim przyjacielem!

– Być może ktoś dybie na jego stanowisko. Ale śpij, panie, już na to nic nie poradzisz. Spróbuję dorwać tyłu moskiewskich siepaczy, aby ta maskarada nie uszła im na sucho.

– Nie będę spał, kiedy waży się moje życie. Daj mi jeden pistolet. – Widząc jednak dość sceptyczne spojrzenie strażnika, dodał: – Dobrze, znajdę sobie coś innego.

Z trudem wyplątał się z pościeli i zaczął chodzić po wnętrzu składziku. Szukał jakiegokolwiek broni, aby ostatecznie wybrać długi i całkiem solidny kij od miotły. Podpierał się na nim jak na lasce, wracając do łoża. W świetle łojowej lampki wyglądał jak wiejski dziad, zmęczony życiem i chorobą. Garbił się, jego krok był

niepewny i powolny. Rzucił za to na ścianę długi cień, który przypominał potwora albo czterorękiego demona, za którego wzięli marymoncki wiatrak.

Czasem nawet mali ludzie rzucają długie cienie. Jan zaś siedział przy ścianie, więc odbicia jego sylwetki nie dało się dostrzec. Był znacznie potężniejszy od króla, ale w półmroku magazynu nie miało to znaczenia.

– Jeśli po nas idą, chyba nie ma sensu się bronić – zauważył Poniatowski, siadając na łóżku. – Zawsze mogą podpalić cały dom.

– Mogą. Ale dzięki nam będą musieli. Nie znikniemy dowolnie w tej cichej nocy. Musimy walczyć. *Dum spiro despero*.

– ...*spero*<sup>[5]</sup>... Ale nieważne – przyznał władca. – Masz rację, Janie, ale ja jestem taki zmęczony. Chciałbym, aby się to wszystko skończyło.

– Niebawem się skończy, tak czy inaczej.

Kiedy Kuźma spojrział na króla, ten dostrzegł w oczach konfederata idealny spokój. Ale nie był to chłód rezygnacji, acedia straceńca, ale gotowość znana tylko świętym męczennikom wchodzącym na arenę. Dawni filozofowie nazwaliby tę pewność stoicyzmem prawdziwego wojownika, a wężsaci towarzysze zamachowca – prawdziwie sarmacką charakternością. Zapewne ów szlachcic urodził się w chutorze kozackiego kmiecia, ale nie ujmowało to nic jego obecnej dumie.

– Janie, pomodlimy się? – zapytał Poniatowski. – Albo ty się choć pomódl, jeśli ja nie mogę z czystym sercem.

– Grzeszyłem wiele i ciężko w ostatnich dniach – wyznał porywacz. – A prócz przewin mi wiadomych dziś dowiedziałem się od ciebie, że zabiłem co najmniej jednego człowieka bardzo zasługującego na życie. Chyba też ciężko mi się będzie modlić. – Słyszając to, król nieco się zdziwił, gdyż w ciągu ostatnich kilku godzin widział Jana wznoszącego modlitwy częściej niż on sam przez ostatnie kilka tygodni. Nie komentował jednak. – Może zamiast tego zaśpiewam ci, królu, nasz hymn konfederacji, w który mądrzejsi ode mnie ludzie włożyli sporo serca i rozumu. – I zaczął śpiewać ładnym, choć nienawykłym do występów solowych głosem: – *Krzyż mi jest tarczą, a zbawienie łupem, / W marszu zostaję, – choć i padnę trupem. / Nie zważam, bo w boju / Dla duszy pokoju / Szukam w ojczyźnie...*

Przerwało mu pukanie w ścianę i przerażony głos córki gospodarza:

– Ale panowie się teraz nie zabijają?

– Co takiego? – jęknął Poniatowski.

– No, bo szlachetni panowie to szaleńcy od czubków chyba – oceniła młynarzówna. – Ja nie mam nic przeciwko melancholikom, tylko przypominam, że samobójstwo to grzech straszliwy. A i proszę pomyśleć o nas: jutro przyjedzie straż marszałkowska i znajdzie trupy dwóch biednych szaleńców, z których jeden podawał się za króla. To prawie jak królobójstwo. Tatko nie wytrzyma i dostanie apopleksji – uznała dziewczyna, w głosie mieszając obawę i coś na kształt nadziei.

– Nie chcemy targać się na własne życia. Ani na cudze – wyjaśnił władca. – A jeśli ktoś tak potem powie, to proszę nie wierzyć. Czy możesz, dobra panno, przynieść nam więcej jedzenia? Najlepiej jakieś mięsiwo. – Kiedy kroki za drzwiami ucichły, Poniatowski nachylił się ku Kuźmie. – Ona nas podsłuchuje.

– Prawie na pewno. Nie wie, czy jesteśmy szaleńcami, rozbójnikami czy naprawdę królem i jego porywaczem.

– Doniesie, co mówimy...

– Komu? Moskałom? Przecież to ja przed chwilą ten pomysł najjaśniejszemu panu podsunąłem.

– I przekonałeś mnie!

– To był błąd! Ale nieważne już. Albo nas zabiją, albo nic złego się, przynajmniej najjaśniejszemu panu, nie stanie. Jak mówiłem, niedługo będzie po wszystkim.

Wkrótce drzwi się otworzyły. Bardzo dobrze, że król nie miał pistoletu, a pistolet nie zamókł; gdyby nie te czynniki, wchodzący do składziku młynarz mógłby odkryć w swoim ciele dodatkowy otwór.

Przez próg Jan dostrzegł, że młynarski parobek czekał w pogotowiu ze strzelbą. Kuźma docenił odwagę i takt gospodarza, który sam zaryzykował życie, odwiedzając potencjalnie groźnych gości, a przy tym nie zaniedbał środków ostrożności.

Właściciel młyna przyniósł im tacę z butelką wina i talerzem wypełnionym plasterkami sera i szynki. Nadal nie był to posiłek godny króla, ale też kolejny awans w dostojęństwie, pamiętając o niedawno przyniesionej odgrzanej z dnia zupie. Młynarz postawił wiktuwały na stoliku, burknął coś uniżenie i wycofał się ku drzwiom. Co warto podkreślić, tyłem, nie spuszczaając gości z oczu. Implikacji podobnej postawy król znieść nie potrafił.

– Chcą nas zabić! Na śmierć! – jęknął po francusku.

– Panie, ja w językach nieuczony. Polski, ruski lub łacina – zażądał konfederat.

Stanisław August podszedł do siedzącego stróża i nachylił mu się do ucha. Szeptał zrozpaczonym głosem, co chwila rzucając okiem ku drzwiom.

– Janie, nie jedzmy tego, bo to trucizna. A jeśli nie trucizna, to jakieś inne środki, co nas otumanią. Wtedy nas Moskale zwiną jak raki z saka.

– Królu, co mówisz? Po co nas mają usypiać? Po co truć? To zbytek zupełny. – Poniatowski odetchnął. – Jeśli nas mają zabić, to zastrzelą, aby na moich towarzyszy winę zrzucić. Nie wiem, jak najjaśniejszy pan, ale ja się najem.

Ostrożny monarcha ostatecznie przekonał się zarówno do serów, jak i wina. Jedli w milczeniu. Kuźma nie miał siły zabawiać swojego więźnia rozmową, król cały czas obawiał się inwigilacji. Jakość jadła i napitku pozostawiała wiele do życzenia, ale wygłodzeni wędrowcy nie narzekali. Obaj też poczuli kolejny napływ senności.

– Jednak nas uspili... – szepnął Poniatowski.

– Najjaśniejszy pan napił się wina niemal na pusty żołądek – zauważył konfederat. – Piecyk ciepły, łóżko prawie wygodne. Proszę spać, ja będę czuwał.

– Dobrze, dobrze... – Król zaczął się owijać pierzyną. – Powiedz mi tylko: dlaczego do spisku dołączyłeś?

– Jeszcze mnie nie aresztowano – burknął Kuźma. – Jeszcze nie czas na przesłuchania.

– Jestem ciekaw. Proszę, powiedz, czemu was ten piekielny Pułaski zwerbował.

– A co innego mieliśmy zrobić? Kiedyśmy najjaśniejszego pana zdetronizowali, to ponoć się z generalności konfederackiej tylko gazety w Prusach i Francji naśmiewały. Zebrać się do kupy nie możemy, bitwy żadnej Moskalom nie wydamy. A coś robić trzeba.

– Mogliście nic nie robić, awantur nie wszczynać. Katarzyny nie drażnić, Prusaków i Austriaków nie kusić. Inaczej nas rozszarpią...

– Będą nas imperia podskubywać, tak czy inaczej. Wiara, że idąc pod ruski knut, cokolwiek zyskamy, chyba nawet najjaśniejszemu panu nie wydaje się mądra.

– Ale to jedyna szansa! Katarzyna Rzeczypospolitej ze szponów nie wypuści, ale nas ochroni przed Habsburgiem i Prusakami...

– Dziwne, że mówią tak ci, którzy od Moskali jurgielt otrzymują – cierpko odparł Kuźma. – Kto pieniądze otrzymuje, ten do zgody woła.

– A ci, którzy pieniędzy chcieli, ale nie dostali, dziwnie skłonni, by wołać do broni.

– To racja. Są i tacy – przyznał Jan. – Ale tego nie jesteśmy pewni. Za to czy ktoś pensję przyjął, to sprawdzić można.

– Jeśli Moskale oddadzą Gdańsk Prusom, a Lwów Austriakom, to nie będzie moja wina, tylko awanturników takich jak twój generałowie.

– Może... winą najjaśniejszego pana to nic już nie jest. Nic zasługą także.

Poniatowski myślał chwilę nad odpowiednią retorsją, ale w głowie miał tylko pustkę. Chciało mu się spać, ale czuł też, że nim zaśnie do szczętu jego umysł, polegną duma, zaciekleść i chęć zaimponowania swojemu towarzyszowi. Dlatego też zmienił temat.

– A powiedz mi: co byście zrobili, gdyby się udało?

– My to znaczy mój oddział czy całość konfederacji?

– Całość.

– Ja się na polityce nie rozeznaję. Wiem, że sprawa jest dobra, i robię swoje. A coś zrobić trzeba. Na morzu, kiedy statek tonie, nie wolno słuchać tych, co mówią, aby nie bujać, bo się woda szybciej wlewa. Jeśli nie zadziałamy, utoniemy.

– Sam przyznałeś, że na polityce się nie znasz. Może jednak los się dla ojczyzny odmieni...

– Czekaliśmy siedem lat. Nie odmienił się.

Poniatowski chciał zapytać towarzysza, czy w sześćdziesiątym czwartym już był świadomym swoich obowiązków obywatelem, ale uznał, że jest to temat drażliwy, a dla przebiegu ich rozmowy właściwie zbędny.

– Ale gdyby się udało, to byłby czyn godny dumy lirycznej o czynach Jana Kuźmy i jego dzielnych towarzyszy... – Król pomyślał, że teraz konfederat zacznie wychwalać zalety członków swojego oddziału albo wręcz przeciwnie: pomstować na ich niekompetencję i zdradę. Ale usłyszał coś innego. – Muszę ich ratować. Nie wszyscy uciekną. Panie, musisz mi obiecać, że nie dasz ich zabić!

– Janie, oni cię zostawili...

– Być może, to ich przewina. Ja jednak mam obowiązki wobec towarzyszy. Jestem dowódcą... byłem dowódcą. Muszę dbać o swoich ludzi. Chcę, abys mi przysiągł, że nie pozwolisz ich skazać!

Poniatowski milczał dłuższą chwilę, kalkulując coś pilnie i patrząc na ręce Jana. W prawej konfederat wciąż trzymał pistolet (o tym, że przemokły proch nie wypali wiedział nawet monarcha), ale lewą położył na pasie, niebezpiecznie blisko sztyletu. Kuźma chyba nie chciał grozić więźniowi, zniszczyłoby to magię nocy. Z drugiej strony zastanawiał się, czy nie musi użyć groźby.

– To skomplikowane. Przestępstwa przeciw majestatowi rozsądza sejm.

– Teraz najjaśniejszy pan się sejmem przejmuje?

– Nie, ale tymi, którzy sobie w naszym sejmie posłów kupują jak sukno na pociejowskim targu.

– To się boisz, królu, że czegoś od ambasadora Salderna zażadasz, a on ci nie da...

– Nie drwij ze mnie, to poważny problem. Będę pośmiewiskiem sejmu, Moskali i ludu Warszawy. Nawet jak poproszę o łaskę, to jej nie udzielią. Lepiej, aby twoi kamraci uciekli sami.

– Jeśli ich ochronisz, dowiedziesz swojej siły. Jeśli pozwolisz zabić, pokażesz że jesteś kukielką. Tylko prawdziwy król może sobie pozwolić na wspaniałomyślność – odparł Kuźma, choć słyhać było, że retoryka nie jest jego ulubioną sztuką wyzwoloną.

– Ech, wiem, wiem, nie musisz mi powtarzać oczywistości. Zrobię, co w mojej mocy...

– Musisz zrobić więcej. Jeśli pokażesz, jakim jesteś władcą oświeconym, podążającym za wskazaniem filozofów, to i Katarzyna ci ust nie zamknie... nie przez swoich ambasadorów. Będziesz królem-filozofem, jak u tego greka, Paladyna... – Stanisław August z trudem powstrzymał się przed korektą – ...co rządzi w spokojności ducha i umysłu, znacznie ponad gniewem i zawiścią wobec poddanych. I ambasadorowi powiesz, że musisz przypodobać się Kościołowi, okazując miłosierdzie...

– A mówisz, że nie znasz się na polityce... – mruknął Poniatowski. – Dobrze, chyba zdołam to zrobić, o ile wszyscy okażecie skruchę. Jeden hardy więzień i z twoich rachub nici.

– Przekonam ich, aby zachowali się rozsądnie – odparł Kuźma, choć w jego głosie słyhać było zawód i niepewność.

Milczeli chwilę. Jaś dojadał, Staś osuwał się powoli w otchłań snu. Stracili poczucie czasu. Świt musiał się już zbliżać, choć jesienne ranki nie pomagały w ocenie godziny. Jan zmuszał się do utrzymania uwagi, co było coraz trudniejsze. Nie był jednak w tym staraniu sam, gdyż czuł wokół atmosferę czuwania. Niemal na pewno w domostwie nie spał nikt, może prócz małych dzieci.

Jan chciał obliczać przypuszczalny dystans dzielący młyn od zamku, ale z tych kalkulacji niewiele wyszło. Po pierwsze nie wiedział, gdzie dokładnie się znajduje, po drugie nie był pewien, czy gońca posłano konno, czy na piechotę. Jeśli prawdziwa była ta druga możliwość, zupełnie innym tempem poruszałyby się dorosły parobek, a innym chłopiec. Czy jednak młynarz puszczałby chłopca – nawet nie z rodziny, ale sługę – w las, w którym grasują wilki, słyhać strzały, a karczmarz mierzy do podróżnych z fuzji? Właściwie mógł o to zapytać słuchających za drzwiami wartowników.

Już wstawał, aby podejść do wyjścia, gdy zauważył, że król zasnął. Ostrożnie poprawił koldrę na monarszych plecach i delikatnie, niczym pieszcząca dziecko matka, ułożył jego głowę wyżej na poduszce. Dopiero potem wstał na dobre i już chciał ruszyć ku drzwiom, gdy jego mięśnie zmógł nagły bezwład.

*Może faktycznie jakichś proszków alchemicznych do wina dosypali?* – zastanowił się konfederat, walcząc o utrzymanie równowagi. Szybko zrozumiał, że jest to batalia skazana na niepowodzenie. Dlatego doczołgał się do rozłożonej obok leża derki i spoczął na tym prostym, ale wcale nie niewygodnym posłaniu. Powieki zaciążyły mu niczym ołowiane sztaby, a wspomnienia wszystkich przebytych kroków wysłały resztę woli do walki.

Nie widział już, jak drzwi do składziku się otwierają, a do środka zagląda córka młynarza. Dziewczyna przez kilka zdrowasiek wpatrywała się w śpiących gości, po czym dała znak komuś z tyłu. Do pomieszczenia wszedł parobek z lampą olejną i już nieco śmieiej podszedł do łóżka. Poświecił obu mężczyznom po twarzach. Potem pochylił się nad ręką Kuźmy, węsząc uważnie. Po takiej lustracji wycofał się z pomieszczenia.

Gdzieś do snu Jana przekradały się pojedyncze słowa z rozmowy, jaką młynarzówna i parobek prowadzili z gospodarzem. Uśpiony umysł wychwycił strzępy zdań.

– Ten wielki to awanturnik jaki, bo mu dłonie prochem śmierdzą. Ten drugi to elegant, choć też śmierdzi długą drogą i kąpielą w bagnie. Czy to może być król?



Jeśli tak, to biada krajowi, skoro takiego króla nam szlachta wybrała. Wiązać ich?

Młynarz patrzył na swoich gości i rozważał coś długo. W dłoniach zgniatał konopny sznur, w myślach bił się z różnymi, po części bardzo nieprzyjemnymi, możliwościami. W końcu powiedział cicho:

– Nie, nigdzie stąd nie uciekną, jeśli zabierzemy im ogień i zamkniemy drzwi. A co zrobimy rano, nad tym jeszcze pomyślę.

Tak zostawili Stasia i Jasia, zamknęli drzwi, zasunęli zasuwę i cicho wycofali się ku domowi, radzi nie patrzeć na takich obieżyświatów, którzy przynieśli im tyle kłopotów. W nocnej ciszy słychać było już tylko powolny obrót rzecznych łopat i chrzęst młyńskiego kamienia.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Jak to możliwe, że operacja tak ważna i zuchwała niemal udała się bez przemyślanego planu, prowadzona przez męża dzielnego, ale pozbawionego wielu koniecznych wodzom przymiotów umysłu? Na to pytanie trudno jest odpowiedzieć, ale trzeba spróbować. Konfederatom sprzyjało kilka czynników: pogoda, zaskoczenie, pewność siebie, przychylność części ludności i żołnierskie cnoty naczelnika oddziału – Jana Kuźmy. Przeciw nim stały: brak znajomości terenu, brak komunikacji między grupami uderzeniowymi, niskie morale części oddziału oraz wspomniane już żołnierskie cnoty naczelnika oddziału Jana Kuźmy. Po drugiej zaś stronie widzieliśmy niemal wyłącznie przeszkody. Gwardia i straż marszałkowska nie współpracowały, nie miały wypracowanych na taką okazję procedur działania. Morale szeregowych strażników nie było wyższe niż konfederatów, a wobec wyszkolenia całości sił porządkowych wnoszono zasadne uwagi. Brzydka pogoda tylko trochę przeszkadzała uciekinierom, za to zupełnie osłabiała pościg. Upadek morale orszaku króla, jego haniebna ucieczka i strach przed karą przesunęły w czasie podjęcie odpowiednich działań. A najgorsza okazała się zmyślność oficerów. Pułkownik Cocceji oraz kapitan Żubrowski założyli znacznie na wyrost, że mają do czynienia ze sprytnymi i dobrze zorganizowanymi przeciwnikami. Działali, jakby mieli przeciw geniuszy zbrodni, a nie amatorów dosłownie błądzących we mgle. Nie można, licząc na sukces, kopać się z koniem, a tym bardziej usiłować przechytryć konia w grze w karty. A jaki jest koń, każdy widzi. Podobnie działał Jan Kuźma, prąc w przód, nie zważając na fortele gwardzistów.

## IX

### Teraz, Petersburg

Kiedy Artem doprowadził cara z powrotem do królewskiej sypialni, wszystko było już jasne. Poniatowski dychał jeszcze, ale zachowanie doktorów, a także obecność duchownych wskazywały, że ten stan niebawem się zmieni. Był już obecny nuncjusz apostolski, proboszcz z katolickiego kościoła Świętej Katarzyny, a nawet kilku francuskich mnichów, którzy przybyli do stolicy z posłem od Ludwika Wygnańca. Modlili się, nawet rzymskimi litaniami, kiedy wszedł do pomieszczenia protektor światowego prawosławia.

Imperator poczekał, aż skończy się łacińska pieśń, ale potem dał znać, że chce pobyć z królem sam. Niemal wszyscy opuścili sypialnię. Paweł wskazał tylko Artema i sierżanta gwardii, aby ci czekali przy drzwiach. Przez te kilkadziesiąt minut sługa musiał przysnąć na zbyt wygodnym krześle. W jednej chwili siedział wpatrzony w okno nad łóżem króla, a chwilę potem poczuł szturchnięcie sierżanta.

– Chodź, wzywa nas.

Podeszli do cara, a ten spojrzał na Artema i polecił nieznoszącym sprzeciwu głosem:

– Mów do niego. Tym razem powiedz mu, że jesteście w Polsce. On już niewiele pojmuje z tego, co się wokół dzieje.

– Panie... – zaczął niepewnie sługa, choć trzeba przyznać, że po porannych ćwiczeniach jego polski brzmiał już znacznie lepiej. – Musisz odpocząć. Jutro wszystko już będzie dobrze.

– Ja tam umarłem, na Marymoncie – szeptał Stanisław August. – Miałem się odrodzić jako ktoś lepszy i potężniejszy, ale nie wyszło. Zawołaj, proszę, Jana.

Artem nie znał całej historii, ale wiedział, że dawny porywacz przebywa na wygnaniu. Ostrożnie, aby nie wzbudzić podejrzeń, zaczął więc tłumaczyć nieobecność konfederata.

– Jutro, najjaśniejszy panie. Droga daleka, ale Jan już jedzie. Kiedy tylko dotrze do Warszawy, od razu tu przyjdzie...

– To jesteśmy w Warszawie? – zapytał król, na chwilę odzyskując jasność myśli. Trwało to jednak tylko kilka uderzeń serca. Zaraz potem otworzył szeroko oczy, ale była w nich jedynie gorączka. Złapał za ramię swojego pokojowca i ścisnął mocno. – Nie, nie jesteśmy w Warszawie. Ja nie żyję, a to jest piekło. Przyszedł po mnie, szelma, ten czteroręki demon z wiatraka.

– Wcale nie, panie. Byli księża od Świętej Katarzyny i wszystkie demony wygonili.

– Po co się aż od Katarzyny fatygowali? Nie mamy bliższych kościołów, w Warszawie?

Artem pojął, że mówienie o aspektach geograficznych jest ryzykowne. Nie wiedział nawet, czy w Warszawie jest parafia Świętej Katarzyny i czy nie zdradził umierającemu nieprzyjemnego sekretu. Na szczęście król znów na dobre majaczył. Rozluźnił chwyt, ale nadal mówił, choć słabym, niewyraźnym głosem.

– Lubomirski dobrze mówił, trzeba było się układać z konfederacją. Carycy byśmy nie wypędzili, ale to by nam więcej czasu dało. A potem... potem to już lawina była, kula śniegowa, co się zmienia w białą lawinę i spada, bez woli własnej ni rozeznania. Słyszysz, Artemie? – Sługa przeraził się, na szczęście gorączkujący władca nie roztrząsał problemu, jakim cudem w Warszawie towarzyszy mu pokojowiec z Petersburga. – Słyszysz? To historia płynie, a my, ludzie, choćby potężni, jesteśmy tylko widzami w tym teatrze. Albo i nie teatrze, bo tam istnieją aktorzy, którzy grają swe role. Fałszywie, ale świadomie. A my jesteśmy podobni do młyńskiego koła, co wody dziejów kosztuje za każdym razem, gdy się przetacza. Dotykamy tego, uczestniczymy w ich płynie, ale nie pozostało nam nic innego, jak skrzypiec żałośnie, do wody zawrócić nie możemy. Ciemno tu, dajcie więcej światła – polecił oświecony monarcha.

Faktycznie, zmierzchało za oknem, choć światło odbijane przez zalegający przed pałacem śnieg wydawało się słudze wystarczające. Mimo to Artem złapał za stojący obok świecznik i przysunął go niemal do królewskiego nosa. Poniatowski, zdaje się, tego nie dostrzegał. Patrzył gdzieś ponad ramię sługi i krzyczał tak głośno, jak mu słabość w płucach pozwalała.

– Jam jest twoim królem, przysięgałeś mnie chronić, oddać za mnie życie. Przysięgałeś przed Najświętszą Panią... Przysięgałeś, prawda? O, *sacré bleu!* Umieram... Ale nikt niczego nie widział, słyszysz? Nie widział!

– Panie? Księży wołać?

– Janie, to ty? Przebaczasz mi? Choćby za siebie?

– Za wszystkie mnie wyrządzone krzywdy przebaczam! – z mocą oświadczył Artem.

Nie kłamał i nawet nie był bardzo wspaniałomyślny. Ot, król nakrzyczał nań raz czy dwa, raz to chyba nawet wylał na niego kawę, ale tego ranka był zły, że go tak wcześnie budzą. Poza tym Artem nie doznał żadnych krzywd od byłego króla.

– A za innych? Za Cybulskiego? Łukawskiego i jego żonę?

– Tego ja nie wiem, czy wybaczyli... – szczerze odparł Artem, kojarząc wymienione nazwiska. Cybulskiego i Łukawskiego skazano na śmierć, a żona tego ostatniego miała wyzionąć ducha po doznanym podczas egzekucji szoku. Ale trzeba mieć nadzieję. Jak mawiali starożytni...

– *Dum spiro, despero...*

– Co, proszę? – zapytał Artem, który nie znał łaciny, ale może to dobrze, że nie znał jej dość dobrze, aby wyczuć leksykalny nietakt.

– Trzeba było utonąć w tych bagnach na Marymoncie... – podsumował były król. – Janie, zaśpiewaj mi wasz hymn.

W tej jednak chwili monarcha stracił przytomność i na tym rola Artema się skończyła. Pojął to nawet car.

– Idź odpocznij. Ja już z nim zostanę – powiedział imperator, kładąc rękę na ramieniu sługi.

## Wtedy, przy rzece Rudawce

Grupa zwiadowcza chciała pędzić na złamanie karku. Niestety, taka prędkość wcale nie oznaczała, że poruszali się szybko. Najpierw ciasnymi i błotnymi uliczkami, potem ledwo ubitym traktem, z dwiema lichymi latarniami na czele, szli najszybciej kłusem, ale zwykle stępem. A na samym końcu pochodu snuł się Sebastian pilnowany przez Hieronima.

– Głowa do góry, kapitanie. Nie mogłeś rozszyfrować planu, którego nie było. Ci szubrawcy okazali się na ciebie zbyt głupi.

– Na pułkownika zbyt głupi nie byli... – szepnął wściekły śledczy.

– Sam musisz wyciągnąć z tego wnioski...

Wtedy jednak napotkali na szosie biegnącego młodzika. Parobek zaczął krzyczeć, i to coś o królu, więc dwóch krewkich gwardzistów podjechało prawie galopem, zeskoczyło z koni i powaliło desperata na ziemię. Kiedy Sebastian dotarł na miejsce, najważniejsza sprawa została już wyjaśniona.

– Panowie oficerowie, proszę, list w mojej kieszeni. Ja nic nie wiem, tylko że ten człowiek podawał się za króla. List, proszę, przeczytajcie.

Gwardzista wyciągnął papier gońcowi, podał pułkownikowi, a ten bez słowa przekazał go Żubrowskiemu. Kapitan przeczytał wiadomość cicho, potem na głos.

– Żyje! Czyli król żyje! – Chciał wydać rozkaz całej kolumnie, ale roztropnie spojrzał najpierw na Coccejiego. Ten skinął ręką. – Na koń! Wszyscy do młyna nad Rudawką!

Plany triumfalnego odbicia władcy przysły na dobre. Usiłując utrzymać się tuż za kolumną, Sebastian zegnał dumną scenę schwytania porywaczy i w myślach odesłał już Canaletta malującego obraz. Wyobrażał sobie też uwagi Hieronima przypominającego, że lepiej by było, aby pułkownik znalazł króla żywego niż martwego. Sukces, wiadomo już było, miał osiąść jednego ojca. Za porażkę odpowiedzialiby wszyscy gwardziści.

W dodatku Sebastian, dość chudej budowy, musiał wziąć na konia parobka z młyna. Obecność przerażonego, przemoczonego, a mimo to nie najlepiej

pachnącego chłopaka psuła nawet poczucie ulgi z uniknięcia katastrofy.

Zatrzymali się tylko raz, przy stojącej obok szosy karczmie. Budynek był zamknięty na głucho, ale coś zainteresowało pułkownika, który kazał Żubrowskiemu i Olszowskiemu sprawdzić austerię. Przyjaciele podeszli pod drzwi, zapukali, a potem spotkali się z lufami dwururki.

– Zamknięte! – krzyknął krewki Żyd.

– Co to za gwałt!? Opuść broń... *Pax, pax...* – zaczął Sebastian. Chciał dodać „między chrześcijany”, ale ocenił, że mógłby uzbrojonego karczmarza obrazić, a dokładne opisanie sytuacji („*Pax między chrześcijany i starozakonnymi*”) także mogło zabrzmieć niezręcznie. – Coś ty taki nerwowy, dobry człecze?

– Zbójcy już drugą noc tu łażą i urządzają jakieś karnawały.

Sebastian już nabierał w płuca powietrza, aby zapytać o szczegóły, ale poczuł na ramieniu dłoń Hieronima. Sam też uznał, że przyjdzie czas na dokładne pytania. Bez dalszych tłumaczeń odwrócił się od karczmy i ruszył ku koniom gonić odjeżdżającego właśnie pułkownika.

Do młyna dotarli, jeśli chronometr kapitana wskazywał właściwie, około dziewiątej rano. W szarudze poranka przed zabudowania wyległa cała rodzina gospodarza: sam młynarz, jego żona, dwie córki, dwaj małoletni synowie i trzech pozostałych parobków. Z początku Sebastian uznał, że jest to wyraz szacunku i unizoności rodziny, ale potem pojął, że po prostu nikt nie chciał do nowej komnaty wchodzić. Młynarz trzymał w ręku czapkę, ale wprawne oko Żubrowskiego odkryło niewielkie cięcie na nakryciu głowy, które zapewne powstało niedawno.

– Oszaleli – tłumaczył gospodarz. – Tylko weszliśmy sprawdzić, czy jeszcze śpią, kiedy nagle ten chudy, co się za króla podaje, krzyknął, że my Moskale, chcemy go zabić, i że Jan ma nas ciąć ostrzem na demony.

– Nie strzelali? – rzeczowo zapytał pułkownik.

– Nie. Pistolety dwa mają, ale chyba proch do reszty im zamókł.

– Trzeba to wszystko wytłumaczyć – mruknął Cocceji. – Żubrowski, mówisz. Król cię ponoć lubi.

Jeszcze przez chwilę Sebastian wyobrażał sobie drugą wersję obrazu Canaletta, na której on, kapitan Żubrowski, jedynie oznajmia władcy, że ten jest wolny, ale

owa wizja, smętna w swej ostrożności, od razu zbladła. Oficer zrobił więc głęboki wdech i zawołał:

– Najjaśniejszy panie, wracamy do domu!



## Wtedy, we młynie i w okolicach

– Wołają nas, co robimy? – zapytał Poniatowski.

Siedzieli pod ścianą magazynu, za obalonym łóżkiem, które stanowiło dodatkową osłonę na wypadek ostrzału (Kuźma fachowo ocenił, że wystrzelona z bliska kula z gwintowanego karabinu mogła przebić ścianę). Kulili się na podłodze, aby stanowić mniejszy cel, i zastanawiali, czy przybyli im na odsiecz zbawcy na pewno ich nie zabiją. Wraz z mdłym porankiem znikły cienie i upiory, za to wróciły groźby niezwykle żywe i wiarogodne.

– Panie, ja bym wyszedł, nie robiąc ceregieli – powiedział Kuźma.

– Przecież sam powiedziałeś, że Moskale mogą chcieć mojej śmierci.

– I pewnie chcą. Tylko co na to poradzimy? Po co się ma najjaśniejszy pan czołgać jak prosty żołnierz? Trzeba zachować królewski fason.

– Ale gdybyś był tu sam...

– To co innego, mnie się czołgać wolno. Broniłbym się do samego końca, mojego albo ich.

– To może ty wyjdiesz pierwszy? – zaproponował monarcha. – Jeśli cię zabiją najpierw, trudno będzie udawać, że uśmierciłeś mnie na zlecenie konfederacji.

– Ale jeśli to ludzie wierni tobie, to mnie zabiją zupełnie bezinteresownie – zauważył Jan. – Królu, wychodź bez żadnych forteli. Chcą, to nas zabiją. To już wszystko w ręku Boga.

– To może chociaż sporządzmy białą flagę i pomachajmy. Hugon Grocjusz w *De jure belli ac pacis* pisze, że biały materiał to symbol wezwania do rozmów i wedle prawa wojennego nie wolno strzelać do takiego posła.

– A gdzie ja najjaśniejszemu panu biały materiał znajdę? Pościel zakrwawiona. Nasza bielizna już nie biała, a insze szmaty brudne jak psu pod ogonem.

Ostatecznie wybrali poszewkę od królewskiej poduszki. Szara, bo szara, ale w półmroku jesiennego poranka mogła uchodzić za symbol pokoju. Umieścili ją na kij, który kilka godzin wcześniej Poniatowski wybrał jako broń.

Ostrożnie, przesunąwszy stół, podczołgali się do drzwi i otworzyli je, oczekując kakofonii strzałów. Nic się jednak nie stało; gwardia powitała poszewkę w milczeniu.

– Nie strzelać, poddajemy się! – krzyknął król.

– To chyba była moja kwestia – zauważył Kuźma. – Powiedz, że wyjdiesz, a do mnie mają nie strzelać.

– Panie, żyjesz? – zawołał Żubrowski. – Tu kapitan Żubrowski, jestem z pułkownikiem Coccejim i naszym wiernym oddziałem. Nic już najjaśniejszemu panu nie grozi.

– Żyję. Cocceji, przysięgnij, że weźmiesz jeńca do niewoli żywcem.

– Panie, to podejrzane – szepnął Sebastian. – Ten konfederat powinien wziąć króla na zakładnika i targować się o własne życie.

– Ja cię nie słucham, Żubrowski – odparł pułkownik. – Im więcej myślisz, tym więcej mamy kłopotów. Poza tym może od tego porwania król doznał pomieszania zmysłów i współczuje napastnikowi. Napiszesz o tym księgę i nazwiesz owo zjawisko syndromem marymonckim.

– Ale co odpowiesz, panie?

– A co to za różnica? – mruknął Cocceji, po czym krzyknął: – Tak, najjaśniejszy panie! Konfederat przeżyje. Wyjdziecie?

Szara poszewka na kiju poruszała się jeszcze chwilę, po czym zniknęła za rogiem. Na jej miejsce zjawily się dwie głowy: poczochrane, zakrwawione, ale z pewnością przychepione do żywych ciał.

Pchani szlachetnym odruchem, gwardziści wznieśli radosny okrzyk, który spowodował, że król i jego porywacz schowali się znów za próg, a rodzina młynarza rzuciła do ucieczki, zatrzymana dopiero uspokajającymi zapewnieniami Hieronima. Dwóch gości młyna też wyszło, zachęconych wołaniem Coccejiego.

– Najjaśniejszy panie, ja tam nie wiem, co tu się dzieje, i ja się marszałkowi tłumaczył nie będę. Wyjdź, proszę, i oszczędź nam tych zagadek.

Aż w końcu wyszedł. A właściwie wyszli: król i jego porywacz, choć w owej scenie podział ról wcale nie był taki oczywisty. Król kroczył prawie o własnych siłach, ale co pewien czas musiał się podpierać na ramieniu towarzysza. Konfederat szedł z boku, tuż za nim, śledząc każdy krok władcy. Żaden z nich nie wyglądał jak szlachcic: poszarpane i pogniecione ubrania, noszące na sobie błotne

plamy, upodabniały ich do żołnierzy po długiej kampanii wojennej (bo i zaiste długa to była noc). Włosy monarchy, choć już suche, wyglądały upiornie, poprząkane krwawymi kołtunami. Jego chód był niepewny, raz z racji wyczerpania, dwa od zbyt dużych butów, które wcześniej na pewno nie należały do Ciołka.

Kuźma zaś, idący bez płaszcza, wyglądał jak kozak wzięty do niewoli pod Beresteczkiem. Włóczył nogami bez chęci ni energii, mimo że minionej nocy biegał, maszerował, a nawet pływał z siłą Heraklesa. Jego koszula była cała pokrwawiona, choć świadkowie nie wiedzieli, że tylko niewielka część posoki wypłynęła z żył konfederata. Niemal natychmiast Sebastian i Hieronim, podbiegłszy do króla, chwycili go pod ramiona. Trzech gwardzistów doskoczyło do Kuźmy i gdy już chcieli powalić porywacza na ziemię, król spojrzął na nich i polecił zaskakująco zdecydowanym głosem:

– Zostawić! Lekarza mu sprowadźcie!

Potem, okazując doskonale wyczucie dramatyzmu, zemdlął i opadł na ręce pilnujących go oficerów.

Dalsze wydarzenia obaj bohaterowie nocy pamiętali tylko w krótkich i zmieszanych fragmentach. Król został dobudzony, a w każdym razie doprowadzony do takiego stanu, że można go było usadzić na koniu. Cocceji jechał tuż obok po prawej, Żubrowski po lewej stronie, a Olszowski prowadził wierzchowca za uzdę, gotowy łapać swego monarchę. Dwóch jeźdźców już pędziło przekazać dobrą nowinę i sprowadzić dyliżans dla Stanisława Augusta. Jednak najtrudniejszy kawałek drogi trzeba było przebyć w siodle.

Król siedział na końskim grzbiecie pogrążony w mieszaninie zmęczenia i stuporu. Oglądał lecące z drzew ostatnie jesienne liście, a gdy słońce wreszcie wyjrzało zza chmur, uśmiechnął się niepewnie. Oto dotrwał do następnego dnia, oszukał przeznaczenie, tak jak zamierzał robić to zawsze, a w każdym razie tak długo, jak to możliwe.

Potem zaś na chwilę zupełnie się ocknął, pojmując, gdzie jest. Znał te okolice dość dobrze, jeździł tędy na łowy, a ze skraju lasu widać było zarówno rogatki marymonckie, początek drogi zakroczymskiej, jak i wzgórze, na którym stały stare pawilony Sobieskich. Dalej, przez pole powązkowskie, można było dostrzec nawet następne rogatki i sześć porozrzucanych młynów nad Rudawką. Aby nie ryzykować drogi przez podmokłe łąki, poczet króla wrócił do lasu, przecinając jego

skraj ku traktowi. Poniatowski pojął, że porywacze (więc i on) zgubili się na obszarze ledwie większym niż trzy chłopskie łany, jeśli je rozciągnąć szerokim pasem wzdłuż Wisły.

*Czary, prawdziwe czary – myślał. Owszem, może demon nie istniał, a dwanaście bielańskich duchów to byli zakonnicy z Polkowej Góry, ale ta mgła miała w sobie coś dziwnego, nieziemskiego. Myliła nam zmysły i wydłużała drogę, jakby przestrzeń i czas w tym lesie nie liczyły się tak samo, jak na mapach i planach.* Potem zaś zaczął rozważać jeszcze jedną kwestię: czy jeśli ich zmysły zostały zmaćcone, a może i prawa natury zaburzone, to był sprawcą tego zamieszania? Czy to czyny boże, za wstawiennictwem Matki Boskiej Łaskawej, patronki Warszawy, czy wręcz przeciwnie: szatańskie, gdyż demony pewne, że duszę króla i tak dostaną, trzymały go przy życiu, by więcej zgorszenia zasiał? Aż w końcu znów zapadł w sen, lekki, ale wypełniony dziwnymi wizjami. W jego majaku zaczął sobie wyobrażać wielką bitwę między gwardią a niespodziewanie licznymi oddziałami konfederackimi. Do tego boju, rozgrywającego się na polach nad Rudawką, zaczęli dołączać inni uczestnicy. Z jednej strony święci pańscy, z drugiej jakieś maskary, wśród których Poniatowski rozpoznał bazylijską i syrenę, acz nie taką słodką, z bajek dla dzieci, ale potwora, obrzydliwego węża, podobnego hybrydzie z pieczęci dawnych książąt mazowieckich. Taka to współczesna *Iliada* kotłowała się monarsze w głowie przez chwilę, do czasu aż go obudzono.

– Najjaśniejszy panie, powóz czeka! – oświadczył... Poniatowski nie wiedział kto, ale zauważył dworaka w liberii. Stąd zrozumiał, że oto kończy się jego epizod wojenny, gdyż spod opieki żołnierzy wraca pod skrzydła dworzan.

– Nie przebieracie mnie?

– Nie ma tu warunków, panie. Narzucimy nowy płaszcz. Ludzie nie zauważą różnicy.

Jak zapowiedzieli, tak też zrobili. Tuż przed rogatkami marymonckimi czekała bryczka. Pojazd nie był lichy, właściwie zaprzężony w cztery konie wóz prezentował się godnie, ale Poniatowskiemu wydał się narzędziem tortur. Otwarta paka i niskie burty przypominały ruchomą scenę albo (którego to skojarzenia Stanisław August nie potrafił do końca dnia wyrzucić z głowy) szafot.

Władcy założono nowe spodnie, narzucono mu prosty kaftan, a na to purpurowy płaszcz z gronostajowymi naszywkami. Dzięki temu usadzony na bryczce Poniatowski wyglądał godnie, o ile nie wstawał. Aby osłonić bandażę (ktoś

musiał je założyć Stanisławowi Augustowi, gdy ten spał), znaleziono wielką czapę, bardziej stosowną na zimę, ale wyglądającą elegancko. Tak przygotowany monarcha ruszył w drogę powrotną do swojego miasta.

W poniedziałkowy, zimny... no cóż, jeśli nie poranek, to w poniedziałkowe przedpołudnie do rogatek przybyło sporo ludzi. Ponad setka czekała na swojego władcę i zaczęła wznosić radosne okrzyki. Zaskoczony Poniatowski z początku nie mógł uwierzyć, że ludzie, którzy ponoć wiwatowali na wieść o jego zniknięciu, po ledwie kilkunastu godzinach zmienili swoje nastawienie, stali się na powrót wiernymi poddanymi.

Po przekroczeniu miejskich wałów ruszyli drogą przy konwikcie ojców pijarów. Ojczulkowie i ich młodzi podopieczni zgromadzili się w bramie, a kilkunastu ciekawskich siedziało na murze, także wiwatując (choć zaspane i pogrążone w alkoholowej mgiełce spojrzenia starszych żaków wskazywały, że woleliby jednak wrócić na lekcje, a najlepiej do łóżka). Potem dotarli do Konwiktorskiej i znów napotkali grupy mieszczan machających swojemu monarsze. Tutaj już Poniatowski przejrzał podstęp.

Wciąż podnosił rękę, pozdrawiał warszawiaków, ale widział już, że oni nie chcieli uczestniczyć w owym teatrze tak mocno jak on. Krzyki zgromadzonych brzmiały głucho, jakby pod dyktando sierżantów gwardii, a sami mieszkańcy wydawali się oderwanymi od codziennych obowiązków zakładnikami. W kilku rozentuzjasmowanych warszawiakach Poniatowski rozpoznał strażników marszałkowskich, którzy zdjęli mundurowe kurty, ale nie byli aż tak zaangażowani w świętowanie, aby zmienić spodnie. Monarcha nie mógł ich za to winić, gdyż sam nosił spodnie młynarza. Cała scena przejazdu Miodową przypominała obraz Canaletta, ale nie skończony, tylko jego wczesną wersję, czy może nawet szkic, na którym zarysy ludzkie trzeba wypełnić kolorem i duszą.

Wreszcie dojechali do tej feralnej części ulicy. Król przymknął oczy i wyobraził sobie sceny sprzed kilkunastu godzin. Niemal słyszał szum deszczu, szybkie kroki i krzyki przestachu... Natychmiast otworzył oczy, bojąc się, że we wspomnieniach zobaczy widmo Jerzego Butzaua. Jeszcze raz pomachał gapiom wyprowadzonym przez wojsko na ulicę, po czym wygodniej rozsiadł się na wymoszczonej poduszkami ławie. Oczywiście, najwygodniejszą pozycją, którą mógł sobie wyobrazić, była ta leżąca, oddzielona od obserwatorów płaszczem. Niestety, na taki luksus nie mógł sobie pozwolić. Każdy grał w tym spektaklu swoją rolę, a lud

widząc władcę mylącego swój scenariusz, mógłby dojść do wniosku, że on też podążać za wytycznymi nie musi.

Na placu zamkowym zgromadziła się gwardia, a za nią w równych, ale mniej licznych szeregach straż marszałkowska. Na sygnał majora Wiszczakowskiego zaczęli wiwatować jak dobrze wytrenowani żołnierze. Salwę honorową także oddali równo jak na manewrach, ale to nie zmieniło ostatecznego efektu. Kiedy huk dotarł do monarszych uszu, Poniatowski zadrżał i chciał paść płasko na dno bryczki. Na szczęście gruby płaszcz, krępujący wszystkie ruchy, powstrzymał go przed tym impulsem.

Potem aż do wjazdu w bramę zamku król widział w każdym gwardziście twarz Kuźmy i innych porywaczy. Zastanawiał się nie czy, ale kiedy jeden z jego wiernych obrońców skieruje nań lufę muszkietu i zakończy ów dramat tragicznym katharsis. *Ciekawe, czy wiwaty by umilkły, czy ludzie pomyśleliby, że wszystko dzieje się zgodnie z planem – myślał drżący monarcha. To tylko złudzenie, jestem bezpieczny.* Wiedział jednak, że nie jest bezpieczny, i zwyczajowo szukał za szeregami gwardii i straży też rzędów rosyjskich jegrów. Ale tych akurat tego ranka nie było.

Wreszcie otworzyła się brama zamku i król mógł odetchnąć. Jeszcze zanim na dobre znikł z oczu widzom (a w każdym razie najbliższemu szeregowi gwardii), zaczął nerwowymi ruchami zrzucać z siebie płaszcz. Czterech hajduków i ubrany jeszcze w wieczorowe szaty pokojowiec podbiegli do monarchy, aby pomóc mu w przejściu na pokoje.

– Najjaśniejszy panie, kąpiel gotowa – meldował sługa. – Doktor Franowski jest w łaźni i obejrzy rany najjaśniejszego pana na miejscu. Czy podać śniadanie od razu?

– Tak, tak... – mruzczał monarcha, zrzucając płaszcz. Nagle zastygł i spojrzał w tył na wciąż czekającego obok Coccejiego. – Gdzie Jan? To znaczy gdzie schwytyany konfederat?

– Zajęliśmy się nim – odparł pułkownik. – To już nie jest zmartwienie waszej królewskiej mości.

Spojrzenia monarchy i oficera się spotkały. Poniatowski znalazł w oczach podwładnego nieoczekiwany upór. To zwykle go rozsierało, i w owej chwili poczuł falę gniewu. Chciał krzyknąć i bić pułkownika, pozostałych gwardzistów.

Płazować ich, a może i kłuć po nogach. Przez kilka uderzeń serca wyobrażał sobie, jak zmusza do pokory nadętego oficera i jego ochronę. A potem rusza na czele posłusznych jak kukielki żołnierzy ku kwaterze generała Bibikowa...

Tak się nie stało. Poniatowski zrobił głęboki wdech i odgonił kuszące myśli. Po prostu nie mógł, a właściwie mógł, ale nie potrafił. Samo zbesztanie gwardii było łatwe, ba, nawet marsz do dowództwa Moskali. Ale życie z konsekwencjami tego krótkiego wybuchu wolności przekraczało już siły monarchy. *Uratowano mnie, nie jestem już więźniem. A to znaczy, że nie mogę robić, co mi się podoba.*

– Ma przeżyć! – powiedział pułkownikowi, mając nadzieję, że brzmi groźnie.

– Proszę się nie obawiać, nie uszkodzimy go. Przesłuchanie poprowadzą moi najlepsi ludzie.

– Żubrowski i tej jego kamrat z Wołynia? – zapytał zrezygnowanym tonem król.

– To są moi najlepsi ludzie – podkreślił Cocceji. W tej samej chwili tak on, jak i Poniatowski zrozumieli, jak smutna była to deklaracja.

– Idę do łaźni. Przygotuj raport – polecił Stanisław August Poniatowski, z Bożej łaski i woli narodu król Polski, wielki książę litewski, ruski, pruski, mazowiecki, zmużzki, kijowski, wołyński, podolski, podlaski, inflancki, smoleński, siewierski i czernihowski. Potem zaś ruszył, dokąd mu kazano.

Gdy zniknął za progiem drzwi, z królewskich oczu spłynęły dwie małe łzy, ostatnie na wiele, wiele lat.

## Wtedy, podziemia Arsenалу

Jan też zasnął. Jego ciało potrzebowało odpoczynku jeszcze bardziej niż ranny władca. Wstrząśnięty wybuchem, przechłodzony i wyczerpany do granic możliwości długim marszem konfederat stracił kontrolę nad ciałem. Jego żelazne mięśnie zaczęły drżeć, równy i mocny puls stał się szybki, ale nierówny. Oddech też przyśpieszył i stracił na mocy. W dodatku całe skupienie umysłu rozplynęło się jak bryła lodu wyciągnięta z piwnicy w letni dzień.

Prawie spadł z konia, co nie było niczym dziwnym, zważywszy, że go skrupowano. Potem jednak mimo protestów Hieronima Żubrowski postanowił przerzucić Kuźmę przez koński grzbiet niczym worek zboża. Nie ujechali tak daleko, ale i nie musieli. Na szosę zakroczymską dotarł drugi wóz, tym razem drabiniasty pojazd gwardii wzięty z rogatek. Jana związano więc starannie i rzucono na dno wozu. Tam stracił przytomność po raz drugi.

Nie widział tego, ale w następnej godzinie zabrano go do Arsenалу i wrzucono do celi. W piwnicy tej przebywali już Łukawski i sześciu innych konfederatów, ale ich umieszczono po drugiej stronie korytarza, tak że w ciemnych piwnicach ni jedna, ni druga strona nie mogła się dostrzec. Przez kilkanaście pacierzy nikt go nie niepokoił. Potem do celi przyszedł cyrulik, który przyniósł dwie brudne (ale suche!) derki oraz odrobinę medycznej ekspertyzy.

Rany konfederata były powierzchowne, wymagały tylko przemycia i przyłożenia lekkiego bandaża. Nim cyrulik skończył, strażnik z góry przyniósł więźniowi talerz z kawałkiem sera i kubkiem piwa. Kiedy tylko Jan skończył jeść, na dół zeszło dwóch oficerów gwardii, skąd więzień wnosił, że obserwowali albo choć podsłuchiwali przez otwory w ścianie.

Obaj przynieśli sobie stolki i łaskawie nie kazali wstawać Kuźmie. Siedli naprzeciw porywacza i przez kilka zdrowasiek milczeli. Najpierw odezwał się ten nieco niższy, w mundurze kapitana.

– Nie wiem, kim jesteś ani jak udało ci się dokonać tego, czego dokonałeś. Ale wiedz, że się dowiem, w ten czy inny sposób. Chciałbym zaoszczędzić nam sporo



wysiłku, a tobie bardzo dużo bólu. Zadam więc kilka pytań, a ty odpowiesz na nie, nie broniąc ludzi, którzy rzucili cię nam na pożarcie. Nazywam się kapitan Sebastian Żubrowski, a to porucznik Hieronim Olszowski. Służymy w gwardii radą i sposobami na niezwykle zdarzenia, takie jak to.

– Jestem Jan Kuźma, naczelnik oddziału ekstraordynaryjnego zwierzchności konfederackiej – odparł słabym, ale pewnym głosem Jan.

– O, świetnie, widzę możliwość owocnej rozmowy – odparł kapitan. – Wiesz, że z powodów, których nie znam, ale wierzę, że ty nam je przybliżysz, król chce cię oszczędzić. Jednak pamiętaj, że za obrazę majestatu będzie cię sądził sejm, a nie monarcha. Musisz dać nam dowód dobrej woli, który przedstawimy posłom. Powiedz, kto zaplanował tę szaloną wyprawę?

– Generał Kazimierz Pułaski i jego nieznani mi z imienia doradcy. Samym atakiem dowodziłem ja.

– Martwisz mnie, bracie. Wiesz, że Pułaskiego nie dostaniemy, a ciebie już mamy. Po co się narażać dla innych, skoro zostawili cię z królem samego.

– Kapitanie – odparł Kuźma dobitnie, patrząc w oczy śledczemu – mów, co chcesz, złość się, krzycz, ale nie zmienisz tego, co widzisz. Prawda jest taka, że to ja dowodziłem atakiem na króla i ten atak nie wyszedł. A wy szukaliście nas całą noc i owa ekspedycja też zakończyła się porażką. Pomyśl tylko: jeśli ja nie okażę się genialnym harcownikiem, to kim okażesz się ty?

Sebastian puścił mimo uszu ten przytyk i sięgnął do kieszeni. Demonstracyjnie wyciągnął z niej papier, udawał, że go uważnie wertuje, i zapytał:

– Jaką rolę w spisku grali Stanisław Strawiński i Walenty Łukawski?

– Nie mam pojęcia – odparł szybko Kuźma. – Gościłem u państwa Łukawskich niedawno, ale w charakterze towarzyskim, nie politycznym. Stanisława Strawińskiego chyba tam widziałem, ale nie rozmawialiśmy zbyt wiele...

– Janie, nie pomogę ci, jeśli ty na to nie pozwolisz. Czy zeznajesz, że u Łukawskich zebrali się zamachowcy dybiący na życie króla?

– Zaprzeczam!

– Sam powiedziałeś...

– Nikt nie chciał zabić króla. Mieliśmy za zadanie wywieźć go spod wpływu Moskali i zaproponować akces do konfederacji.

– Mieliście go zabić. Mam świadków zeznających, że otrzymaliście święcone na Jasnej Górze sztylety, aby je wbić w pierś Stanisława Augusta!

– Głupiś, kapitanie, czy co? Święcone sztylety są na upiory, nie na ludzi!

Sebastian zrobił głęboki wdech i zaczął wypuszczać powietrze powoli, jakby jego policzki były przebitym przez kucharza rybim pęcherzem. Potem przysunął stołek tuż przed więźnia i spojrzał na niego z góry wraz z całym autorytetem swojego stopnia i osiągnięć (choć warto dodać, że ów drugi należało już uznać za poważnie naruszony).

– Wiesz, coś narobił? Mówicie, że wy przeciw Moskałom się buntujecie, a teraz im do ręki włożyliście broń tak ostrą, że dowcip wszystkich waszych sofistów jej nie dorówna. Caryca przyśle więcej wojska, Austria i Prusy będą protestować i zażądają rekompensaty z ziem naszych. A król, przez was zhańbiony, nie będzie miał jak się przed tym bronić. Tym bardziej, że zaraz Katarzyna złotem sypnie i sprzedajne piórwy w całej Europie będą pisać o tych święconych sztyletach i rewolucyjnych spiskach waszej generalności. I tak się skończy porwanie króla.

– Czyli kapitan twierdzi, że lepiej, abym zabił najjaśniejszego pana?

Sebastian kopnął siedzącego przed nim konfederata. Cios miał sięgnąć szczęki, ale przygotowany nań więzień dumnie się wyprostował. Przez to stopa śledczego trafiła jeńca w pierś. Jan padł do tyłu i zaniósł się kaszlem, ale nie poniósł żadnej innej szkody.

– Jak mogliście nie mieć planu? – syknął kapitan, balansując na skraju krwawego szału. – Znalazłbym was natychmiast!

– Sebastianie, nie denerwuj się – szepnął mu do ucha Hieronim. – Próbowałeś, niestety, nie skorzystał z okazji. Daj mi teraz z nim porozmawiać. – Delikatnie chwycił przyjaciela, postawił go na nogi, a sam zasiadł na bliższym stolku. Potem spojrzał na powstającego z trudem więźnia. – Janie, to, co teraz zajdzie, napawa mnie strachem i obrzydzeniem. Ale prawda jest taka, że musimy złamać twoją wolę, a w dodatku mamy środki, aby to zrobić. Nie potrafię mówić kwieście, ale nie muszę. Powiem ci tylko, co się stanie, jeśli my nie znajdziemy winnych zamachu. Otóż słuchaj, co będzie z twoimi towarzyszami, ich rodzinami, sąsiadami, wszystkimi ludźmi tu w Warszawie i poza nią, którzy dopomogli w waszej misji, wiedząc o tym albo nie wiedząc. Oni wszyscy... cóż, nie wszyscy

umrą, ale przyjdzie taki dzień, że żywi pozazdroszczą umarłym. Zaczniemy od żony i dzieci Łukawskiego, których widziano z wami...

– Dość! – przerwał mu Kuźma zdecydowanym głosem, mimo że w oczach miał łzy. – Dość. Powiem wszystko, ale wpierw muszę mieć słowo króla.

– To dobrze, że wreszcie wierzysz w słowo króla – rzucił kąśliwie Żubrowski.

– Nie wierzę, bo go znam – zaprzeczył Jan. – I wy też nie powinniście. Ale nie mamy wyboru, my i wy.

– Nigdy nie mieliśmy! – jęknął Sebastian. – To dlaczego, do czorta, go porwaliście!?

– Nie szanowałby nas, gdybyśmy nie spróbowali.

## Teraz, Petersburg

Dzwony w kościele Świętej Katarzyny biły od rana. Kondukt żałobników nie był długi, ale była to największa katolicka uroczystość w historii ruskiej stolicy. W pierwotnych planach miała się dzielić na dwie części, tę dla papistów i tę dla prawosławnych, ale w zdecydowanie ekumenicznym geście car Paweł rozkazał uczestniczyć swojemu dworowi w rzymskich obrzędach. Kiedy procesja przed pałacem ustawiała się w długi szpaler, imperator wszedł do pałacu Marmurowego i skierował się do Wielkiej Sali. Tam czekali najbliżsi i służba byłego króla. Korytarza pilnowały cztery dziesiątki gwardii, a po dwóch stronach łoża stali doktor Weiss, który pierwszy przybył na pomoc umierającemu władcy, oraz doktor Jan Bekler, który stwierdził zgon Poniatowskiego. Tuż za wezgłowie łoża czekali najwierniejsi słudzy zmarłego: Aleksandra Borysowna i Artem Piotrowicz.

Car podszedł do ciała gościa i więźnia pałacu Marmurowego. Złożył pocałunek na zimnym czole byłego króla, po czym spojrzał na Artema.

– Będiesz nam towarzyszył, chłopcze. Chodź obok mnie i nieś szpadę króla Lachów.

– Nie powinienem, najjaśniejszy panie!

– To on nie powinien był umierać – odparł Paweł Romanow, mieszając w głosie szczyry żal i surowy wyrzut.

Ruszyli tuż przed umieszczonym w otwartej lektyce ciałem króla. Car wskazał Artemowi miejsce po swojej prawicy, a sługa z szacunkiem podniósł ozdobną szpadę, którą uniósł na rozłożonych rękach. W milczeniu przemierzyli korytarz i zeszli schodami do wyjścia z pałacu. Tylko odległe werble i jeszcze dalsze dzwony przypominały im, że uroczystość ta jest pogrzebem, a nie jakąś dworską procesją. Mimo pozorów powagi i smutku w powietrzu czuć było atmosferę nie tyle żałoby, ile przenikającej wszystkich ulgi.

– Będzie mi go naprawdę brakować – mruknął Paweł, spoglądając na Artema.

– Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci ojca – odparł Artem.

Imperator uśmiechnął się kwaśno.

– Przecież wiem, że nie był moim ojcem, umiem liczyć. Ale kiedy matka jeszcze żyła, zrobiłem jej ten dowcip, zwracając się do niego jako rodziciela. I tak już zostało. Ona dla żartu uczyniła go królem, ja, także dla żartu, uczyniłem go ojcem cara. Mój dowcip zaczął się znacznie później, ale wytrzymał dłużej.

Milczeli, wychodząc na dziedziniec. Od czasu śmierci władcy minęły ponad dwa tygodnie, ale śnieg na ulicach Piotrogradu nie stopniał. Było zimno i mokro, a nieliczni gapie oglądali zdarzenie z bezpiecznej odległości i zza szpaleru gwardii. Być może ludzie żalowali króla bez ziemi, ale nie na tyle, by w marcowy poranek wyjść na zimnicę.

– Chłopcze, jesteś wolny – dodał po chwili car.

– Słucham, panie?

– Dobrze służyłeś królowi, ale twoje zadanie jest skończone. Wyjedź stąd...

– Ależ, mój panie, ja...

– Dostaniesz godną odprawę, która nie pozwoli głodować twojej rodzinie. A poza tym zlecę ci jeszcze jedną misję. Pojedziesz do Rzymu...

– Po co, najjaśniejszy panie?

– Odszukasz mi tego Jana Kuźmę i opowiesz o tym, co widziałeś. Powiesz, by wracał do Polski... do Rosji, jeśli chce. Potem zrobisz, co chcesz.

– Jak sobie życzysz, panie. Ale co mam mu powiedzieć?

– Że nie jest jedyną osobą, która skrzywdziła Stanisława Augusta, a jednocześnie była mu bliska. Chyba zrozumie.

Śnieg padał jeszcze, kiedy orszak z trumną byłego króla Stasia ruszył ulicami Petersburga. Grały werble, biły dzwony, ale wystawiona na widok publiczny twarz króla wyglądała na wypogodzą. Może było to świadectwo kunsztu lekarzy i balsamistów z dworu albo król wreszcie zaznał spokoju.

## Nieco później, Rzym

Artema prowadził Duch Święty, gdyż nikt inny nie był dość kompetentny, aby kierować krokami młodego cudzoziemca, nieznającego ani włoskiego, ani łaciny, ani francuskiego. Sługa błędził długie godziny, aż wreszcie ruszył nadbrzeżem Tybru, tylko pokazując napotykanym mieszkańcom nabazgrany na kartce adres.

Przybysz mógł jedynie wnosić z reakcji Rzymian, mniej lub bardziej zakłopotanych, czy zbliża się, czy oddala od domu, w którym żył wygnany konfederat. Ostatecznie trafił przez przypadek – jedna z ulicznych przekupek usłyszała jego rosyjskie przekleństwa. Nie miała pojęcia, na co pomstuje Artem, ale rozpoznała w owym języku słowiańską nutę, i wzięła go za polski. Śmiejąc się i powtarzając „Polacco, Polacco”, skierowała do kamienicy pana Zatronniego, a dalej to już jakoś poszło. Przed domem Artem zakrzyknął: „Szczęść Boże!”. Dzięki temu tubylcy pochowali się przed szelestem barbarzyńskiego języka, a okno tuż pod dachem ukazało brodatą twarz emigranta.

– A kogo to los niesie nad Tyber? – zapytał.

– Swój, panie Kuźma. Wieści przyniosłem – odparł chłopak, usiłując ukryć rosyjski akcent.

– Z kraju?

– Można tak powiedzieć, panie Kuźma.

Wyimek z książki *Un voyage à travers la Pologne, la Lituanie et la Ruthénie* pióra Jeana-Baptiste'a Lefebvre'a:

Niezbadane wyroki Niebios skierowały mnie do Warszawy raz jeszcze, latem roku pańskiego 1773. Z przyczyn mi niewiadomych dopiero wtedy rozpoczął się proces porywaczy króla. Choć powodów tej zwłoki nie znamy, pamiętajmy, że w owych miesiącach wciąż panował chaos i narodowa żałoba wywołana haniebnym traktatem Rzeczpospolitej z Rosją, Austrią i Prusami, w którym słabe państwo zmuszono do cesji znacznej części terytorium.

Posiedzenia sądu sejmowego zaczęły się na początku czerwca, kiedy jeszcze przebywałem poza Warszawą. Byłem jednak obecny z sierpnia, kiedy zeznawał sam król. Może się to wydać dziwne, ale w tym niezwykłym i pełnym sprzeczności państwie władca obserwowany przez lud stolicy zeznawał przed sejmem jako świadek w sprawie własnego porwania. O samej sprawie mówiło się różnie. Nawet mieszczanie i ci włościanie, z którymi rozmawiałem, czuli ponurą powagę aktu rozbiorowego i choć sami od państwa doznawali raczej macosznych przykrości niż matczynej opieki, z trudem kryli rozgoryczenie i żal. Wielu z nich winiło króla, który Rosjan wcześniej hołubił, choć nie brakło głosów, że to szaleństwo konfederatów przybliżyło krzywdę państwa. Tak czy inaczej, na proces patrzyło wiele oczu, zwykle mało zainteresowanych polityką krajową.

Posiedzeniom przewodniczył marszałek Lubomirski, który z rzecznika rozmów z konfederatami musiał się przeistoczyć w surowego sędziego. W powszechnej opinii wywiązał się z obowiązków poprawnie, choć nie brakło głosów, że po zamachu i rozbiorach załamał się i stał powolny instrukcjom rosyjskim.

Zeznania króla były krótkie, ale poruszające. Opowiedział o wydarzeniach owej nocy i podkreślał, że Jan Kuźma z własnej woli przyprowadził go do młyna, przekonany słowami króla. Porywacz miał zrozumieć swój błąd i oddać życie królewskiej łasce. Potem Kuźma potwierdził, że żałował złamania przysięg wobec króla, a poza tym pojął, że jego działania narażają na niebezpieczeństwo cały kraj.

Był to pewien sygnał, wiadomy wszystkim, którzy zgrzytali zębami na moskiewskie działania. Kuźma, przyznając się, że przyspieszył upadek kraju, bez słów kierował uwagę na innych, winnych tego stanu, w tym na samego króla. Ale jego żal był szczery. W swoich zeznaniach tylko na chwilę uzyskał moc i zapął prawdziwego retora, potem przygasł jak świeca na wietrze, pogodzony z losem. Wtedy już rozumiałem dość polskiej mowy, aby pojąć nie tylko treść, lecz także nastrój tej mowy. Tak jak wielu widzów współczułem oskarżonemu. Można powiedzieć, że współczuliśmy wszystkim oskarżonym.

Ktoś musiał ponieść surową karę. Konfederackich wodzów nigdy nie złapano (choć generał Pułaski przysłał list tłumaczący jego postępowanie i przeczący zamiarom zabicia króla), rolę Kuźmy jako niedoszętego kata, ale faktycznego zbawcy, musiano docenić, tedy gniew postów (podsycany moskiewskimi pieniędzmi) skierował się do innych organizatorów. Złapano ich kilkunastu, ale niektórych od razu uwolniono, chyba że zawinili oporem wobec straży lub gwardii.

Michał Tubałowicz i imć Stączewski (którego imienia nie pamiętam) zmarli w więzieniu, jeszcze przed procesem, ponoć słysząc wieści o traktacie rozbiorowym. Inni jednak doczekali procesu. Walenty Peszyński nie brał udziału w żadnej walce, a straż pochwyciła go, gdy zasnął na wozie; Teodat Frankenberg ponoć nawet zgubił się przed atakiem na pojazd króla. Tych dwóch skazano na długie kary więzienia, zapewne dlatego, że bronili się niemrawo i wybuchali co chwila złością, aby winić się nawzajem. Ustalono jeszcze dwadzieścia nazwisk napastników, którzy umknęli z Warszawy. Skazano ich na infamię i konfiskatę majątków. Plotki głoszą, że Kuźma zeznał przeciwko nim, ale dopiero gdy się upewnił, że pozostają poza zasięgiem sejmowej sprawiedliwości.

Prawdziwy gniew sądu spadł na troje pechowców, winnych nie bardziej, ale i nie mniej od towarzyszy. Józef Cybulski, choć nikogo nie ranił, został uznany za jednego z prowodyrów akcji i pomocnika Walentego Łukawskiego. Ten, jako właściciel posesji w Warszawie, został uznany za prawdziwego architekta zamachu i swoistego zdrajcę królewskiego miasta. Sam konfederat załamał się zupełnie i przyjął postawę godną, acz zupełnie wyciszoną. Jego i Cybulskiego skazano na śmierć, ponoć na żądanie rosyjskiego ambasadora, który chciał, aby krwawy spektakl odwrócił, choćby na chwilę, uwagę gawiedzi od nowych porządków.

Stracono ich we wrześniu: Cybulskiego szybko, Łukawskiego z pełnym sztafżem okrucieństwa. Widząc to, jego żona Marianna doznała apopleksji i zmarła po kilku



dniach. Skazani na śmierć ponoć umierali godnie, alem tego nie widział, zbyt wzburzony, aby patrzeć na kaźń. Gdy ciała skazanych załadowano na wozy, pod starymi murami miasta zapadła grobowa cisza. Chyba wszyscy: widzowie, posłowie i sam król rozumieli, że choć dokonali zemsty na schwytanych zamachowcach, nie był to pokaz siły, ale ostatni cios umierającego państwa, które mogło zgnieść tych dwóch buntowników, ale nie potrafiło zmienić swojego losu i wydostać się spod jarzma niewoli.

Nim opuściłem plac zamkowy, widziałem Jana Kuźmę i Stanisława Augusta patrzących w swoją stronę. Smutek w oczach tych ludzi był tak ciężki, że niemal słyszałem płacz w ich duszach. Wiedzieli bowiem, że sądzono tak samo porywaczy, jak i króla. Silny władca może okazać łaskę, a Poniatowski okazał się na to zbyt słaby.

Król pierwszy odwrócił wzrok, ale widziałem w jego oczach dwie łzy.

## Przypisy

[1] *Apage! Vade...* (łac.) – Odejdź! Idź precz, Szatanie (formuła egzorcyzmu).

[2] *Sic semper tyrannis* (łac.) – tak (w ten sposób) zawsze tyranom.

[3] *Attritio* – w scholastyce żal niedoskonały, wywołany nie skruchą, ale strachem przed piekłem.

[4] *In articulo...* (łac.) – w obliczu śmierci.

[5] *Dum spiro, spero* (łac.) – póki oddycham, mam nadzieję.